PAŁAC PUTINA

NOWY FILM EWY STANKIEWICZ. KTO GO BLOKUJE?

JAK DZIAŁA AMANTADYNA? RELACJE PACJENTÓW

KOLEJNY NIEMIECKI HOŁD TUSKA. CZY ON TAK MUSI?

BRONISŁAW WILDSTEIN: DLACZEGO WALCZĘ O ŻYCIE CHOREGO POLAKA

SIECI

NAWALNY UJAWNIŁ FAKTY, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY ROSJĄ.
PEŁNA RELACJA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 4 (426) 2021
25–31 stycznia 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA DLA „SIECI" O WALCE Z EPIDEMIĄ:

RZĄDOWI DAJĘ 4+

ALE ROZUMIEM ZNIECIERPLIWIENIE I NIEJEDNOKROTNIE ROZPACZ LUDZI, KTÓRZY PATRZĄ, JAK DOROBEK ICH ŻYCIA NISZCZEJE – DODAJE.
PYTAMY TAKŻE O ZJEDNOCZONĄ PRAWICĘ, ZMIANĘ W USA, HOŁOWNIĘ I PRACĘ CÓRKI W PAŁACU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106 04

eprasa.pl c9dabefecc

NEWS HD POLSAT
WYDARZENIA
CYFROWY POLSAT
BOGACTWO KANAŁÓW!
POLECAMY PAKIET DLA CAŁEJ RODZINY ZA 30 ZŁ/MIES.
ELEVEN SPORTS
SERIE A TIM
HBO
MROCZNE MATERIE
nickTOONS
Na start pełna oferta przez
3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!
TV SATELITARNA
TV KABLOWA IPTV
TV INTERNETOWA
Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
„Mroczne materie II" © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.
Oferta ważna na dzień 27.01.2021 r.

Nadzieja w czasach niepewności

Cały świat jest pogrążony w zmęczeniu i niepokoju z powodu przedłużającej się pandemii. Nikt nie ma pewności, ile potrwa dochodzenie do normalności i czy normalność – taka, jaką znaliśmy przed koronawirusem – jest w ogóle możliwa. Informacje o pojawieniu się nowych mutacji COVID-19 przyjmowane są z niepokojem, że być może nigdy nie uwolnimy się od tego koszmaru. Nowe szczepy wirusów mogą bowiem oznaczać kolejne blokady, restrykcje, ograniczenia.

Rządy poszczególnych państw poruszają się po omacku, działając metodą prób i błędów, niekiedy miotając się od ściany do ściany. Władze Szwecji, które zrezygnowały z wprowadzenia reżimu sanitarnego i przyjęły model naturalnego dochodzenia do odporności stadnej, są oskarżane o pozostawienie swych obywateli na pastwę losu oraz śmierć wielu osób. Z kolei władze Włoch, które zastosowały odmienny sposób walki z pandemią, polegający na rygorystycznym lockdownie, też są surowo krytykowane – za zgony spowodowane zaprzestaniem leczenia innych chorób oraz za rosnącą depresję wśród ludności. Stan przymusowego zamknięcia sprzyja przygnębieniu, rozpaczy i frustracji. Niekiedy rosnący gniew znajduje swe ujście na ulicach, co widzieliśmy zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

Pod pręgierzem opinii publicznej znalazła się też Światowa Organizacja Zdrowia, która zachowywała się nieadekwatnie do zagrożenia. Najpierw lekceważyła epidemię, przyjmując narrację Pekinu, ostatnio zaś – lekceważąc zdobyte przez dziesięciolecia doświadczenie medyczne – zmieniła oficjalną definicję odporności stadnej.

Choć od rozpoczęcia pandemii minął prawie rok, nadal nie mamy odpowiedzi na pytania, które zadawaliśmy sobie wówczas. Skąd wziął się wirus? Czy został wytworzony w laboratorium, czy jest pochodzenia naturalnego? W jakim kierunku będzie mutował? Jakie skutki pozostawi w organizmach? Ile potrwa pandemia? Czy szczepionka ostatecznie rozwiąże problem? Natykamy się tu na tak wiele sprzecznych teorii i hipotez, że potęguje to jeszcze bardziej zamieszanie i dezorientację. Żaden autorytet naukowy nie jest bowiem w stanie stwierdzić z całkowitą pewnością, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

Generalnie niepewność jest nieodłączną częścią conditio humana, jednak nasza cywilizacja dała wielu ludziom złudzenie, że jesteśmy w stanie panować nad otaczającą nas rzeczywistością i kontrolować wydarzenia. Niewidzialny mikrob doszczętnie zdruzgotał te iluzje. Wiele osób straciło w związku z tym egzystencjalne pewniki. Dominuje przekonanie, że przyszłość może być znacznie gorsza od przeszłości.

W tej sytuacji znacznie lepiej znoszą ów stan ludzie, których nie prześladuje strach o przyszłość, ponieważ śmierć nie jest dla nich końcem wszystkiego. Najlepszym zabezpieczeniem przed niepokojem, lękiem i przygnębieniem okazuje się nadprzyrodzona nadzieja. Takim osobom lockdown nie przeszkadza cieszyć się życiem.

Na poziomie poszczególnych państw kluczowe są natomiast spokój i stabilizacja. Na tle innych krajów dotkniętych epidemią widać, że Polska radzi sobie nie najgorzej. Nie sprawdziły się czarne scenariusze, kreślone zwłaszcza przez opozycję. Większość obywateli (z wyjątkiem antyrządowych demonstrantów) zachowuje dyscyplinę społeczną. Wyczuwa się świadomość, że wszyscy płyniemy tą samą łodzią, którą nie należy chybotać, żeby jej nie wywrócić. Miejmy nadzieję, że na horyzoncie wyłoni się wkrótce suchy ląd.

Grzegorz Górny

Reklama | 6/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

SIECI

spis treści

35 *Nowy gorszy świat?* *Konrad Kołodziejski*

48 Czy Orbán może stracić władzę? *Grzegorz Górny*

59 Szkatułka ze skarabeuszem *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WUNDERWAFEL**
Krzysztof Feusette

9 **TU CHODZI O ŻYCIE LUDZI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **IKONY ŚWIATOWYCH STOLIC**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **SPOTKANIE Z MENGELE**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA IDY NOWAKOWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **„KSIĘŻNICZKA SZTUKI POLSKIEJ"**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **FEMINISTYCZNE ELIMINACJE**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

22 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

26 **IMPAS I SPLIN**
Jan Rokita

29 **KIM PAN JEST, PANIE TUSK?**
Stanisław Janecki

32 **TAK WEDŁUG PACJENTÓW DZIAŁA AMANTADYNA**
Dorota Łosiewicz

35 **NOWY GORSZY ŚWIAT?**
Konrad Kołodziejski

38 **Z EWĄ STANKIEWICZ**
rozmawia Michał Karnowski

42 **ZABAWY HAKERÓW CZY GROŹNE CYBERATAKI**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

44 **PAŁAC PUTINA, CZYLI REWOLUCJA LUTOWA W STYCZNIU**
Marek Budzisz

48 **FIDESZ KONTRA „TĘCZOWA KOALICJA"**
Grzegorz Górny

50 **KTO GŁOSOWAŁ NA REPUBLIKANÓW**
Goran Andrijanić

OPINIE

52 **O ŻYCIE POLAKA, CZYLI PRZECIW CYWILIZACJI ŚMIERCI**
Bronisław Wildstein

HISTORIA

56 **PATRIOTYCZNE OBOWIĄZKI**
Artur Jagnieża

SIECI KULTURY

59 **SZKATUŁKA ZE SKARABEUSZEM**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **BESTIALSKIE KORZENIE IDEOLOGII GENDER**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

68 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

SPORT

78 **SOUSA ZA BRZĘCZKA I CO DALEJ**
Cezary Kowalski

80 **POLACY KROK OD PODIUM NA DAKARZE**
Michał Muzyczuk

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: CO JEDZĄ POLSCY SKOCZKOWIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **POCZĄTEK KOŃCA CYFROWYCH GIGANTÓW**
Hanna Karp

86 **AMERYKAŃSKA LEKCJA I SZEPT PAPIEŻA**
Jan Pospieszalski

87 **FELIETONY**
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

88 **ZGODNIE Z OCZEKIWANIAMI?**
Maciej Pawlicki

89 **Z WIERSZY OSTATNICH**
Leszek Długosz

90 **IDEE DLA POLSKI**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 1/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

ORLEN
ULUBIONA KAWA POLAKÓW*
... i nie tylko
stop cafe
Kimi Räikkönen
Robert Kubica
Antonio Giovinazzi
* Źródło: badanie realizowane przez KANTAR POLSKA na reprezentatywnej próbie Polaków w wieku 15+, N=2025, Omnibus – CAPI, czerwiec-lipiec 2020, badanie dostępne na www.stopcafe.pl

Sygnalista nadaje

Krystyna Demska-Olbrychska, żona Daniela, wylała swoje żale na TVN24. Poszło o wywiad z aktorem, który nagrano, ale którego nie wyemitowano, ponieważ w Stanach Zjednoczonych trwał właśnie „szturm na Kapitol". „Powody [braku emisji] – mętne, niezrozumiałe, nieprawdziwe. Daniel się wściekł, bo to sytuacja pokazująca absolutne lekceważenie jego czasu, wysiłku, skupienia" – narzeka pani Krystyna. W sumie piękny salonowy foch.

Pani Krystyna oceniła też aferę ze szczepieniem celebrytów: „Piotr Kraśko użył w rozmowie z Krystyną Jandą w »Faktach po Faktach« całego swojego dziennikarskiego talentu, żeby pierwszą damę polskiej sceny [Krystynę Jandę] doprowadzić na wizji do łez. Nawet on, w całej tej w końcu zero-jedynkowej aferze, nie miał odwagi powiedzieć prosto, jasno i wyraźnie: ci ludzie nie są winni. Nie zrobili nic złego". I dalej: „Cała ta »szczepionkowa afera« została bardzo precyzyjnie przygotowana, żeby po raz kolejny uderzyć w ludzi ważnych, szanowanych, cenionych i lubianych. Zasłużonych". A więc jednak spisek. Ale czyj?

Więcej powiedział sam Daniel Olbrychski w rozmowie, którą w końcu zamieszczono na stronach internetowych TVN24: „Ponieważ jestem bardziej cwany i na prowokacjach najrozmaitszych rządów od Gomułki przez Gierka do Jaruzelskiego świetnie się znam, tobym zażądał obecności wolnych mediów [podczas szczepienia], jak to pani przed chwilą powiedziała, żeby to rzeczywiście miało wymiar propagandowy, a nie żeby były wątpliwości, czy się wepchałem tam sam, czy zostałem zaproszony". Mechanizm prowokacji jednak pozostaje tajemnicą.

Olbrychski odpowiedział także na pytanie, dlaczego mimo potężnej krytyki Zjednoczona Prawica wywalczyła reelekcję. W odpowiedzi aktor sięgnął po klasyków: „Mój ukochany Norwid mawiał: »Jesteśmy wielkim narodem, ale żadnym społeczeństwem«". Dodał także: „Czy mam powiedzieć, że znaczna część mojego ukochanego narodu jest bezdennie głupia? To już mówię własnymi słowami, nie potrzebuję cytować Norwida", „Ja to nie mówię, wy jesteście głupi, tylko my jesteśmy niemądrzy". Tak, z tym można się zgodzić.

Łatwo też odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest polskie chamstwo. Oto reakcja dziennikarza „Gazety Wyborczej" Pawła Wrońskiego na wiadomość, że prof. Elżbieta Chojna-Duch została doradcą prezesa NBP: „Lizała, lizała, to i dolizała". Niby wszystko już widzieliśmy, ale wciąż zdumiewa, jak nisko potrafią upaść „dzieci Michnika".

Donald Tusk ma dwie twarze. Na Polaków pokrzykuje, często kpi, szydzi, nie szczędzi złośliwości. W przesłaniu skierowanym do delegatów na zjazd niemieckiej CDU, występując w roli szefa EPL, był zupełnie inny: spokojny, życzliwy, wzruszony, pokorny, uniżony, emocjonalnie zbalansowany, wyzbyty agresji. Mówił po niemiecku na tle gdańskich żurawi, wysyłając wyrobionej przecież publiczności symptomatyczny sygnał. Mówił jak podwładny do przełożonych.

Donald Trump już nie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Przegrał z przemysłem pogardy, z nienawiścią upokorzonego establishmentu, z potęgą marksizmu kulturowego, ale także z własnym brakiem elastyczności. Potrafił jednak stanąć po stronie zwykłych ludzi, po stronie swojej ojczyzny, po stronie wolności i także po stronie życia. Wobec Polski był lojalny, nie dołączył do nagonki. Jego następca poprowadzi USA i świat mocno na lewo. Będzie ciężko. Będzie duszno. Przed nami bitwa o wolność. Być może ostatnia.

eprasa.pl c9dabefecc

Co mówił? Ocenił, że „wolność, transparentność, prawda, rozsądek w walce z autorytarnymi tendencjami, korupcją, kłamstwami i populizmem zostały zachowane w dużej mierze dzięki CDU". Przekonywał, że rządy chadeków były „błogosławieństwem" dla całej Europy, także dla wschodnich sąsiadów Niemiec. „Jako Polak wiem, o czym mówię" – zapewnił. Jak ten hołd określiłby Paweł Wroński?

Było także o wyzwaniach przyszłości. „W walce o obronę wspólnych wartości trzeba będzie podjąć trudne decyzje" – mówił Tusk, dodając: „Wasze jasne stanowisko będzie decydujące i tym samym na wagę złota" oraz „Jestem pewien, że nas i w tym wypadku nie zawiedziecie". O co chodzi? Zapewne o członkostwo węgierskiego Fideszu w Europejskiej Partii Ludowej. W sumie jasne postawienie sprawy: partia europejska, ale decydują Niemcy.

Joanna Mucha porzuciła PO i dołączyła do partii Szymona Hołowni. Dlaczego? „Nadszedł taki moment, że ja i Platforma jesteśmy w innym miejscu i nikt tu nie jest winny. Nie jest to kwestia jakiejś krytyki, to są po prostu dwie inne drogi" – powiedziała, dodając: „Oni zostali w zakleszczeniu w relacji z PiS". Jak na osobę, która firmowała okupację sali sejmowej – najbardziej pamiętny akt samozakleszczenia PO – śmiałe słowa.

Z kolei senator Jacek Bury, który przeszedł z KO do Hołowni, ma taką oto diagnozę: „Platforma umiera, umiera, ale umrzeć nie może. PO trzymają pieniądze. Kiedy jednak patrzę na nastroje, sprawczość, determinację i działania kierownictwa partii, to mam wrażenie, że jest to projekt w fazie schyłkowej". Postawił też pytanie: „Czy ktokolwiek jest w stanie odpowiedzieć, czy PO ma jakiś program?". Pytanie retoryczne, ale czy kiedykolwiek miała? W tej operacji nie o program chodziło.

Poseł Platformy ***Bartłomiej Sienkiewicz*** tak ocenia sytuację swojej partii: „Odeszła z KO Joanna Mucha. Zanim się zaczniemy gorszyć, musimy sobie w partii odpowiedzieć, dlaczego to się stało. Szczerze, bez znieczuleń, zaklęć typu »polityczna korupcja«". Ta refleksja spodobała się Hołowni: „Zanim na nas wylejecie wiadro pomyj, przeczytajcie te słowa. Zastanówmy się, a nie obrażajmy". Cóż, z taką postawą, jaką prezentuje Sienkiewicz, PO rzeczywiście szybko umrze. Bez woli walki nie ma nic.

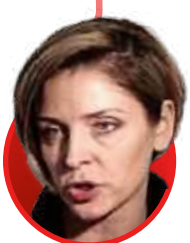

Na Lewicy bez zmian. Poseł Maciej Gdula: „76 lat temu wojsko polskie i radzieckie wyzwoliło Warszawę, doszczętnie zniszczone miasto dwóch powstań. Już kilka tygodni później rozpoczęło prace Biuro Odbudowy Stolicy. Wypędzenie okupantów i odbudowa to było podwójne zwycięstwo nad nazizmem". Skoro było tak pięknie, dlaczego naród tak płakał, wyjąc z bólu?

Przy okazji kolejnej awarii sieci ciepłowniczej w Warszawie przypomniano, że to Platforma sprzedała stołeczny monopol cieplny. Do transakcji doszło w 2011 r., a cena wyniosła 1,5 mld zł. Ratusz tak uzasadniał tę transakcję: „SPEC S.A. jest spółką, która przynosi miastu dochody. Są one jednak znikome w porównaniu z obecnymi potrzebami rozwojowymi, a tym samym finansowymi miasta". Jak to jest, że w oczach Platformy każda własność przynosi jedynie straty?

Okazuje się, że SPEC – największą sieć ciepłowniczą w Europie! – sprzedano Francuzom po to, by mieć na bieżące wydatki. Warszawski radny KO Paweł Lech tak mówi o tej sprawie: „Wtedy kiedy była wykonywana prywatyzacja, było to tuż przed Euro 2012, w budżecie miasta nie było tak dużo środków, żebyśmy mogli przeprowadzić wszystkie inwestycje związane z przeprowadzeniem turnieju Euro 2012. Wtedy zapadła ta decyzja, że tę spółkę można sprywatyzować". Bóg nas strzegł, że nie organizowali igrzysk albo mistrzostw świata. Nic by nie zostało.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił decyzje komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji w sprawie nieruchomości przy ul. Noakowskiego 16, zwanej „kamienicą Waltzów", ponieważ jednym z beneficjentów reprywatyzacji tego budynku był mąż byłej prezydent stolicy Andrzej Waltz. Decyzja zapadła na posiedzeniu niejawnym, bez udziału stron i publiczności. Sens rozstrzygnięcia jest jednak jasny: to, co zostało dane, nie może zostać odebrane.

Gdy minister Michał Dworczyk zaapelował do „Gazety Wyborczej", aby ta włączyła się w promowanie akcji szczepień przeciwko koronawirusowi, nie musiał długo czekać na odpowiedź Jarosława Kurskiego: „Pan Minister tego nie wie [że „GW" promuje szczepienia], bo nie czyta „Wyborczej", a nie czyta, bo rząd PiS w 2015 r. skasował prenumeratę „Wyborczej" z administracji rządowej w płonnej nadziei, że nas to zniszczy. By rozjaśnić mroki Pańskiej ignorancji, ofiarowujemy Panu roczną prenumeratę". Zgoda, ministrowie powinni „Wyborczą" czytać choćby po to, żeby wiedzieli, jak bardzo są nienawidzeni i co ich czeka w razie politycznej klęski.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor

eprasa.pl c9dabefecc

Wunderwafel

KRZYSZTOF FEUSETTE

Majne damen und majne herren, będę szprechen zi dojcz, bo myślę zi dojcz, chociaż języków znam kilka. Na przykład angielskiego nauczyłem się w Brukseli, i to w stopniu absolutnie wystarczającym człowiekowi na moim stanowisku, jakieś tam „jes" czy „ofkors", ewentualnie „hał-arju" albo „hał-duju-tube". To „hał" zresztą najlepiej mi w Brukseli wychodzi, sam nie wiem czemu. Może dlatego, że moje nazwisko po kaszubsku oznacza „psa"? I dlatego właśnie wolę niemiecki, w którym to jest jednak „kieł". Po polsku, niestety, nic nie znaczy, gdyż polskość to nienormalność, mówię o tym od dawna. Jakiś płaszcz Konrada, jakaś bezsensowna historia, martyrologia, jakieś powstania z reguły nieudane. Ostatnim udanym polskim powstaniem było powstanie mojej partii. Niestety wskutek wyborczych fałszerstw oraz złej polityki liderów, którzy zasiedli na moim stolcu, gdy mnie udało się nareszcie, jak mawia moja prawa ręka, „odseparować od tego syfu", ta partia od sześciu lat pozostaje w opozycji. Owszem były plany mojego powrotu na hausen (zresztą, co to za „hausen" ten polnische land?), i to na białym koniu. Niestety, koń zemdlał podczas auswajs kontrole, więc obecnie jedynym wierzchowcem, na którym mógłbym wrócić po władzę w Polsce, jest jakieś zwierzę niemieckie. Byle nie tygrys, bo to słowo ma w Polsce złą konotację, zaczerpniętą jeszcze z czasów nazistowskiej okupacji w Niemczech. Ale ja lubię sobie pożartować z tego, że mój dziadek pracował przez kilka miesięcy w firmie Wehrmacht. Choć akurat on się z tego nie cieszył. Bo też ludzie Wehrmachtu mieli smutne życie. A jakie święta smutne! Przypomniał to ostatnio portal Onet, niestety wyłącznie dzięki temu, że ma niemieckich właścicieli, którzy jak herr Dekan pilnują, by niemiecka prawda historyczna o tamtych czasach i o dzisiejszej roli Niemiec w umacnianiu demokracji na świecie, ale przede wszystkim – jak zawsze – w Polsce – nie została zapomniana. I za to wszystko chciałem wam, majne libe damen und majne libe herren, bardzo danke szejn, po prostu. Wasza rola w krzewieniu praworządności, wasz wkład w rozwój emigracji i imigracji będą trwałym śladem w historii XX, XXI, a kto wie – może także XXII w. Wasze zdobycze kulturalne pozostają do dziś jedną z największych kolekcji malarstwa europejskiego. Świat musi pamiętać, jak Niemcy kochają kulturę i sztukę. Oczywiście, i wam, przyjaciele, zdarzały się wyjątki, jakieś niechlubne karty. Ale życie toczy się dalej i trzeba dziś powtórzyć za herr Sikorskim (wiem, że go nie pamiętacie, ale on bardzo tęskni): tak, ja również bardziej boję się niemieckiej bezczynności od niemieckich działań!

Bo przecież widzicie, co się dzieje w kraju za waszą wschodnią granicą. Bo przecież was też boli – ale co ja mówię „was", was ist das „was", skoro „was" ist „nas"? Więc jeszcze raz: pomóżcie. Pomożecie? Wiem, nie możecie. To znaczy – nie możecie teraz odpowiedzieć, bo to nie jest ten czas i nie to miejsce. Bo przecież wszyscy jesteśmy ludźmi wyższej kultury i na działania tej, nie bójmy się tego słowa, dziczy, tej dziczy, która nie potrafi przy urnie wyborczej odróżnić dobra od zła, musimy odpowiadać w ramach zasad dobrego wychowania, ale powiem wam: w d... to mam! I nawet zacząłem już przeklinać na Twitterze! Tak, tak, dziękuję za te oklaski...

Niestety, muszę je przerwać, ponieważ dzisiaj my wszyscy, jak tu jesteśmy, musimy działać sznela, natychmiast, my już nie mamy czasu. Nam te prawicowe bestie odbierają lokalne tytuły prasowe! Czy nie widzicie, do czego przykładacie rękę, sprzedając Orlenowi nasze, to znaczy wasze, ale was ist das „wasze", skoro to wszystko jest „nasze", gazety i tygodniki?! Nie ośmielę się, o nie, co to, to nie, a już zwłaszcza wam, i to w dniu waszego święta, które niech będzie świętem całej zjednoczonej Europy z wolnym miastem Trójmiastem, przy okazji pozdrawiam frau Dulkiewitsch z Danzig, więc nie ośmielę się sugerować wam niczego. Tym bardziej interwencji zbrojnej – bo przecież wiem, jak bardzo potraficie walczyć o pokój. Zresztą – po co napadać na własną kolonię, prawda? Przecież – nie oszukujmy się – z pomocą Bundeswehry przekonamy w końcu Polaków, iż czas wyrzec się polskości. Owej nienormalności, polskiej tak strasznie, jak wszystko, co w Polsce, jest złe.

Powiedziałem „Bundeswehry"? Freudowskie przejęzyczenie, chodziło mi, naturliś, o Bundesligę. I o piękny przykład naszego największego Lewandowskiego, który ma nazwisko identyczne, jak ten piłkarz, który gra u was w München. Janusz, jawohl, że Janusz. A w zasadzie: Janusch, żeby brzmiało bardziej europejsko. Tamten ma złotego buta, a nasz – złoto w butach. A ja mam złotą rękę do wielkich ekonomistów, że przywołam także herr Rostowskiego... Usiądź, Vincent, nie przywołuję cię do siebie, tylko ciebie jako przykład... Siadaj, bo ci przywalę! Wybaczcie, no, polnische idioten. Nawet nie umi powiedzieć „pieniądze". Nie umie. Ale o czym to ja szprechałem? Wiem – że dziękuję. Że kocham. I że jestem. Siekiera, motyka, piłka, Donald, Niemcy zawsze będą ponad! Siekiera, motyka, to mój sen, danke i auwiderzejn!

eprasa.pl c9dabefecc

Tu chodzi o życie ludzi

Dlaczego prof. Małgorzata Gersdorf, była I prezes SN, która też przyznała, że ten lek postawił ją na nogi, musiała sprowadzić go z Niemiec?

Profesor Krzysztof Simon postanowił zganić Marcina Warchoła, wiceministra sprawiedliwości, za to, że ten przyznał publicznie, iż odzyskał zdrowie dzięki amantadynie.

„Jest to skandaliczna wypowiedź ministra rządu aktualnego, wypowiada się o leku, o którym nie ma pojęcia, przecież jakby wziął witaminę C albo aspirynę, być może też by wyzdrowiał" – zawyrokował prof. Simon w „Faktach po Faktach" w TVN24. Możliwe także, że gdyby minister Warchoł nie wziął tego leku, toby umarł, ale tej wersji już pan profesor nie wziął pod uwagę. Przypomnijmy jednak, dlaczego minister Warchoł zdecydował się publicznie wypowiedzieć w sprawie leku, choć przecież wcale nie musiał. „Poczułem się zobowiązany, żeby się tym podzielić. Byłby to skrajny egoizm, wręcz zbrodnia, gdybym nie powiedział publicznie, że mi to pomogło" – mówił w rozmowie ze mną w telewizji wPolsce.pl Marcin Warchoł.

W grudniu Adam Niedzielski zlecił Agencji Badań Medycznych przeprowadzenie badania klinicznego tego leku. „Jeśli ktoś chce udowodnić, że działa, nie działa czy szkodzi, to proszę bardzo. Wiem, że takie badania neurolodzy toczą w Lublinie i bardzo dobrze, niech sprawdzą na grupie tysiąca–dwóch tysięcy osób, dla mnie ryzykantów, którzy biorą lek toksyczny" – dorzucił pan profesor. O tych ryzykantach dziś więcej w numerze.

Pytanie, czy większym ryzykiem nie jest czekanie w domu na śmierć, pod czujnym okiem policji bądź straży miejskiej, bo teraz w wielu przypadkach tak właśnie wygląda sytuacja? Jeśli zaś chodzi o toksyczność amantadyny: czy to możliwe, by ktoś, kto odpowiada w Polsce za schematy leczenia, pozwolił ludziom z chorobą Parkinsona leczyć się toksycznym lekiem?

„Problem jest taki, że być może amantadyna i rymantadyna, podobny lek, który 40 lat temu stosowaliśmy, będzie indukował powstawanie mutacji wśród tego wirusa" – dodał prof. Simon. A dlaczego profesor nie dywaguje, czy przypadkiem szczepionka nie będzie indukować powstawania mutacji tego wirusa? Tym bardziej że zawiera mRNA, na bazie którego w naszych komórkach ma być wyprodukowane białko wirusa. Dlaczego nie zachęca, by nie stosować antybiotyków, bo przecież niektóre bakterie się na nie uodparniają, czyli nabierają genetycznie nowych cech, co jest odpowiednikiem mutacji wirusa?

Prof. Simon oburzył się też na polityków, że wtrącają się w nie swoje sprawy. Dziś ten sam profesor mówi o amantadynie: „To nie jest sprawa polityków, to jest sprawa medyków, specjalistów". Co jednak zrobić, gdy wyraźnie widać, że wpływowi eksperci ignorują doniesienia o tysiącach wyzdrowień dzięki lekowi, za którym nie stoi żadne lobby? I chwała politykom, takim jak Marcin Warchoł, że nie milczą, tylko głośno mówią to, czego nie chcą słyszeć koncerny. A prawem obywateli jest pytać o intencje naukowców i sprawdzać, w czyim interesie tak naprawdę działają.

I zapytajmy wreszcie, dlaczego prof. Małgorzata Gersdorf, była I prezes SN, która też przyznała, że ten lek postawił ją na nogi, musiała sprowadzić go z Niemiec? Ano dlatego, że dostępność do leku została w Polsce ograniczona. Przypomnijmy, że 30 listopada ub.r. Ministerstwo Zdrowia wprowadziło ograniczenie w sprzedaży amantadyny, tłumacząc to koniecznością zapewnienia dostępności do tego produktu pacjentom przyjmującym lek we wskazaniach objętych refundacją, tj. choroba i zespół Parkinsona oraz dyskineza późna u osób dorosłych. To po pierwsze, znaczy tyle, że ministerstwo wiedziało o niezwykłym popycie na lek i zamiast dostosować podaż do popytu, ograniczyło podaż. Po drugie, to tłumaczenie jest o tyle wątpliwe, że neurolodzy w ww. schorzeniach przepisują przeważnie inny lek, także zawierający amantadynę. Już w połowie grudnia resort zdrowia doprecyzował ograniczenie w ordynowaniu i sprzedaży tego leku, uściślając, że dotyczy tylko produktu z numerem EAN: 05909990320912, czyli przeznaczonego na rynek polski. Tak więc produkty sprowadzane z zagranicy na podstawie zgód ministra zdrowia na czasowe dopuszczenie do obrotu oraz inne produkty z substancją amantadini mogą być ordynowane przez lekarza we wszystkich wskazaniach rejestracyjnych oraz poza tymi wskazaniami zgodnie z aktualną wiedzą medyczną i mogą być wydawane z apteki bez ograniczeń wynikających z obwieszczenia Ministerstwa Zdrowia. O tym już jednak nie wiedzą wszyscy farmaceuci i lekarze. Po co jednak wszystkie te utrudnienia? Przecież tu chodzi o życie ludzi!

Dorota Łosiewicz

Armin Laschet, przewodniczący CDU

Niemcy

Przyjaciel Rosji

W 2014 r. niemiecki dziennik „Die Welt" zaliczył Armina Lascheta, dziś następcę Angeli Merkel na stanowisku szefa CDU i prawdopodobnie przyszłego kanclerza Niemiec, do grona „Putin-Versteher", czyli polityków „rozumiejących Putina". Laschet znalazł się na tej niechlubnej liście obok takich postaci jak będący lobbystą Gazpromu były kanclerz Gerhard Schröder z SPD, Alexander Gauland z AfD i Sahra Wagenknecht z lewicowej Die Linke.

Laschet zasłużył sobie na taką ocenę gazety swoją ówczesną wyrozumiałością wobec rosyjskiej aneksji Krymu i apelem, aby „postawić się na miejscu partnera" (czyli Rosji). Krytykował on również niemiecką politykę za „nadmierną emocjonalność" oraz „antyputinowski populizm" i przypominał, że 40 proc. gazu w Niemczech pochodzi z Rosji. W sprawie gazociągu Nord Stream 2 wypowiadał się jeszcze wielokrotnie, krytykując m.in. stanowisko niemieckiej dyplomacji, za to, że jest „zbyt histeryczne". Laschet był wówczas (i jest nadal) premierem Nadrenii Północnej-Westfalii. Tymczasem – jak sam przyznawał – 1,2 tys. przedsiębiorstw z tego landu jest w różny sposób zaangażowanych w interesy z Rosją.

Po zamachu dokonanym w Salisbury na Siergieja Skripala Laschet był jedynym znaczącym politykiem CDU, który publicznie skrytykował Londyn za domaganie się od Unii Europejskiej sankcji wobec Rosji. Radził wówczas poczekać na przedstawienie przez Wielką Brytanię bardziej przekonujących dowodów na winę Moskwy. Wkrótce potem, w wywiadzie dla dziennika „Die Zeit", przestrzegał przed „demonizowaniem Rosji", a latem 2019 r. przy okazji forum niemiecko-rosyjskiego w Petersburgu nie tylko spotkał się z ministrem Ławrowem, lecz wystąpił z bardzo emocjonalnym przemówieniem, które – według Deutsche Welle – było kilkakrotnie przerywane owacjami. Laschet mówił wtedy o niemieckiej winie za wywołanie II wojny światowej i powoływał się na Ostpolitik Willy'ego Brandta, przypominając, że ówczesne niemieckie otwarcie na Rosję nastąpiło zaledwie cztery lata po zdławieniu przez Sowietów Praskiej Wiosny, co jego zdaniem oznaczało, że również dzisiaj, pomimo Krymu i Donbasu, możliwe jest podobne posunięcie.

Byłoby jednak błędem uważać, że Laschet wygrał rywalizację o fotel przewodniczącego CDU z powodu swojego prorosyjskiego stanowiska. O jego wygranej zdecydowało to, że potrafił przedstawić się jako kandydat środka i kontynuator linii Angeli Merkel. Gdyby po jesiennych wyborach zajął on fotel kanclerza, to linia jego rządu będzie wypadkową nie tylko jego osobistych przekonań, lecz również znacznie bardziej stanowczych wobec putinowskiej Rosji potencjalnych koalicjantów, jakimi są Zieloni. Być może więc będą oni w stanie stłumić jego awanse czynione Moskwie.

Marek Budzisz

Fot. vasilis asvestas/Shutterstock.com

Pomniki pod ochroną

Wielka Brytania

Brytyjczycy zamierzają chronić pomniki, które w zeszłym roku próbowali obalać lewaccy bojówkarze. To odpowiedź na żądania lewicy, która chciałaby usunąć z przestrzeni publicznej wszystkie pamiątki związane z imperialną przeszłością Wielkiej Brytanii, w tym pomniki Winstona Churchilla oraz królowej Wiktorii.

Sekretarz Partii Konserwatywnej Robert Jenrick ogłosił, że „kaprys i życzenie tłumu" nie powinny decydować o tym, czy jakiś pomnik stoi w miejscu publicznym. „Żyjemy w kraju, który wierzy w praworządność" – podkreślił polityk rządzącej partii.

Według nowych zasad każdy pomnik oraz inne formy upamiętnienia ważnych postaci z historii Wielkiej Brytanii (nazwy placów, skwerów, tablice pamiątkowe) będą odtąd podlegać konsultacjom z lokalną społecznością. Wiele z nich było bowiem fundowanych przez miejscową społeczność, a to wyklucza ich usuwanie czy jakiekolwiek zmiany bez zgody mieszkańców. Tymczasem do takich sytuacji dochodziło już w miejscowościach rządzonych przez Partię Pracy. Przykładowo w Birmingham pod naciskiem skrajnej lewicy i bez konsultacji społecznych przemianowano kilka ulic, nadając im nazwy zawierające słowa: równość, różnorodność czy człowieczeństwo.

Nowe prawo, które prawdopodobnie zacznie obowiązywać od marca, obejmie 12 tys. pomników i miejsc pamięci w samej tylko Anglii. Będzie też chronić nazwy ulic. Lewica ostro krytykuje pomysł torysów. W „Guardianie" pojawił się artykuł, w którym Halima Begum z antyrasistowskiego think tanku Runnymede Trust zarzuca konserwatystom... celowe podgrzewanie kulturowej wojny. Cóż, wynika z tego, że dla lewicy burzenie pomników nie jest wojną, ale ich obrona już tak.

Łukasz Adamski

Londyński pomnik Winstona Churchilla

Fot. shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Pomnik w miejscu zbrodni w Ponarach pod Wilnem

Długi cień Holokaustu

Litwa

Rok 2020 ogłoszony został przez sejm litewski Rokiem Gaona z Wilna. Okazją ku temu stało się 300-lecie urodzin jednego z najwybitniejszych rabinów i talmudystów w historii narodu żydowskiego. Na zakończenie rocznicowych uroczystości wspólny tekst na łamach „Jerusalem Post" opublikowali ministrowie spraw zagranicznych Litwy i Izraela: Gabrielius Landsbergis i Gabi Aszkenazi. Naszkicowali oni optymistyczny obraz współczesnych relacji między obu państwami. W jednym z akapitów napisali: „Dostrzegając wyjątkowość żydowskiej historii na Litwie, pamiętamy także tragedię Holokaustu i ból, który pozostawił on po sobie. Wspólnie zobowiązujemy się dokładnie pamiętać oraz szczerze i uczciwie podchodzić do przeszłości, bez względu na to, jak może to być bolesne".

Powyższe słowa wywołały reakcję dyrektora Centrum Szymona Wiesenthala, izraelskiego historyka Efraima Zuroffa, który opublikował odpowiedź na wspomniany tekst. Napisał w nim: „Współczesna Litwa nie zasługuje na naszą przyjaźń ani na współpracę. Zamiast tego, by śmiało i uczciwie skonfrontować się z tragedią żydowskiej ludności, Litwa stała się liderem postkomunistycznych i wschodnioeuropejskich inicjatyw mających na celu zniekształcenie opowieści o Holokauście".

Jego zdaniem Litwa umniejsza rolę swych obywateli w masowej kolaboracji z Niemcami i ludobójstwie Żydów podczas II wojny światowej. Przypomina, że z 220 tys. litewskich Żydów wymordowanych zostało aż 212 tys. (96,4 proc., czyli najwyższy odsetek w Europie). Ludobójstwo dokonało się w czasie, gdy na Litwie stacjonowało mniej niż tysiąc żołnierzy niemieckich, co świadczy o olbrzymim zaangażowaniu miejscowych kolaborantów w masowe zbrodnie.

Landsbergis i Aszkenazi zaczęli swój tekst cytatem z Gaona z Wilna: „Celem odkupienia jest odkupienie prawdy". Według Zuroffa sięgnięcie po te słowa sprawia, że „naprawdę nie wiadomo, czy cynicznie się śmiać, czy gorzko płakać". Jak widać, mimo życzliwych deklaracji polityków napięcie w relacjach litewsko-żydowskich wciąż pozostaje.

Grzegorz Górny

Fot. Andrzej Skwarczyński

Dymisja bez konsekwencji

Holandia

Premier Holandii Mark Rutte (na zdj.) znalazł się w centrum politycznego skandalu po publikacji parlamentarnego raportu w sprawie nieuprawnionych działań holenderskiego urzędu skarbowego w latach 2012–2019. Raport został opublikowany w grudniu, ale dopiero teraz, po przesłuchaniu wszystkich odpowiedzialnych, w tym Ruttego, przez parlamentarną komisję śledczą, stał się ponownie przedmiotem publicznej debaty.

Ponownie, sprawa ciągnie się bowiem już od 2017 r. A chodzi o ponad 20 tys. rodzin niesłusznie oskarżonych o wyłudzenie zasiłku na dzieci. Były one ścigane przez urząd podatkowy m.in. za proste błędy we wnioskach o zasiłek, jak choćby brak podpisu, i nie dawano im możliwości odwołania się od decyzji urzędników. Bywało, że błąd dotyczył kwoty 100 euro, tymczasem rodzina musiała zwrócić wartość całorocznych zasiłków wynoszących np. kilkanaście tysięcy euro. Tysiące rodzin poddano egzekucji komorniczej, co niektóre z nich doprowadziło do utraty domów i finansowej ruiny.

Według szefa parlamentarnej komisji śledczej posła Apelu Chrześcijańsko-Demokratycznego Chrisa Van Dama urząd podatkowy złamał „podstawowe zasady państwa prawa". Ponadto część urzędników szczególnie skrupulatnie brała na widelec rodziny, gdzie co najmniej jeden członek ma nie tylko holenderskie obywatelstwo. Chodzi przede wszystkim o rodziny z Europy Środkowej i Wschodniej. Zdaniem mediów była to swoista forma „profilowania etnicznego", gdzie każdy z obco brzmiącym nazwiskiem i obcym obywatelstwem stawał się podejrzany.

Rząd Ruttego już w marcu ubiegłego roku publicznie przeprosił, a także ustanowił fundusz odszkodowawczy – rodziny mają dostać średnio po 30 tys. euro zadośćuczynienia. Rutte, który jest obok kanclerz Niemiec Angeli Merkel najdłużej urzędującym szefem rządu w Europie (od 2010 r.), długo bronił się przed polityczną odpowiedzialnością w tej sprawie.

Premier twierdził, że dowiedział się o bezprawnym procederze dopiero w 2019 r., a cała sprawa „to tragedia", z którą on nie miał nic wspólnego. Jednak w minionym tygodniu wobec grożącego mu wotum nieufności podał się wraz z rządem do dymisji.

Ponieważ wybory parlamentarne odbędą się w Holandii już w marcu, a zdaniem Ruttego kraj w dobie pandemii potrzebuje stabilności, pozostanie on do tego czasu na stanowisku jako tymczasowy premier, podobnie jak jego ministrowie.

Pozostaje pytanie, czy skandal zaszkodzi Ruttemu i jego partii w wyborach. Na razie nic na to nie wskazuje. Według najnowszych sondaży jego partia VVD może zdobyć od 39 do 45 mandatów w liczącej 150 miejsc izbie niższej parlamentu. Wyprzedza więc znacznie Partię Wolności (PVV) Geerta Wildersa, która może liczyć na 22 do 25 mandatów.

Aleksandra Rybińska

Fot. VDWimages/Shutterstock.com

eprasa.pl c9dabefecc

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ikony światowych stolic

Z epidemicznych powodów jesteśmy uwiązani do telewizorów, jak Reksio do budy na krótkim łańcuchu. W życiu nie spędzałem tyle czasu przed ekranem, i to w towarzystwie żony. Każde z nas miało dużo swoich zajęć. Tłumek dzieci, rozjazdy, towarzyskie obowiązki... I raptem nastąpiło spowolnienie aktywności z powodu jakiegoś badziewia z Chin. Oczywiście w tych okolicznościach głównie zajmuję się żoną. Lekarz jednak radzi czasami odpoczywać. A więc surfujemy wspólnie po kanałach, by znaleźć „motion pictures" odwracające uwagę od smętnego oczekiwania na przydział szczepionki Pfizera.

Niemal codziennie oglądamy widoczki Berlina. O czymkolwiek by nadawano z Niemiec, kamera przesuwa oko po Bramie Brandenburskiej. Pokazują rozrabiające żółte kamizelki z Paryża, w tle pyszni się Łuk Triumfalny. Każdej korespondencji z USA towarzyszy strzelisty obelisk Jerzego Waszyngtona, ostatnio pospołu z Kapitolem. Londyńskim rozważaniom nad zaletami brexitu sekunduje stary poczciwy Big Ben. Na tej samej zasadzie doniesienia o sprawach warszawskich toczą się na tle pałacu Stalina, mordercy milionów Polaków.

Może pośród dramatycznych emocji związanych z koronawirusem nie jest stosowne poruszanie tego tematu, a może odwrotnie – tym bardziej jest wskazane. Ikony światowych stolic docierają do wszystkich uczestników globalnej kwarantanny. Zaraza minie, przerażenie opadnie, wróci nadzieja na normalne życie, cokolwiek by ono znaczyło w różnych krajach. Big Ben, Brama Brandenburska, Łuk Triumfalny, kolumna Waszyngtona emanować będą dumą z kolejnego zwycięstwa nad złymi mocami, którym nie udało się pokonać historycznych narodów. Symbolem warszawskiej normalności ma być na zawsze pałac Stalina, symbol czerwonej cholery...

To nie jest przyjemna konstatacja. Tym bardziej że z innego kierunku przypomina o sobie czarna dżuma, mająca w Polsce niemałe grono popleczników oczarowanych „błogosławionymi" zarządcami Europy. No cóż, jeżeli nie potrafimy sami chronić narodowej pamięci, szanować bohaterów, bronić tożsamości... nie będzie łatwo. Polsce bardzo potrzebne jest błogosławieństwo Boże!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Idiotyczne ograniczenia

„Gazeta Wyborcza" z obrzydzeniem odrzuciła propozycję nieodpłatnego zaangażowania się w rządową promocję szczepień. Jej święte prawo – Agora to firma prywatna i nie musi za darmo dbać o dobro publiczne. Czego zresztą dziennik Adama Michnika dowodzi od wielu lat, jeśli nie od samego początku swojej działalności.

Ale dajmy spokój zamierzchłej historii. Teraz „Wyborcza", piórem Jarosława Kurskiego, stwierdziła, że w rządowej kampanii proszczepiennej brać udziału nie będzie, bo już dawno zrobiła znacznie więcej od władzy w tej kwestii.

Papier jest cierpliwy, szczególnie ten, który brudzą farbą drukarską koledzy z Czerskiej. Oczywiście każdy może deklarować, że walczy z koronawirusem i o zdrowie Polaków. Tyle że redaktorzy tej właśnie redakcji od początku pandemii robią wszystko, żeby walkę z COVID-19 storpedować. Od początku podważają przepisy wprowadzające pandemiczne obostrzenia i pouczają czytelników, jak się owym ograniczeniom przeciwstawiać, jak je ignorować. Radzą, by mandatów nie przyjmować i suflują kaście sędziowskiej, jakie powinna wydawać wyroki i na jakiej podstawie.

Dla redaktorów z Czerskiej dbanie o życie i zdrowie rodaków to furda, bzdura i przesąd. Ważniejsze od zdrowego rozsądku jest, że nie ma pewności, czy jakieś rządowe rozporządzenie jest zgodne z innymi przepisami. Oczywiście nie chodzi o prawo i przepisy, ale o podważanie wiarygodności rządu. Nawet nie chcę dopuścić myśli, że może chodzić także o pogorszenie sytuacji epidemicznej w Polsce – bo czym gorzej, czym więcej ludzi umrze, tym pisowski rząd będzie słabszy.

Dominik Zdort

Ostatnie wybryki „Wyborczej" to wspieranie kolejnych strajków i wet przedsiębiorców, którzy bojkotują przepisy antycovidowe i wbrew zaleceniom epidemiologów otwierają swoje hotele, knajpy i inne mniej lub bardziej szlachetne przybytki. Już wcześniej pojawiały się instrukcje, jakich używać pretekstów, aby olewać rządowe obostrzenia. Teraz gazeta cytuje usłużnych sobie prawników, zawsze chętnych, aby jej tezy wspierać, którzy gimnastykują się intelektualnie, aby podważyć racje władzy. Może zresztą niektórzy sami w to wierzą: ostatnio jeden z bardzo wpływowych warszawskich mecenasów wprost mi powiedział, że on sam „nie ma problemu, żeby nie stosować się do takich idiotycznych ograniczeń".

To cenne, że mamy w końcu prawną ekspertyzę, która stwierdza, że ograniczenia są „idiotyczne".

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl c9dabefecc

BRONISŁAW WILDSTEIN

Spotkanie z Mengele

Wyjazd studyjny do Holandii poświęcony problematyce eutanazji, która w tej ojczyźnie postępu była wówczas najbardziej dopuszczalna na świecie, przydarzył mi się na początku 1997 r. Naturalnie od tego czasu świat i wspomniany kraj uczyniły znaczący postęp. Spotkaliśmy się tam również z przedstawicielami organizacji, która optowała za maksymalną dopuszczalnością śmierci na życzenie. Po spotkaniu poprosiłem o wywiad z lekarzem, twórcą i szefem przedsięwzięcia. Siedzieliśmy w jego przeszklonym biurze nad kanałem. Wysoki i przystojny mężczyzna w średnim wieku patrzył na mnie obojętnie.

– Chcecie, aby w wypadku braku świadomości pacjenta rodzina wspierana przez lekarzy miała prawo podjąć decyzję o eutanazji, nawet jeśli jej ofiara nie wyraziła na nią wcześniej zgody?

– Tak – aryjski profil odwrócił się od okna w moim kierunku.

– No, ale jeśli człowiek, o którego chodzi, nie ma rodziny? A np. waszym zdaniem nastąpiła u niego śmierć mózgowa?

Zimne jasnoniebieskie oczy zajrzały we mnie. – Po pierwsze, nie „naszym zdaniem". Jesteśmy lekarzami i wiemy, kiedy mózg pacjenta umiera. Po drugie, ma pan rację. Sądzimy, że w takim i podobnych mu wypadkach powinni decydować lekarze. Bo niby kto inny?

– No tak. Lekarze to profesjonaliści. Jeśli więc pacjent ma nawet rodzinę, która z różnych względów nie zgadza się na eutanazję, chociaż profesjonaliści ją zalecają, to...

– Co pan ma na myśli? – twarz przede mną wyraźnie zainteresowała się.

– Rodzina to nie specjaliści. Czy nie sądzi pan, że to niedopuszczalne, iż ostateczna decyzja w tak specjalistycznej sprawie przypada ludziom niezorientowanym, a ich głos przeważa zdanie profesjonalistów?

Nieruchomą twarz ożywił leciutki uśmieszek. – Trudno panu nie przyznać racji. Co jednak miałoby z tego wynikać?

– Czy nie należy przekształcić prawa w kierunku przekazywania tego typu kompetencji w ręce lekarzy, którzy są najbardziej upoważnieni, aby podejmować ostateczne wybory w takich kwestiach? Dla każdego postępowego człowieka powinno być oczywiste, że to wy, naukowcy, powinniście decydować, kogo poddać eutanazji. I czy wy, jako zawodowa i uznana organizacja, nie powinniście wystąpić z tego typu wnioskiem do parlamentu?

Niebieskie oczy spojrzały na mnie z uznaniem. – Naturalnie, ma pan rację. Dojdziemy do tego. Ale teraz jest jeszcze za wcześnie. Krok za krokiem. Na początku przeprowadźmy prawo, o którym rozmawialiśmy na początku.

Z drugiej strony stolika patrzył na mnie dr Mengele.

Tak, wiem. Moje skojarzenie, a zwłaszcza podzielenie się nim z czytelnikami, można uznać za niewłaściwe. Holenderski lekarz gestem trzcinki nie skazywał tysięcy ludzi na śmierć, nie znęcał się w obozie w niewyobrażalny sposób nad wielką liczbą osób. To fundamentalna różnica. Niemniej trudno założyć, że początek XX w. był wyjątkowym czasem rodzenia się potworów. Trzeba raczej przyjąć trudną prawdę, że człowiek nosi w sobie przerażające skłonności, które w odpowiednich okolicznościach mogą go zdominować.

Mengele chciał być naukowcem. Jego upiorne eksperymenty w Auschwitz miały posłużyć pracy habilitacyjnej, której celem była poprawa gatunku ludzkiego. Był wyróżniającym się studentem na powszechnie uznanym uniwersytecie monachijskim, a potem pracownikiem naukowym we Frankfurcie u jednego z najsławniejszych europejskich genetyków. Pierwsza połowa XX w. to fascynacja Zachodu eugeniką, nauką o ulepszaniu rasy ludzkiej, nieunikniony etap rewolucji naukowej, która głosiła, że człowiek opanował świat i jest w stanie dowolnie kształtować go dla swojego dobra. W działaniu tym nie mogą go ograniczać żadne przesądy, czyli nieracjonalne zasady, które tradycyjnie wyznaczały granice ludzkiego działania.

Z powodu użytku, jaki narodowi socjaliści uczynili z eugeniki, stała się ona tabu. Ale przecież scjentystyczny, postępowy światopogląd nie może z niej realnie zrezygnować, nie rezygnując ze swoich założeń, toteż nieoficjalnie, ale na dużą skalę, wyznacza ona dziś postawy ludzi Zachodu. Prenatalne badania, które mają wyeliminować niepełnosprawne dzieci, pomysły na inżynierię genetyczną formującą „lepszych" ludzi, eutanazja wobec „niepełnowartościowych" to jej dobitne przykłady. Holenderski lekarz, który domaga się, aby medyczni profesjonaliści decydowali, kto ma prawo żyć, jest tego idealnym przykładem. Nie wyglądał, aby jakakolwiek wątpliwość mogła zakłócić jego naukowy światopogląd. Nie miał wprawdzie w palcach trzcinki, ale doskonale wiedział, czyjemu życiu należy położyć kres i kto powinien o tym decydować.

Przypomniała mi go tragedia Polaka z Plymouth.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c9dabefecc

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Idy Nowakowskiej

Prezenterki, aktorki, tancerki

Ostatni raz moja podróż taka typowo wypoczynkowa była, jak jeszcze żył tata. Jeździliśmy do Domów Twórczych „Obór", „Halamy", „Orlika" w Zakopanem lub nad morze, a także do Kazimierza nad Wisłą. Wszystkie inne moje podróże są związane z pracą i nauką. Zawsze mam poczucie, że z Warszawy wyjeżdżam na zawsze. Nie wiem dlaczego... Może dlatego, że moi dziadkowie musieli uciekać z Kresów zajętych przez Rosjan. Na spakowanie mieli 15 minut. Kiedy gdzieś jadę, to zawsze – jak mam chwilę – odwiedzam przede wszystkim wszystkie szkoły tańca, specjalistyczne sklepy dla tancerzy (kocham kostiumy, peruki...), muzea i zabytki, ale najbardziej ciekawią mnie ludzie, ich kultura i zwyczaje. Udział w programie „Szlak Nadziei" (emitowany teraz w soboty o 20.00 w TVP Historia) to najważniejsza z moich podróży, niezwykła lekcja historii, przetrwania w ekstremalnych warunkach i oddanie hołdu polskim bohaterom.

POLSKIE SYMBOLE
Krzyż, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i różaniec. To dzięki nim wszędzie czuję się jak w domu i zawsze moje pierwsze kroki kieruję do Kościoła, tego najważniejszego z domów.

PISMO ŚWIĘTE
Po trudach podróży najlepszy duchowy wypoczynek i naładowanie baterii. Jako ciekawostkę dodam, że w Ameryce Pismo Święte jest dostępne w każdym hotelowym pokoju.

BIŻUTERIA
Zawsze noszę obrączkę, pierścionek zaręczynowy, różaniec i krzyżyk, medalik, ale mam też z sobą prawdziwe perełki, zawsze modne i eleganckie.

SUKNIA WIECZOROWA
W moim wypadku klasyczna czerwień zawsze się sprawdza.

MAŁA CZARNA
Najchętniej biorę taką, której długość przykrywa kolana, ponieważ wtedy idealnie pasuje na każde przyjęcie, wernisaż, romantyczną kolację (z mężem oczywiście) albo oficjalną wizytę.

eprasa.pl c9dabefecc

TUTU (BALETOWA PACZKA KLASYCZNA)

Stroje do tańca klasycznego i jazzu zawsze mi się przydają, bo moje podróże prawie każdorazowo są związane z występami.

SZPILKI

Czarne szpilki (koniecznie z zakrytą piętą) na każdą okazję. Jak mam jeszcze miejsce, to dorzucam klasyczne balerinki, lub na niskim obcasie na garden party.

DOKUMENTY I ZDJĘCIA RODZINNE

Zawsze zabieram te najważniejsze, bo nigdy nie wiem, jak długo będę w podróży. Rodzinne pamiątki są dla mnie najważniejsze, zwłaszcza że w mojej rodzinie, jak w większości polskich rodzin, każde pokolenie traciło wszystko i musiało zaczynać od nowa.

POINTY, BALETKI

Gdziekolwiek jestem, to tańczę. Zawsze i wszędzie odwiedzam szkoły tańca.

FLAGA POLSKI I AMERYKI

Te dwie flagi zawsze mi towarzyszą, bo mam podwójne obywatelstwo i ważne są dla mnie symbole. Wiem też, jak istotny dla naszej suwerenności i rozwoju jest sojusz Polski i Ameryki.

KOSMETYCZKA

Przyznaję, że kosmetyki to moja słabość. Niestety w samolotach są limity, więc zawsze kupuję małe pojemności.

PIENIĄDZE

Najczęściej zamieniam pieniądze przed wylotem. Życie nauczyło mnie, że czasami zamiana złotówek w innych krajach się nie opłaca.

BUTY

Te buty towarzyszyły mi na Szlaku Nadziei. Na każdą pogodę, mrozy syberyjskie, irańskie upały i pustynię.

NIEZBĘDNIK

Naszym podstawowym i obowiązkowym wyposażeniem na Szlaku Nadziei były gogle, folia, koc ratunkowy, okulary górskie, śpiwór odporny na temperaturę -30 stopni.

LATARKA, KRZESIWO, I FILTR DO WODY

Podróż śladami armii Andersa – Szlakiem Nadziei – nauczyła mnie, jak przetrwać w najcięższych warunkach. Z tymi przyrządami dam sobie radę wszędzie.

MIŚ WOJTEK

Z maskotką, którą dostałam w dniu wyjazdu od „Pytania na śniadanie", polska flaga i znaczki, które mieli polscy żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych (prezent od mojej mamy), towarzyszyły mi przez całą podróż.

ALBUM

Tak mało jest książek po angielsku dotyczących historii Polski. Wszędzie, gdzie jestem, jest ogromne zainteresowanie naszą historią. Ta książka opisuje historię Polski na przykładzie losów mojej rodziny, z malarstwem mego wuja Jana Lebensteina i wstępem napisanym przez mojego tatę Marka Nowakowskiego.

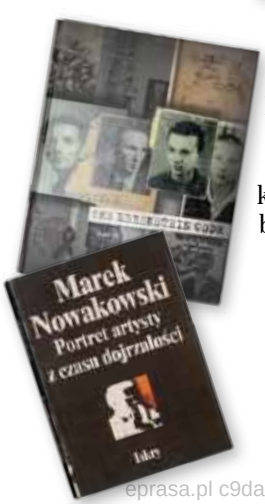

HEŁM

Miałam też prawdziwy hełm z walki pod Monte Cassino, który przed wyjazdem na Szlak Nadziei odkupiłam od kolekcjonera, ale musieliśmy go zostawić, bo stanowił niebezpieczeństwo w Iranie. Baliśmy się, że potraktują to jak obiekt militarny albo zabytek.

Wysłuchał: Michał Korsun

eprasa.pl c9dabefecc

OGNIEM NA WPROST

Cenzura uderzyła też w Joego Bidena

Jak się okazuje, Twitter i Facebook nałożyły cenzurę nie tylko na Donalda Trumpa. W swoich manipulacjach posunęły się dalej i zablokowały zdjęcia... Joego Bidena. Tyle że te, które mogłyby go skompromitować. Jak wiadomo, jeszcze przed wyborami różne ośrodki medialne rozpowszechniały filmy z przyjęć i spotkań, na których bywał obecny prezydent Stanów Zjednoczonych. Podczas nich obwąchiwał i przytulał kobiety oraz dziewczynki. Serwis usuwa te tweety jako dziecięcą pornografię. Ukrywający się pod pseudonimem Szturmowy MirekfraBergen opublikował na platformie tweeta ze zdjęciami Joego Bidena przytulającego w niekonwencjonalny sposób kilka dziewczynek. Po jakimś czasie na ekranie pojawił się komunikat od administratora o następującej treści: „Twoje konto zostało zablokowane, bo za jego pośrednictwem doszło do naruszenia naszych zasad dotyczących dziecięcej pornografii. Niezależnie od intencji udostępnianie i podawanie dalej takich treści lub zamieszczanie do nich linków na Twitterze jest surowo zabronione". Wynika z tego, że według algorytmów stosowanych przez TT to, co robił Joe Biden i co zostało sfilmowane, podpada pod definicję zwykłej dziecięcej pornografii. Powstała paradoksalna sytuacja, w której sprzyjająca obecnemu prezydentowi USA platforma społecznościowa stwierdza, że jej kandydat jest pedofilem.

Lewica w USA i na świecie ma nową bohaterkę. Jej pierwowzór to słynny Pawka Morozow, który według oficjalnej wersji sowieckiej propagandy, dowiedziawszy się przypadkowo o spisku kułaków, do którego należał także jego ojciec, zdemaskował ich plany, skazując ojca per saldo na śmierć. Dziś 18-latka – niejaka Helena Duke – wrzuciła do internetu filmik z protestującymi pod Kapitolem. Ponieważ, jak twierdzi, „zauważyła wśród protestujących mamę, wujka i ciocię" i skojarzyła to sobie z apelem FBI o pomoc w identyfikacji demonstrantów, postanowiła się wykazać obywatelską postawą i zakablowała najbliższą rodzinkę do władz. Równolegle jej tweeta udostępniło 80 tys. lewaków. Pawkę Morozowa zatłukli dziadek z babcią i wujkiem, za co sami zostali zlikwidowani przez Czeka. Nasza „bohaterka" zaś założyła – według znanego nawet nam w Polsce już schematu – zbiórkę internetową i za swój czyn wobec najbliższych zebrała od sobie podobnych donosicieli ok. 70 tys. dol. „Hoc tempora mutantur et nos mutamur in illis" – „Czasy się zmieniają i my się zmieniamy z nimi".

Microsoft chce wskrzeszać zmarłych. Korporacja złożyła wniosek patentowy, który został już przyznany. Chodzi w nim o proces przesyłania danych o nieżyjącym w chatbota. Po użyciu zdjęć i nagrań głosowych tworzy się model „zmartwychwstańca" 2D lub 3D, wyposażonego nawet w odwzorowany głos. W ten sposób ma powstać coś na wzór tworu sztucznej inteligencji na bazie życia zmarłej osoby. Kiedy taka „osobowość" zostanie stworzona, kolejnym etapem będzie odtworzenie wizerunku zmarłej osoby i wykorzystanie jej zarejestrowanego głosu. Powstaje pytanie, jak daleko zaawansowane są prace nad rekonstrukcją ziemską duszy człowieka, która teoretycznie po śmierci nie jest już we władaniu lokalnych mędrców. Ale tu spotykamy się z barierą, którą prawdopodobnie „ludzkość by pokonać, nigdy nie znajdzie sposobu". Na razie firma Microsoft zatrzymała się na rejestracji patentu produkcji Frankensteina, co nie wyczerpuje znamion problemu.

Według rankingu portalu Global Firepower, który rokrocznie tworzy zestawienie najpotężniejszych armii świata, Wojsko Polskie znalazło się na 23. miejscu wśród 138 badanych krajów. Na pierwszym miejscu są oczywiście Stany Zjednoczone. Ameryce depczą po piętach Rosja i Chiny. W pierwszej dziesiątce znalazły się także armie Indii, Japonii, Korei Południowej, Francji, Wielkiej Brytanii, Brazylii i Pakistanu. Jeśli chodzi o wyniki w Europie, to nasze siły zbrojne ulokowały się na 6. miejscu, za Francją i Wielką Brytanią (odpowiednio 7. i 8. miejsce w światowym rankingu „GF-2021"), a także Włochami (12. miejsce), Niemcami (15. miejsce) i Hiszpanią (18. miejsce). Tuż za nami jest Ukraina.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c9dabefecc

„Księżniczka sztuki polskiej”

Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2020 r. ukazało się niezwykle interesujące kompendium wiedzy zatytułowane „100 lat sztuki polskiej” autorstwa dr Stefanii Krzysztofowicz-Kozakowskiej. Publikacja składa się z trzech tomów: „Sztuka II RP”, „Sztuka w czasach PRL-u”, „Sztuka po roku 1989”.

W związku z niedawno obchodzonym stuleciem odzyskania niepodległości i licznymi wspomnieniami okresu II RP, którego barwna historia świadczy o wyjątkowej odwadze, kreatywności i doskonałej umiejętności organizacji naszego narodu, najbardziej przyciągający wydaje się pierwszy tom. Odzyskanie niepodległości po 123 latach pozostawania pod zaborami i zwycięskie bitwy stoczone w obronie młodego państwa sprowokowały artystów do stworzenia dzieł o ponadczasowej wartości. Realistyczna literatura stawała się zwierciadłem rzeczywistości (Stefan Żeromski, Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska), zaczęły powstawać doskonałe reportaże (Melchior Wańkowicz). Za najwybitniejszych malarzy tamtego okresu uchodzą Józef Pankiewicz, Tadeusz Makowski, Witkacy, Leon Chwistek, Władysław Strzemiński. Najbardziej uznanym kompozytorem był Karol Szymanowski. „Król Roger” cieszy się powodzeniem do dziś, jego balet „Harnasie” był wystawiany w Warszawie, Brukseli, Paryżu i Nowym Jorku.

Autorką scenografii i kostiumów do tego ostatniego była Zofia Stryjeńska. 28 lutego przypada 45. rocznica śmierci artystki, która była najbardziej znaną polską artystą plastykiem dwudziestolecia i postacią podobnie kontrowersyjną, jak posiadająca polskie korzenie Tamara Łempicka. Ukończyła Szkołę Sztuk Pięknych dla Kobiet w Krakowie, by następnie zdeterminowana potrzebą dalszej edukacji w przebraniu mężczyzny rozpocząć studia na niedostępnej w tamtym czasie dla kobiet monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Po roku studiów została rozpoznana i powróciła do Krakowa, gdzie podjęła działalność artystyczną. Malowała temperami, tworzyła litografie, rysunki oraz plakaty. Projektowała scenografię, zabawki, tkaniny dekoracyjne, była również autorką ilustracji książkowych (m.in. „Monachomachia, czyli Wojna mnichów” Ignacego Krasickiego, „Treny” Kochanowskiego).

Do najbardziej znanych prac Zofii Stryjeńskiej należą „Pastorałka”, cykl „Bożków słowiańskich” oraz obrazy zatytułowane „Pascha”. Stworzyła freski w Muzeum Techniczno-Przemysłowym w Krakowie, polichromię sal w baszcie Senatorskiej na Wawelu, dekoracje wnętrza winiarni Fukiera i cukierni Wedla w Warszawie, a także projekt polichromii kamienic Rynku Starego Miasta w Warszawie. Stryjeńska jest także autorką dekoracji na polskich transatlantykach „Piłsudski” i „Batory”, nazywanych pływającymi galeriami sztuki polskiej.

Największy jej sukces to grand prix i w sumie pięć nagród w czasie paryskiego Expo w 1925 r. oraz odznaczenie Krzyżem Kawalerskim Legii Honorowej. Na wspomnianą wystawę przygotowała wykonany z rozmachem panel dekoracyjny do sali głównej pawilonu polskiego przedstawiający obrzędy i pracę na roli. W 1932 r. zdobyła złoty medal na XVIII Biennale w Wenecji.

Malarstwo Stryjeńskiej jest osadzone w folklorze i graficznej kresce znanej z polskiej sztuki ludowej. Zdefiniowało ono polski styl art déco. Prace artystki cieszyły się w dwudziestoleciu uznaniem i można śmiało napisać, że stanowiły element ówczesnej popkultury. Były masowo rozpowszechniane w formie tek, albumów i pocztówek, a zaczerpnięte z twórczości Stryjeńskiej motywy znajdowały się na opakowaniach czekoladek i porcelanie. Kariera artystki była u szczytu w latach 30. W okresie wojennym i powojennym przebywała za granicą, a jej twórczość nie budziła już tak powszechnego zainteresowania.

Zofia Stryjeńska zmarła w Szwajcarii, gdzie do dziś znajduje się jej skromny nagrobek z motywem podhalańskim, zaprojektowany przez jej syna. Współcześnie zainteresowanie jej sztuką wzrasta, o czym może świadczyć determinacja licytujących kolekcjonerów.

Drogiej Koleżance

ANNIE LEWANDOWSKIEJ

oraz całej Jej Rodzinie

Szczere kondolencje, wyrazy współczucia i żalu

Z powodu śmierci

Taty

składają

koleżanki i koledzy z Apelli i Fratrii

W tych trudnych chwilach zapewniamy o naszej pamięci

35/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

RZECZY POSPOLITE

Feministyczne eliminacje

„Dzięki temu, że nie mam męża, zmniejszam zagrożenie, że zostanę zgwałcona, zabita, pobita" – stwierdziła Alice Coffin, dziennikarka, radna Paryża i autorka książki „Le génie lesbien" („Geniusz lesbijstwa"). Świat bez mężczyzn byłby według niej lepszy, nieagresywny, poukładany i dlatego mężczyzn właściwie należałoby... zlikwidować. Brzmi jak część scenariusza do starej znanej komedii Machulskiego „Seksmisja"? Przypomina państwu kadry, w których babski „sejm" uznaje, że „Kopernik też była kobietą", a bataliony szturmowe pań wrzeszczą: „Samiec twój wróg"? Mnie również – tyle że tym razem naprawdę nie jest do śmiechu.

Myśli Coffin przepływają do polskich czytelników (albo raczej czytelniczek) za sprawą „Newsweeka" w edycji nadwiślańskiej i zapewne padną (padają) w naszym kraju na podatny grunt. W publikacji tygodnika pod redakcją Tomasza Lisa znajdujemy inne znakomite cytaty z Coffin, która by zmienić świat na lepsze, chętnie sięgnęłaby po radykalne środki: „Nie wystarczy, aby kobiety wzajemnie się wspierały. Musimy wyeliminować mężczyzn z naszych umysłów i wyobrażeń. Dlatego nie czytam już książek napisanych przez mężczyzn, nie oglądam zrobionych przez nich filmów ani nie słucham skomponowanej przez nich muzyki". I najważniejsze: „Do tej pory nasza odpowiedź nie miała formy zbrojnej. Ale musimy to przemyśleć".

Czyli: wyjściem jest nie tylko „wyeliminowanie z umysłów", ale „wyeliminowanie fizyczne".

Naprawdę radzę się nie śmiać. To nie są hasła oszalałej od nadmiaru wpatrywania się w ekran smartfona nastolatki, tylko kobiety, która jest znaną przedstawicielką francuskiego ruchu feministycznego. Te myśli, idee i pomysły docierają nad Wisłę – żyjemy w informacyjnej „globalnej wiosce" – po czym zasilają rodzime kręgi feministyczne i w efekcie mają swoją polską odsłonę podobnych bzdurnych haseł. Przy czym, co ważne – gdyby ktoś w miejsce mężczyzn wpisał kogokolwiek innego: homoseksualistów, Żydów, a nawet same kobiety, z miejsca stałby się rasistą, homofobem, nazistą i co tam jeszcze można znaleźć z dogodnych epitetów. Jednak feministki mają wrażenie, że im wszystko wolno – nawet „eliminować mężczyzn". Aż się nie chce wierzyć, że to nie twórczość science fiction, nie scenariusz komedii, tylko, o tempora! o mores!, rzeczywistość, w której przychodzi nam żyć.

Tomasz Łysiak

11 niezwykłych ludzi

Z Anną Ferens, dokumentalistką, inspiratorką i producentką serii „Geniusze i marzyciele, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Geniusze i marzyciele, czyli kto?

Anna Ferens: Genialni Polacy, którzy działali w pierwszej połowie XX w., a z których pracy świat korzysta do dziś. Wielkie umysły i niezwykłe, filmowe wręcz, biografie. Niestety, w większości nieznane.

Z jakiej potrzeby powstała seria „Geniusze i marzyciele"? Od którego z bohaterów, a może od jakiego wydarzenia, się zaczęła?

W 2014 r. rozpoczęłam dokumentację do filmu „Rzeczpospolita. Reaktywacja", który miał pokazać odrodzenie Polski po 1918 r. właśnie od strony naszej aktywności naukowej i wynalazczej. Uznałam, że Polaków, którzy wnieśli ogromny wkład w rozwój, nie tylko polskiej, lecz i światowej cywilizacji jest tak wielu i mają tak ciekawe życiorysy, że każdy zasługuje na osobny film. Wtedy powstał konspekt cyklu. Realizacji poszczególnych odcinków podjęli się różni reżyserzy, co daje prawdziwą różnorodność, również od strony artystycznej.

Od kiedy i gdzie możemy się spotkać z bohaterami cyklu? Kto będzie pierwszy?

Emisja cyklu rozpocznie się 27 stycznia o godz. 21 na antenie TVP1. Pierwszego poznamy Henryka Magnuskiego, twórcę walkie-talkie, potem będzie Jan Czochralski, którego odkrycie stworzyło podstawy elektroniki, a jeszcze później Józef Hofmann – genialny pianista, który ma na swoim koncie ponad 70 wynalazków. W sumie 11 postaci – mam nadzieję, że nie tylko ciekawych, lecz i inspirujących!

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl c9dabefecc

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, HTTPS://PALACENAVALNY.COM/

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)

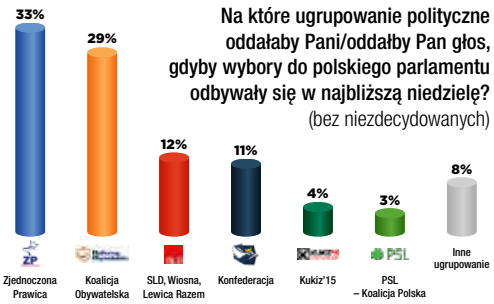

Czy według Pani/Pana Donald Tusk powinien wrócić do polskiej polityki?

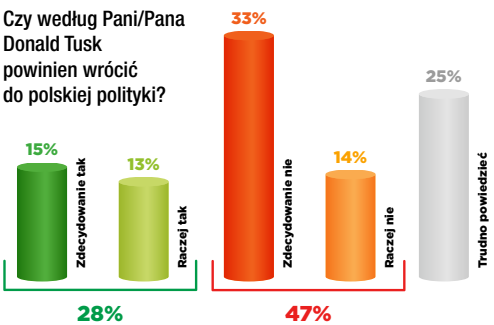

Czy zaszczepi się Pani/Pan na koronawirusa, jeśli będzie dostępna szczepionka i będzie Pani miała/Pan miał taką możliwość?

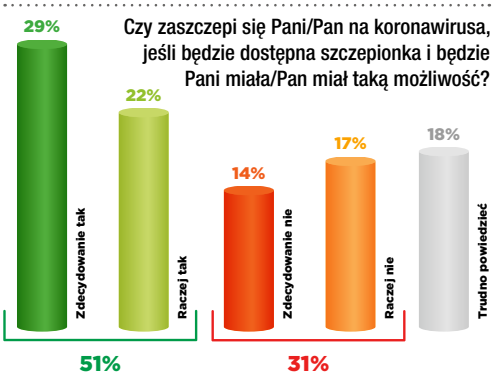

Co powinny zrobić instytucje państwowe w sytuacji, gdyby media społecznościowe cenzurowały i usuwały zgodne z prawem wpisy i informacje zamieszczane przez użytkowników według własnego uznania?

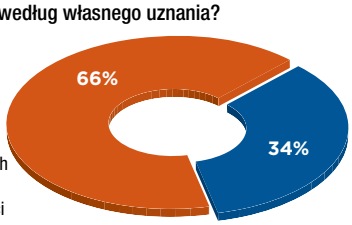

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1097.

Zakres czasowy badania 15–18 stycznia 2021 r.

eprasa.pl c9dabefecc

Rządowi wystawiłbym czwórkę z plusem

Nikt nie powie, że wszystko, co zostało zrobione, było idealne, że każda decyzja była trafiona. Ale proszę mi pokazać kraj, który podejmował tylko optymalne rozwiązania. Nikt nie poradził sobie z tą pandemią w sposób wzorcowy. Też jestem częścią władzy wykonawczej, więc mówię, że radziliśmy sobie tak, jak było to możliwe i według naszej najlepszej wiedzy, również biorę za to odpowiedzialność

eprasa.pl c9dabefecc

Z Andrzejem Dudą, prezydentem RP, rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Potrafi pan powiedzieć Polakom, kiedy ten trudny czas pandemii się skończy?

Andrzej Duda: Odpowiedź jest tylko jedna – koronawirus zgaśnie wtedy, gdy jako społeczeństwo nabędziemy tzw. odporność populacyjną, a do tego najszybsza droga – znów – jest jedna: szczepienia. Ich program jest klarowny i przede wszystkim bezpieczny. Zakładanie, że przeciwciała pojawią się w naszym organizmie po tym, jak wszyscy zachorujemy i przejdziemy COVID-19, jest bardzo ryzykowne. Nie można zapominać, że mamy do czynienia z chorobą śmiertelną, która codziennie zbiera swoje żniwo.

Pan jest w grupie ozdrowieńców. Teoretycznie mógłby pan być sceptykiem, ale wielokrotnie zapewniał pan, że też się zaszczepi.

Chociaż miałem to wielkie szczęście, że chorowałem lekko, a nawet bardzo lekko i objawy były u mnie znikome, to jestem daleki od bagatelizowania sprawy. Moja koleżanka, z mojego rocznika, kobieta bez żadnych chorób współistniejących o mało nie umarła. Ponad tydzień była pod respiratorem, jej stan był krytyczny. Byłem przerażony, codziennie dowiadywałem się o jej zdrowie. Dzięki zaangażowaniu i fachowości personelu medycznego udało się ją uratować. Jest dla mnie jasne, że ten wirus to nie jest sprawa bagatelna.

Rozumie pan tych, którzy szczepionki po prostu się boją?

Rozmawiałem z lekarzami, autorytetami w tej dziedzinie. Zapewniono mnie, że badania nad koronawirusami – których jest wiele – trwają od lat. Nie jest więc tak, że dostaliśmy szczepionkę zupełnie pionierską, nieprzetestowaną, szybko wypchniętą na rynek. Efektem tych wieloletnich badań jest na przykład to, że obecnie dostępne szczepionki są skuteczne przeciwko pojawiającym się już kolejnym mutacjom wirusa. Powtórzę, ryzyko trudnego przejścia choroby jest bardzo duże i śmiertelność jest znaczna. Na pewno większa niż przy zwykłej grypie, do której niesłusznie porównuje się COVID-19. Nie ma się co wahać, należy namawiać do udziału w programie szczepień.

Czy po pana chorobie pozostały jakieś ślady w organizmie?

Przez ponad dwa tygodnie po wyzdrowieniu czułem się jeszcze bardzo osłabiony, przygaszony. A przypomnę, że przechodziłem chorobę naprawdę lekko. Innych objawów na szczęście nie miałem, ale relacje niektórych chorych są zatrważające. Wytworzyły się w moim organizmie przeciwciała, stąd moja decyzja o oddaniu osocza. Namawiam też innych ozdrowieńców, by zdecydowali się na taki gest. To ważna forma pomocy ludziom, którzy tego naprawdę potrzebują. Każdemu, kto oddał osocze, ogromnie dziękuję, uratowało to wiele osób przed śmiercią.

> Rozumiem zniecierpliwienie i niejednokrotnie wręcz rozpacz ludzi, którzy patrzą, jak dorobek ich życia niszczeje. Jednak przepisy są takie, jakie są i niestety powinny być egzekwowane. Karanie ludzi, którzy są zrozpaczeni, jest okropną koniecznością. Przede wszystkim więc apelujemy do wszystkich o wytrzymałość i rozsądek

Czy gdy pan zachorował, zaraził kogoś?

Kiedy byłem chory, a jeszcze o tym nie wiedziałem, spotykałem się z wieloma osobami – zdaniem lekarzy – przez co najmniej dwa dni. Także przy tym stole, przy którym dzisiaj siedzimy, toczyły się długie rozmowy. Odznaczałem przecież w tym czasie Igę Świątek, spotykałem się z jej rodziną. Widziałem się przecież także z panem redaktorem [z Marcinem Wikłą – przyp. red.]. Ale byłem przezorny i miałem maseczkę. Moja ostrożność wynikała z tego, że wówczas już wiedzieliśmy, że wirus krąży po Pałacu Prezydenckim. I proszę sobie wyobrazić, że żadna z tych osób, z którymi spotykałem się w maseczce, nie zachorowała.

Drogę wyjścia z pandemii znamy – to szczepionka. Nie wiemy tylko, jak długa i kręta ona może być. A cierpliwość zaczyna się u ludzi kończyć. Na jakie wyrzeczenia jeszcze powinniśmy być przygotowani?

Chciałbym, by to wszystko wygasło jak najszybciej, ale nie jestem hurraoptymistą. Widzę, jakie jest tempo szczepień, i to nie tylko u nas. Słyszymy, że firma Pfizer czasowo ogranicza dostawy i dotyczy to wszystkich rynków. Widziałem newsy telewizyjne z Kanady, która jest przecież poza tą umową dotyczącą Unii Europejskiej, i tam też jest to temat numer jeden. Wszyscy mamy te same obawy. Na dziś liczba osób zaszczepionych w Polsce przekroczyła pół miliona, to jest bardzo mało, jeśli przyjmiemy, że mogących się zaszczepić jest ok. 32 mln. O odporności populacyjnej możemy mówić przy zaszczepieniu ok. 70 proc. obywateli, a absolutnym minimum jest podanie szczepionki połowie osób dorosłych. Wtedy będziemy mogli mówić o jakimś skutecznym narzędziu walki z koronawirusem. Liczę na jeszcze jedno, że równolegle do postępu programu szczepień będzie się też ocieplało. Przykład poprzedniego roku pokazuje, że w miesiącach letnich choroba ustępowała, zresztą dlatego udało się przeprowadzić wybory prezydenckie. Jesienią, gdy zrobiło się chłodniej i wilgotno, wirus wrócił, dlatego trzeba wykorzystać letni sezon na masowe szczepienia. Tempo szczepień jest jednak wprost uzależnione od liczby dostępnych szczepionek.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c9dabefecc

Kłopot z COVID-19 polega na tym, że wirus rujnuje nie tylko ludzkie organizmy, lecz także poważnie zagraża gospodarce i wiele branż stanęło nad przepaścią. Desperacja ludzi powoduje, że pojawiają się zapowiedzi otwierania biznesów wbrew obostrzeniom. Jest pan w stanie jakoś wytłumaczyć takie zachowania przedsiębiorców?

Nie mogę ich zaaprobować, natomiast rozumiem to zniecierpliwienie i niejednokrotnie wręcz rozpacz ludzi, którzy patrzą, jak dorobek ich życia niszczeje. Rozejrzyjmy się jednak wokoło, co się dzieje w Czechach, w Austrii czy na Słowacji, która niedawno ogłaszała zwycięstwo nad koronawirusem, a dziś jest tam dramat. Mamy godzinę policyjną we Francji, Włoszech, niektórych częściach Kanady. Tam też ludzie są zdesperowani. Problem jest globalny. Mam ogromną nadzieję, że dzięki pomocy rządu i tarczom antykryzysowym biznesy nie poupadają, a gdy wrócimy do normalności, będą mogły rozkwitnąć na nowo.

Czy należy karać tych, którzy jednak złamią obostrzenia?

Przepisy są takie, jakie są i niestety powinny być egzekwowane. Nikt przecież tych mandatów nie chce dawać. Karanie ludzi, którzy są zrozpaczeni, jest okropną koniecznością. Przede wszystkim więc apelujemy do wszystkich o wytrzymałość i rozsądek. Także o sprawiedliwą ocenę działań rządu. Przecież nie chcemy nikomu celowo zaszkodzić ani zrobić krzywdy. Zamknięcie pewnych branż: fitness, basenów czy hoteli, to bardzo trudne decyzje, ale podejmowane na podstawie szczegółowych badań. Często ludzie pytają, dlaczego markety są otwarte, a restauracje nie. To proste, gdy się temu przyjrzymy. Wchodząc do sklepu, mamy maseczkę i ochrona pilnuje, by jej nie zdejmować. Wchodzimy między półki, owszem, mijamy ludzi, ale bierzemy towar, idziemy do kasy zapłacić i wychodzimy. 15 min, 20 min, może pół godziny. A w restauracji maseczkę trzeba zdjąć i siedzi się w lokalu dłużej. Ryzyko jest wtedy ogromne.

Dużo mówimy o potrzebie solidarności w walce z koronawirusem, ale mieliśmy jednocześnie szokujące doniesienia o przypadkach egoizmu celebrytów, dziennikarzy czy polityków, którzy wcisnęli się do szczepień poza kolejnością. Jak pan to ocenia?

To jest wynik ludzkiej słabości. Ludzie się po prostu boją i to, czego świadkami byliśmy w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, to w dużej mierze efekt tego strachu. Mieli możliwość, więc skorzystali. Były oczywiście niesmaczne przypadki, gdy widzieliśmy u tych ludzi poczucie wyższości, gdy tłumaczono, że im się to należało. Ale bardziej piętnowałbym tych, którzy im takie szczepienie poza kolejnością umożliwili. Tych, którzy ewidentnie naciągnęli przepisy i skrzywdzili pracowników WUM – im te szczepionki po prostu skradziono. To jest skandal. Nie mnie oceniać czyjś strach przed śmiercią czy chorobą. Źle zrobili, ulegli pokusie, ale bardziej zdecydowanie oburzają mnie ludzie, którzy są za ten skandal odpowiedzialni administracyjnie. To jest antyspołeczne i antypaństwowe. Z drugiej strony mamy liczne przykłady solidarności z potrzebującymi, szczególnie w tym trudnym czasie. Wiele osób, instytucji angażuje się charytatywnie w pomoc. Również my w Pałacu Prezydenckim staramy się włączać w takie działania. Moja żona Agata jest wolontariuszem Fundacji „Nie zapomnij o nas", od 3 listopada codziennie przez pięć dni w tygodniu rozwozi obiady dla powstańców warszawskich oraz kombatantów w ramach akcji Obiadów dla Bohaterów.

> Bardziej piętnowałbym tych, którzy szczepienie poza kolejnością umożliwili. Tych, którzy skrzywdzili pracowników WUM – im te szczepionki po prostu skradziono. Oburzają mnie ludzie, którzy są za ten skandal odpowiedzialni administracyjnie. To jest antyspołeczne i antypaństwowe

Pana rodzice są w grupie 70+. Są już zapisani na szczepienie?

Namawiam ich. Nawet ostatnio mówiłem im, że powinni się zaszczepić jak najszybciej.

Trzeba ich do tego namawiać? Nie są przekonani?

Oboje w tym roku kończą 72 lata, więc w tej grupie seniorskiej są pośrodku, ani najmłodsi, ani najstarsi. Podchodzą do tego ze spokojem, nie uważają, że powinni być zaszczepieni przed innymi. Powiedzieli, że gdy przyjdzie ich kolej, wtedy się zaszczepią.

W tej walce o normalność mamy też problem szkół. Uczniowie z klas 1–3 po feriach wrócili do tradycyjnej nauki. Czy przed wznowieniem pracy z dziećmi nauczyciele nie powinni być jednak zaszczepieni?

W szkołach uruchomiono sporo działań osłonowych, od mycia i czyszczenia powierzchni, z którymi dzieci się stykają, do stworzenia dla nich tzw. baniek, które izolują je od innych klas. Nauczyciele będą szczepieni w ramach pierwszej grupy, zaraz po personelu medycznym, trudno wyobrazić sobie, by mogłoby to być jeszcze przyspieszone.

Nie ma pan wrażenia, że to jednak jest spore ryzyko, stąpanie po bardzo kruchym lodzie?

Zgoda, to nie są łatwe decyzje i trzeba wyważyć przed ich podjęciem różne racje. Nauczyciele też przecież chcą wrócić do pracy i normalnie uczyć. Rodzicie bardzo chcą, by dzieci wróciły do szkół, bo przebywanie w takiej izolacji jest dla nich zwyczajnie trudne. Więcej, same dzieci pragną wrócić do szkół! Moja żona nawet mówi, że pierwszy raz w życiu widzi taką determinację i chęć powrotu do szkół u uczniów, i to nie tylko u tych najmłodszych. To też jest jakaś wartość. Równolegle rozmawiamy też o problemach psychicznych

eprasa.pl c9dabefecc

Fot. Andrzej Wiktor

i psychologicznych u dzieci, a przecież odcięcie od rówieśników je pogłębia. Zamiast wyjść z domu, spotkać się z kolegami, siedzą przy komputerach. Owszem, uczą się, ale też grają i nadużywają internetu. To na pewno nie zastąpi relacji między młodymi ludźmi. Jest jeszcze jeden argument, chodzi o rodziców dzieci z klas 1–3, którym pójście pociech do szkół umożliwi powrót do pracy. Na marginesie powiem, że się cieszę, iż po naszej rozmowie pan premier znalazł dodatkowe znaczące środki na psychiatrię dziecięcą. Wiele osób zwracało uwagę na ten problem podczas rozmów ze mną i moimi współpracownikami.

Patrząc ogólniej, jak pan ocenia działania rządu w pandemii? Opozycja ma sporo zarzutów, a to o nietrafione zakupy maseczek i respiratorów, a to o przepłacone pensje pracowników Szpitala Narodowego, a to o tempo szczepień. Czy to tylko rytualne zastrzeżenia?

Nikt nie powie, że wszystko, co zostało zrobione, było idealne, że każda decyzja była trafiona. Ale proszę mi pokazać kraj, który podejmował tylko optymalne rozwiązania. Nikt nie poradził sobie z tą pandemią w sposób wzorcowy. Też jestem częścią władzy wykonawczej, więc mówię, że radziliśmy sobie tak, jak było to możliwe i według naszej najlepszej wiedzy, również biorę za to odpowiedzialność. Podpisywałem szybko ustawy zawierające tarcze antykryzysowe, nawet w kampanii wyborczej trwały tutaj w Pałacu Prezydenckim negocjacje i prace nad tymi przepisami. Zostały uruchomione ogromne pieniądze i liczę na to, że dzięki nim polscy przedsiębiorcy przetrwają ten czas. ZUS podejmuje działania korzystne dla pracodawców, kolejne tarcze są uruchamiane, pieniądze z Polskiego Funduszu Rozwoju płyną do firm. Być może niektóre duże firmy będą narzekały, że to za mało, ale to Unia Europejska ograniczyła wielkość wypłat do 3,5 mln zł dla jednego podmiotu. Jeżeli popatrzymy na skalę bezrobocia, to u nas nie jest ono wielkie, więc te działania należy uznać za skuteczne. Przewidywania były i są różne, ale analitycy zapewnili mnie, że fundamenty finansowe państwa nie zostały w żaden sposób naruszone.

Jaką więc ocenę za ten ostatni rok wystawiłby pan rządowi? Mamy do dyspozycji szkolną skalę 1–6.

Zdaję sobie sprawę, że zmęczone całą sytuacją społeczeństwo będzie bardziej krytyczne, ale patrząc na realia, wystawiłbym ocenę „dobrą", a może nawet „dobrą +". To według mnie uczciwa ocena. Bez niepotrzebnej euforii, ale ze świadomością, że – szczególnie na tle innych państw – radzimy sobie naprawdę nieźle.

A jak przez ten kryzys przejdzie Zjednoczona Prawica? Dojedzie w takim składzie do 2023 r.?

Jeśli jest odpowiedzialna, to dojedzie.

Co to znaczy?

Że myśli o sprawach państwa i społeczeństwa w sposób poważny i odpowiedzialny. Powtarzam: rząd Zjednoczonej Prawicy stosunkowo dobrze poradził sobie z pandemią koronawirusa. Wcześniej dobrze prowadził polskie sprawy – był świetny wzrost gospodarczy, wielkie inwestycje. One trwają, dzięki temu branża budowlana jakoś specjalnie nie ucierpiała.

eprasa.pl c9dabefecc

Wierzę, że właśnie inwestycje będą nadal napędzały polską gospodarkę. Ale są też środki z programów europejskich, te ponad 700 mld zł z nowej perspektywy budżetowej. Podkreślmy, że środki unijne były dobrze wydawane już wcześniej. Na tym musi się skupić rząd: wyjść z pandemii i zabrać się do tego, by dalej dobrze prowadzić polskie sprawy.

Do tego jest potrzebny jednolity obóz. O Zjednoczonej Prawicy możemy tak jeszcze mówić?

W fundamentalnych sprawach oczywiście, że tak. Ale pamiętajmy, że to są jednak trzy ugrupowania. Każde ma indywidualne cechy, swój program, członkowie tych partii mają swoje przekonania ideowe, które często są różne.

Oraz prywatne ambicje.

Ambicje ludzkie zawsze mają znaczenie. Ale to, że Zjednoczona Prawica od ponad pięciu lat funkcjonuje, dziś w bardzo trudnej sytuacji, pokazuje, że te ambicje są powściągane. Czyli że są to ludzie odpowiedzialni. I wierzę, że takimi pozostaną, czyli do wyborów w 2023 r. ten rząd dotrwa i wyprowadzi Polskę z kryzysu.

Gdyby tej odpowiedzialności zabrakło i ZP przestałaby istnieć, to co wtedy – podmiana koalicjanta? Możliwy jest wariant dokooptowania np. PSL albo Kukiz'15?

Byłoby to na początku zmartwienie dla trzech partii Zjednoczonej Prawicy, a w dalszej perspektywie zmartwienie dla Polski. Niezwykle ważne jest zachowanie stabilności politycznej państwa. Szczególnie w tak trudnym czasie. A jak w szczegółach będzie się układał obóz Zjednoczonej Prawicy – to jest jego sprawa. Ja oczywiście się z niego wywodzę, ale najbardziej interesuje mnie stabilność państwa i sprawność jego instytucji.

Jak trafić do ludzi w wieku pańskiej córki bądź młodszych? Dlaczego w 2023 r. mieliby zagłosować na prawicę? Skoro będą mieli do wyboru niezgraną jeszcze kartę – coraz bardziej rozpychającego się na scenie politycznej Szymona Hołownię.

Szymon Hołownia jest atrakcyjny, bo jest nowy. Może cały czas mówić, że nie jest politykiem, bo nie ma go w Sejmie. Młodym ludziom polityk kojarzy się z kimś, kto zajmuje stanowisko, najczęściej zasiada w parlamencie. Panu Hołowni wydaje się więc, że może opowiadać, iż nie jest politykiem, choć przecież startował w wyborach prezydenckich, zatem oczywiście politykiem jest. To tylko taka zagrywka. On dziś nie ponosi żadnej odpowiedzialności, a może recenzować wszystkich z zewnątrz.

Gdyby u władzy byli brutalni gospodarczo liberałowie, to byłoby po nas. Przypomnijmy sobie: rok 2008 i w zasadzie żadnej pomocy ze strony państwa. Pamiętacie panowie ten skokowy wzrost bezrobocia? Teraz rządzący podeszli do kryzysu inaczej. Można powiedzieć, że lekko zwolniliśmy, ale wciąż płyniemy

Czy Hołownia dotrwa ze swoim projektem do 2023 r.?

Trudno to dziś przewidzieć. Ale pytacie panowie o młodych. Oni mają przed sobą maturę, studia, znalezienie sobie pracy, rozwój zawodowy, założenie rodziny. I być może właśnie w tym czasie, gdy jest tak trudno, jakaś część z nich doceni to, że do 26. roku życia są zwolnieni z podatku dochodowego i czują to w portfelu. Jeżeli urodzą im się dzieci, to może docenią, że został ustanowiony program 500+ i te pieniądze cały czas są wypłacane. Wcześniej nic takiego nie było. Bywa że dopiero wtedy, gdy życie zaczyna stawiać ci wymagania, uświadamiasz sobie, co państwo ci daje. Przecież kiedyś tych wszystkich rozwiązań nie było. Ktoś je wprowadził.

Uważa pan, że to docenią?

Tak. Przecież widzą swoich rodziców, ich troski, frustracje, czasem rozpacz. I ciągłe pytania: uda się z tego rodzinie wyjść czy nie? Otrzymają wsparcie ze strony polskiego państwa? Niektórzy zapewne skonstatują: gdyby nie pieniądze z PFR, zwolnienia z ZUS, inne ulgi, nie przetrwalibyśmy. Gdyby u władzy byli brutalni gospodarczo liberałowie, to byłoby po nas. Przypomnijmy sobie: rok 2008 i w zasadzie żadnej pomocy ze strony państwa. Pamiętacie panowie ten skokowy wzrost bezrobocia? Teraz rządzący podeszli do kryzysu inaczej. Można powiedzieć, że lekko zwolniliśmy, ale wciąż płyniemy.

Czy dla młodych ludzi nie są ważniejsze kwestie związane z wolnością, zwłaszcza w obliczu tego, czym raczą nas internetowi giganci, stosując dość brutalną cenzurę?

Czas pandemii nie sprzyja ochronie elementów wolnościowych. Wręcz przeciwnie – musimy nosić maski, w niektórych krajach wprowadzona jest godzina policyjna, mamy mnóstwo restrykcji, zamknięte bary, restauracje, dyskoteki, mecze odbywają się bez widzów, nie można się gromadzić, koncerty są odwołane. Mało tej wolności. I to młodych wkurza. Było to widać, gdy spontanicznie tłumnie zebrali się przed Muzeum Narodowym w Krakowie, by potańczyć na techno party. Skrzyknęli się poprzez media społecznościowe. To pokazuje, jak bardzo im brakuje poczucia wolności, ale też po prostu powrotu do normalnego życia.

Może się zorientują, co ich czeka za rogiem, że widmo powszechnej cenzury jest realne. I docenią, że jeszcze mogą się przez tego Facebooka czy Instagrama skrzykiwać. Dostrzega pan zagrożenia dla naszej wolności ze strony koncernów Big Tech?

Oczywiście, że to widać. Co ciekawe, mamy do czynienia z paradoksem.

eprasa.pl c9dabefecc

Nie są zablokowane na Twitterze czy Facebooku organizacje w gruncie rzeczy terrorystyczne. Różni dyktatorzy mogą się wypowiadać i wysyłać swoje treści w cały świat. Zablokowany zaś został prezydent Stanów Zjednoczonych. To co najmniej dziwne.

Mark Zuckerberg okazał się pod pewnym względem silniejszy od prezydenta USA. Pojawia się więc pytanie, kto jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie?

Myślę, że w Stanach Zjednoczonych też się nad tym głowią...

Jak mamy odzyskać nasze dzieci – ukradzione przez media społecznościowe, Netflixa, smartfony. Co im zaproponować, by zechciały stanąć po konserwatywnej stronie?

To jest szalenie skomplikowany problem. Ekspozycja i zdecydowana ofensywa treści w gruncie rzeczy neomarksistowskich są potężne. Realizują je bardzo wpływowe ośrodki medialne. To jest zadanie na lata. Musimy się nad nim mocno pochylić. Czasu już za wiele nie mamy.

Prawica nie ma narzędzi do przeciwdziałania tej ofensywie?

Nie ma. I to jest problem.

Nie brakuje panu w obozie dobrej zmiany namysłu nad tymi kwestiami?

Może jest go za mało. Ale miejcie panowie na uwadze to, że czas koronawirusa nie był dobrym momentem, by prowadzić debatę nad kwestiami ideologiczno-filozoficznymi.

Ale z koronawirusem mierzymy się dopiero od niespełna roku, a wcześniej były cztery lata.

Faktem jest, że bardzo się skupiliśmy na sprawach gospodarczych, i to jest nasz powód do dumy. Dobrze się toczyła polityka międzynarodowa. Myślę tu o „dużej" polityce, gdy byliśmy w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, czy gdy potężnie rozwijaliśmy Trójmorze. Zaczęło się od małego porozumienia dwóch krajów, Polski i Chorwacji, jesienią 2015 r., gdy po raz pierwszy spotkałem się z panią prezydent Kolindą Grabar-Kitarović w willi Decjusza w Krakowie i rozmawialiśmy o stworzeniu tego projektu. Dziś mamy 12 państw, kilka chcących dołączyć, zainteresowanie współpracą ze strony USA, Niemiec, Japonii, Chin. Nie wspomnę już o kwestiach bezpieczeństwa – i militarnego, i energetycznego.

W tych ostatnich sprawach duży udział miał prezydent Donald Trump, o którego prezydenturze wielokrotnie mówił pan, że to był dobry czas dla Polski...

...a był zły?

Nie przeczymy. Ale to dopiero początek pytania. Jego zasadnicza część brzmi: czy będziemy budować Fort Biden?

Z określenia Fort Trump śmiał się prezydent Trump, śmiałem się i ja. Chodziło o pewien symbol, medialne wykreowanie pewnego zjawiska, jakim jest intensyfikacja obecności amerykańskiej w Polsce. Dziś Fort Trump to wiele miejsc – stacjonujący w Polsce amerykańscy lotnicy, amerykańscy żołnierze w okolicach Ełku, Żagania, Orzysza, to dowództwo amerykańskiego 5. Korpusu w Poznaniu, amerykański dowódca w randze generała jest obecny w Polsce i najważniejsze, że ta obecność została nazwana „obecnością trwałą". To wszystko jest Fort Trump.

Powie pan to wszystko nowemu amerykańskiemu ambasadorowi, nominowanemu już przez prezydenta Bidena?

Ale przecież to jest dorobek tej prezydentury. Czemu mielibyśmy udawać, że jest inaczej? Ale równie dobrze można byłoby powiedzieć, że obecność amerykańska w Polsce to w jakimś sensie jest Fort Obama. Bo przecież to za jego czasów zapadły te pierwsze decyzje. To on był obecny na szczycie NATO tutaj w Warszawie w 2016 r. To on postanawiał o obecności wojsk NATO – w tym amerykańskich – na wschodniej flance. Ta współpraca później była pogłębiana i mogliśmy z prezydentem Trumpem dwukrotnie podpisywać porozumienia o zwiększonej amerykańskiej obecności w Polsce.

Nie obawia się pan nowej prezydentury za oceanem?

Bardzo spokojnie do tego podchodzę. Jest zmiana prezydenta, bo się odbyły wybory i tak zdecydowali Amerykanie. To naturalne i normalne w demokracji. Ale pamiętajmy że pan prezydent Joe Biden był bliskim współpracownikiem prezydenta Obamy, gdy zapadały wspomniane decyzje militarne. Nie mam więc żadnych obaw, czy ta polityka będzie kontynuowana. To sprawy trwałe, bo stanowią także amerykański interes. Niezależnie od tego, kto rządzi.

Czyli nie uważa pan, że za dużo zostało zainwestowane w Trumpa, również przez pana osobiście?

Bardzo się cieszę, że miałem możliwość tak bliskiej współpracy z prezydentem USA. Polakom pozostaną trwałe korzyści z tego wynikające. Wśród najważniejszych wymienię: umowy na dostawy gazu skroplonego zapewniające nam bezpieczeństwo i niezależność energetyczną; podpisaną współpracę o rozwoju energetyki jądrowej; duże inwestycje amerykańskich firm w Polsce (myślę o Microsoft czy Google); zwiększoną obecność wojsk USA; wreszcie – w warstwie symbolicznej, ale ważnej – ruch bezwizowy.

Na koniec musimy zapytać o krótką karierę córki w pana kancelarii. Najpierw była burza, że została pana społecznym doradcą. Gdy atmosfera się nieco uspokoiła, okazało się, że tej funkcji już nie pełni. Dlaczego?

Łukasz Rzepecki, mój etatowy doradca, który prowadzi temat współpracy z młodzieżą, podjął bardzo ambitny plan działań, w które włączyła się Kinga. Wykonali kawał dobrej i ważnej pracy. Ale po kilku miesiącach dla Kingi rozpoczynał się okres innej nowej aktywności zawodowej i okazało się, że tych zadań jest jednak tak dużo, że jeśli chciałaby je rzetelnie wykonywać, a ma taką osobowość, że inaczej nie potrafi, to nie byłaby w stanie pogodzić wolontariatu w Kancelarii Prezydenta z pracą zawodową i aplikacją prawniczą. Jest osobą młodą, jeszcze się uczy, nabiera doświadczenia. Musiała wybrać i zdecydowała. To naturalne.

eprasa.pl c9dabefecc

Impas i splin

Niby nic wielkiego się nie dzieje, jednak dzieje się całkiem sporo. Możliwe nawet, że dzieją się właśnie rzeczy na tyle istotne, iż byśmy mogli już wyraźniej dostrzec trendy kształtujące naszą krajową politykę na najbliższe miesiące

JAN ROKITA

Najprościej rzec by można, iż po obu stronach wielkiego polskiego sporu zaczęły się piętrzyć tak wysokie i trudne przeszkody, że zarówno władza, jak i opozycja robią wrażenie, jakby ostatnio przestawały sobie radzić. W polityce taka sytuacja nie należy do typowych. Zazwyczaj przecież jest tak, że impas jednych wyzwala energię innych. Tymczasem w Polsce impas narasta po obu stronach, co krajowej polityce nadaje wyczuwalny klimat splinu i beznadziejności.

STAN CHWIEJNEJ RÓWNOWAGI

Prawdę mówiąc, trudno dziś znaleźć obóz polityczny lub istotną grupę społeczną, która miałaby podstawy, aby w najbliższych miesiącach widzieć przed sobą jakąś wyraźniejszą i jaśniejszą perspektywę. Nawet prezes rządowej telewizji, który w końcu jest wybitnym fachowcem od propagandy sukcesu, ulega ostatnio temu wzmagającemu się nastrojowi splinu, w głośnym wywiadzie wieszcząc: „Idą bardzo złe czasy dla ludzi kochających ojczyznę, Pana Boga i wolność". W tym wszystkim ma oczywiście swój udział przewlekłość zarazy, która ma ponoć dopiero wybuchnąć swą trzecią, najsilniejszą falą. Jednak wszystkiego nie można zrzucić na zarazę. Kolizje interesów i waśnie czysto polityczne mają tu swoją niebłahą rolę.

Splin wewnątrz obozu władzy jest łatwiejszy do zrozumienia, gdyż nie jest jakąś wyjątkową przypadłością PiS i jego sojuszników. Prawdę mówiąc, rządzący w całej demokratycznej Europie są dziś w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wszyscy oni próbują jakoś utrzymać kontrolę nad kolejnymi falującymi i coraz gwałtowniejszymi nawrotami zarazy, naciągając zarazem do granic wysokiego ryzyka strunę społecznej odporności i cierpliwości, a tym samym ryzykując rozognieniem tlącego się niemal wszędzie zarzewia buntu.

Jest przecież jasne, że nie da się utrzymać à la longue ani kroplówki tarcz antykryzysowych, dzięki którym firmy w całej Europie utrzymują sztuczne zatrudnienie na koszt podatnika, ani sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem polityki banków centralnych, umożliwiających rządom bezkarne zadłużanie się na skalę niewyobrażalną jeszcze parę lat temu. To tylko kwestia czasu, kiedy jedno i drugie musi się pewnego dnia skończyć. I wiadomo, że wszyscy odkryją wówczas, iż król jest nagi: wiele firm upadło, bezrobocie urosło, a dług wymaga spłaty.

Polska nie jest pod tym względem wyjątkiem. I nawet jeśli dzięki elastyczności swej gospodarki jest w lepszej kondycji niż wielu innych, to wszczęty na Podhalu i rozlewający się po kraju bunt biznesu, otwarcie łamiącego restrykcje sanitarne, a czasem (jak w przypadku liderów góralskiego weta) kwestionującego sam fakt zarazy, jest tylko zapowiedzią dalszego ciągu politycznych zdarzeń w najbliższych miesiącach.

eprasa.pl c9dabefecc

Fot. Andrzej Wiktor

Władza wobec tego buntu jest w istocie bezsilna. Mogła udawać, że nie widzi lekceważenia dla restrykcji tak długo, jak było ono chronione swoistą tajemnicą poliszynela. To znaczy, że np. restauracje w wielkich miastach nagminnie pracowały, ale dyskretnie, przyjmując klientów w tylnych salkach, bez robienia z tego wielkiego halo. Jednak od 18 stycznia sytuacja zmieniła się na tyle, że część biznesu rzuca otwarte wyzwanie władzy, dysponując przy tym poparciem polityków (Kukiz), gazet („Rzeczpospolita"), a przede wszystkim opinii publicznej. Pomysł, że ów opór złamie się metodami policyjnymi (co zaczął robić np. krakowski sanepid) albo groźbami odcięcia od pomocy publicznej (czym grozi prezes Polskiego Funduszu Rozwoju), jest niedorzeczny z kilku naraz powodów.

Przede wszystkim dlatego, że sądy będą z lubością kwestionować tego rodzaju decyzje, nakładając na państwo dodatkowe świadczenia odszkodowawcze. Po wtóre zaś, bo dodatkowe uderzenie w mały biznes się państwu po prostu nie opłaca, skoro i tak znalazł się on w sporych opałach. Poza tym, choć co prawda zamieszki na tle konfliktów ideologicznych na razie osłabły, to uśpione demony łatwo się znów mogą obudzić, o czym można się było przekonać w Warszawie na rondzie Dmowskiego w ostatnią środę. Opozycyjne media nawołują zaś do solidarnych wystąpień antyrządowych biznesu i feministek.

Władzy nie pozostaje zatem nic innego, jak ostrożne stąpanie po linie, tak by uniknąć poważniejszego buntu, a jednocześnie choć częściowo blokować niekontrolowany wybuch trzeciej fali zarazy. Ale to właśnie jest polityka z gruntu frustrująca, polegająca tak naprawdę na podtrzymywaniu stanu chwiejnej równowagi, w każdej chwili grożącej załamaniem i poważnym kryzysem. Do tego wszystkiego dołączyły się jeszcze skutki unijnego chaosu szczepionkowego, który – znając dobrze unijne patologie – pewnie dawało się przewidzieć, ale niemal niemożliwe było go uniknąć. Godny podziwu minister Dworczyk skazany jest więc na połykanie swego języka co drugi dzień, co czyni ze spokojem i bez widocznej

eprasa.pl c9dabefecc

na zewnątrz irytacji. Premier Morawiecki z kolei wydaje się liczyć na to, iż zły klimat uda się przełamać gromkimi obwieszczeniami „nowego ładu", czyli tworzonego przez rząd długofalowego planu inwestycji za nowe pieniądze unijne. Od grudnia ub.r. premier co parę dni zapowiada owo wielkie i niezwykłe wydarzenie, jakim ma być publiczne zwodowanie tego planu. Tyle tylko, że w dzisiejszej sytuacji nawet najsłuszniejsze dalekosiężne plany nie wpłyną ani na kształt nastrojów zbiorowych, ani na obraz bieżącej polityki, ani w końcu na splin, który na dobre zasiedlił się wewnątrz niepewnego jutra obozu władzy.

STRUKTURALNA UDRĘKA OPOZYCJI

Paradoks tkwi w tym, że choć opozycja pastwi się z lubością każdego dnia nad pisowskimi kłopotami, to sama wpadła w nie mniejszy polityczny impas niż władza, nastrój splinu pleni się zaś w jej szeregach nawet bardziej niż w obozie władzy. Szkopuł, który nie od dziś dręczy Platformę Obywatelską, nosi bowiem charakter strukturalny, co sprawia, że słabe są widoki na jego przezwyciężenie. Płyną lata, zmieniają się niektórzy aktorzy, ale strukturalna udręka Platformy, a pośrednio całej opozycji, pozostaje niezmienna, ostatnio zaś znów ujawniła się z całą ostrością. Rzecz w tym, że od wielu lat jedyną wyrazistą i społecznie zrozumiałą misją tej partii jest obietnica odsunięcia od władzy PiS, przedstawianego jako potwora druzgocącego kraj.

Jednak ponieważ Platforma od długiego czasu przegrywa kolejne wybory, obnażając niezdolność wypełnienia obiecanej misji, ciągle na scenę wyskakuje jakiś nowy aktor, obwieszczając, że tylko on naprawdę potrafi zabić smoka, gdyż PO to twór ospały i safandułowaty. Tak niegdyś twierdził Palikot, potem Petru, Lubnauer, a teraz Hołownia. Gdy tylko taki kolejny śmiałek się objawia, w obozie Platformy pojawiają się ci, którzy rzucają się w jego objęcia (teraz Bury, Mucha, dawniej byli inni).

Ale co ważniejsze – w partii objawia się również pretendent do tego, aby z racji owej ospałości i safandułowatości osłabić, a najlepiej obalić aktualną wąską grupę rządzącą, głosząc jako uzasadnienie stare jak świat hasło o konieczności „połączenia sił" całej opozycji. I oczywiście natychmiast zyskuje w tym (niezależnie od tego, kim by był) życzliwe oparcie w... Donaldzie Tusku, wyczekującym na okazję dokonania takiej „rekonstrukcji" w nadziei na odzyskanie jakiegoś wpływu na krajową politykę.

Jest z jednej strony zabawne, a z drugiej pouczające obserwować, jak owa strukturalna udręka trwa, choć zmieniają się aktorzy. Jeszcze nie tak dawno Schetynie udało się w sytuacji niemal beznadziejnej obronić suwerenność Platformy wobec presji „Wyborczej", KOD, aktorek, Tuska i rosnącej wtedy w siłę Nowoczesnej. Obronił partię, ale nie miał już sił na obronienie własnego w niej przywództwa. Teraz role się zmieniły. To Schetyna głosi z przekonaniem: „Wszyscy pracują na rzecz zintegrowanej opozycji" (choć nie potrafi przy tym sam się do siebie nie uśmiechnąć, kiedy mówi ten frazes na antenie TVN), wychwala pod niebiosa rolę Tuska jako jednoczyciela oraz inspiruje platformę wewnątrz Platformy, która udając think tank, ma pracować nad osłabianiem wpływów prezesa Budki. W tle kryzysu jest oczywiście populistyczny ruch Hołowni, który znów się zarzeka, że tylko on potrafi zabić smoka.

> Paradoks tkwi w tym, że choć opozycja pastwi się każdego dnia nad pisowskimi kłopotami, to sama wpadła w nie mniejszy polityczny impas niż władza, nastrój splinu pleni się zaś w jej szeregach nawet bardziej niż w obozie władzy

Scena, na której swoją rolę odgrywa Platforma, a wraz z nią cała opozycja, w niczym się nie zmienia. Na tej scenie każdorazowy lider Platformy skazany zostaje na nieustanną i wyczerpującą potrójną intrygę, tak by ratując suwerenność partii, blokować wysiłki zjednoczeniowe, starać się zabić kolejnego zewnętrznego rywala, a przy tym jeszcze bronić własnej pozycji przed wewnętrzną frondą wspieraną przez Tuska. A do tego wszystkiego – nieszczęsny – musi jeszcze z dobrą miną do złej gry udawać publicznie, że to, co absorbuje jego myśli, uczucia i wysiłki niemal w stu procentach, w ogóle nawet nie mogłoby przyjść mu do głowy! Ilekroć ta strukturalna zagwozdka powraca, Platforma popada na powrót w splin i polityczny impas.

DWA ŚWIADECTWA

Impas po obu stronach najlepiej ilustrują świadectwa nerwowego zniecierpliwienia liderów obu walczących ze sobą obozów. Jest ich wiele, ale by uniknąć gołosłowności, warto przywołać dwa, spektakularne, bo ubrane w całkiem nieoczekiwane konteksty.

Jedno to wieczór sylwestrowy 2020, dwie godziny i kwadrans przed Nowym Rokiem. To wtedy ni stąd, ni zowąd pojawia się na Twitterze zaskakujący i niezwykle uczuciowy wpis szefa Platformy, nie wiadomo dlaczego akurat w tamtej chwili oskarżający obóz władzy, iż jest: „bandą prymitywnych złodziei chroniących się pod biało-czerwonymi sztandarami".

I świadectwo drugie. Starachowice, 16 stycznia 2021 r. Tradycyjna msza św. w intencji zmarłej matki prezesa PiS. W takich okolicznościach lider obozu władzy, poirytowany pokrzykiwaniem kilku feministek pod kościołem, wychodzi przed ołtarz, aby stamtąd obwieścić: „Zło atakuje nasz kraj, naszą ojczyznę, nasz naród (...) i Kościół". Niemal zawsze, w każdym razie gdy idzie o przywódców partyjnych, tego rodzaju rezonerstwo i dążność moralizatorska znamionują trudność sformułowania realnego planu politycznego, który dawałby nadzieję na przełamanie splinu i wyjście z impasu.

eprasa.pl c9dabefecc

Kim pan jest, panie Tusk?

Niemcy zawsze stanowiły dla niego ważny punkt odniesienia. Zarówno z powodów biograficznych, jak i politycznych. Polska raczej na tym nie zyskała

STANISŁAW JANECKI

Pierwszy raz przemówił (przez prawie 18 min) po niemiecku 6 grudnia 2020 r. do uczestników forum Willy'ego Brandta, przypominając wizytę ówczesnego kanclerza Niemiec 7 grudnia 1970 r. w Warszawie oraz jego klęczenie przed pomnikiem Bohaterów Getta. Za plecami miał sztuczne tło z gdańskim żurawiem. Drugi raz na podobnym tle i znowu po niemiecku (przez niecałe 4 min) Donald Tusk wystąpił 16 stycznia 2021 r., przekazując swoje przesłanie, jako przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej,

Fot. ERIC FEFERBERG/AFP/East News

eprasa.pl c9dabefecc

do uczestników kongresu niemieckiej CDU, kiedy to wybierano nowego szefa partii. W obu wypadkach Tusk czytał tekst z promptera, a wystąpienia były wcześniej nagrane. Zdobył się na przemówienia po niemiecku, choć wcale dobrze tym językiem nie włada, co zresztą słychać po bardzo kiepskiej wymowie i widać po tym, jak wolno czyta.

Na żywo zapewne by się nie odważył.

Gdy w marcu 2008 r. dziennikarz gdańskiej „Gazety Wyborczej" Roman Daszczyński pytał matkę Donalda Tuska – Ewę Tusk-Ochelską, czy „dzieci nauczyły się od pani niemieckiego", ta odpowiedziała: „A gdzie tam! Wciąż świetnie mówię po niemiecku, ale nie chciały. Mogły też nauczyć się języka od mojej mamy. [...] Dopiero pod koniec ogólniaka [Sonia, siostra Donalda] przyszła powiedzieć, że chce się poduczyć, bo może by poszła na germanistykę". „A syn nauczył się niemieckiego?" – pytał dziennikarz. „Tak, ale później niż Sonia, gdy już studiował historię". Nigdy nie była to jednak znajomość biegła, a nawet średnia, co łatwo sprawdzić, rozmawiając z Tuskiem po niemiecku. Skoro były premier Polski mówi słabo po niemiecku, jego dwa wystąpienia w krótkim czasie to była więc demonstracja. I spory wysiłek. Co w ten sposób chciał zademonstrować?

NAGRADZANY PRYMUS

Donald Tusk od młodości podkreślał specyfikę kulturową i narodowościową Gdańska i dużej części Pomorza. Często mówił, że jest przede wszystkim gdańszczaninem, ewentualnie Kaszubem. Aktywnie włączył się w tworzenie mitologii gdańskości i kaszubskości jako odmiennej formacji kulturowej – ponadpaństwowej i niepolskiej, na przykład podczas spotkań z pisarzem Günterem Grassem czy z ówczesną szefową Związku Wypędzonych Eriką Steinbach. Tusk mówił: „Moja mama, dopiero mając 11 lat, uczyła się polskiego. Przez całe swoje dzieciństwo i wczesną młodość miałem dziwną sytuację: byłem z polskiej rodziny używającej gdańskiej niemczyzny". W Niemczech Tusk był traktowany jako „swój". Jako ktoś, kto z powodu korzeni i rodzinnych doświadczeń jest lepszy niż każdy inny polski polityk.

Nie było zatem wielkiego zdziwienia po tym, co w kwietniu 2014 r. ujawnił były ważny działacz Platformy Obywatelskiej Paweł Piskorski. Oznajmił on, iż był świadkiem, jak na początku lat 90. Kongres Liberalno-Demokratyczny, kierowany przez Tuska od 19 maja 1991 r., dostał milion marek od CDU. Pytany o to Andrzej Olechowski, jeden z twórców Platformy Obywatelskiej, stwierdził: „Pieniądze mogły być, bo wtedy pieniędzy zagranicznych było w Polsce dużo. Zachód wspierał polską demokrację". Krzysztof Wyszkowski, były działacz KLD, dodał: „Jeśli Piskorski, o którym wiadomo, że był człowiekiem ze środka Kongresu, mówi, że brali pieniądze od CDU, to mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą. To są dowody źródłowe". Inny bliski kiedyś współpracownik Tuska Janusz Palikot stwierdził z kolei, że przed 2005 r. późniejszy premier był szkolony przez specjalistów pracujących dla CDU i po to wyjeżdżał do Niemiec.

Gdyby przeanalizować to, co Donald Tusk jako premier Polski robił w kontrze do Niemiec i ich interesów, często sprzecznych z interesami naszego kraju, mamy tylko dwa przypadki słownych deklaracji, z których zresztą zaraz się wycofał. Wiele przesłanek wskazuje na to, że od początku swej drugiej kadencji jako premiera, czyli od listopada 2011 r., Tusk przymierzał się do objęcia ważnej funkcji w instytucjach Unii Europejskiej, mimo że oficjalnie temu zaprzeczał, np. 11 czerwca 2013 r. w TVN24. Promotorem Tuska stała się kanclerz Niemiec Angela Merkel. Polityka Tuska jako premiera już w pierwszej kadencji była otwarcie proniemiecka, a w drugiej Polska wręcz wymagała od Niemiec przewodnictwa i opieki, czego ukoronowaniem było wiernopoddańcze przemówienie szefa MSZ Radosława Sikorskiego 28 listopada 2011 r. w Berlinie – w pełni skonsultowane z Tuskiem. Sikorski mówił wtedy: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa".

Po listopadzie 2011 r. żadna ważna decyzja rządu Tuska nie mogła być i nie była sprzeczna z interesem Niemiec, co skutkowało np. upadkiem polskich stoczni. I aż do agresji Rosji na Krym żadna ważna decyzja Tuska nie mogła być wroga wobec Moskwy, jeśli Berlin tego nie chciał, a przeważnie nie chciał. Dla zmotywowania i usatysfakcjonowania Tuska jako „przyjaciela Niemiec" przyznano mu najważniejsze niemieckie nagrody: 13 maja 2010 r. – Nagrodę im. Karola Wielkiego (laudacja Angeli Merkel), 10 listopada 2011 r. – Nagrodę Złotej Wiktorii dla Europejczyka Roku, 31 maja 2012 r. – Nagrodę im. Waltera Rathenaua (laudacja Angeli Merkel). Najważniejszą nagrodą Niemiec dla Tuska było jednak stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, które Merkel wynegocjowała w pierwszej połowie 2014 r. To Niemcy i ich kanclerz zapewnili też w marcu 2017 r. drugą kadencję dla Tuska, otwarcie wchodząc w tej sprawie w konflikt z rządem Beaty Szydło. Tuska jednolitofrontowo poparły wtedy najważniejsze niemieckie media.

Jako przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk przyznał UE, która działała w wielu sprawach pod dyktando Niemiec, prawo ingerowania w polskie sprawy, np. 19 stycznia 2016 r. w wystąpieniu w Parlamencie Europejskim. Tusk wsparł niemieckie żądania, by zmusić takie państwa jak Polska do przyjęcia niekorzystnych zasad polityki migracyjnej, w tym płacenia kar za odmowę przyjmowania kwot uchodźców. Od początku 2015 r. Tusk stał się de facto jednym z najważniejszych narzędzi antypolskich działań instytucji UE, forsowanych przede wszystkim przez Niemcy, choć oficjalnie występowały one w cieniu.

NIEMIECKI ŚLAD

Język niemiecki i niemieckość w rodzinie Donalda Tuska były obecne właściwie zawsze. Jak na rok przed śmiercią mówiła Ewa Tusk, jej „mama i babcia chciały [po zakończeniu wojny wyjechać do Niemiec], w końcu były Niemkami. Obie jednak zostały w Gdańsku, bo tata stanowczo powiedział, że nigdzie nie pojedzie". To oznacza, że w domu rodzinnym Ewy Tusk mówiło się po niemiecku, a ona zaczęła się uczyć polskiego dopiero po wojnie. Matka Ewy Tusk była Niemką – nazywała się Anna Gertrude Liebke (1908–1997) i była córką

eprasa.pl c9dabefecc

Ottilii Johanny Krause (ur. 1879) oraz Alberta Franza Liebkego (ur. 1879). Anna Dawidowska z domu Liebke pracowała jako korektorka w niemieckiej gazecie w Sopocie, a polskiego zaczęła się uczyć dopiero po wojnie, gdy miała już 38 lat. W domu Donalda Tuska seniora, ojca byłego premiera RP, mówiło się i po niemiecku, i po polsku. Żyjący krewni Donalda Tuska twierdzą, że 1 września 1939 r. jego dziadek Józef Tusk najpierw się ukrywał, a potem zgłosił na policję i został aresztowany. Ale z aresztu wyszedł i następnie pracował jako robotnik rolny. 19 marca 1940 r. Józef Tusk znalazł się w obozie Stutthof, gdzie pracował przy równaniu wałów ochronnych w Reimerswalde, a potem w stoczni Schichaua w Elblągu. W sierpniu 1941 r. Józef Tusk miał zostać przywieziony do gdańskiego gestapo, a stamtąd przeniesiony do obozu Neuengamme koło Hambugra. O pobycie Józefa Tuska w obozie nie ma żadnych informacji. Wiadomo tylko, że został zwolniony 26 sierpnia 1942 r. Pracę znalazł w fabryce Schatza, u którego zatrudniona była już jego żona. 2 sierpnia 1944 r. Józef Tusk został wcielony do 328 zapasowego batalionu szkoleniowego grenadierów, czyli do jednostki Wehrmachtu. We wrześniu 1944 r. został on przekształcony w 328 Grenadier-Ersatz-und Ausbildungs-Bataillon. W życiorysie z 1948 r., przechowywanym w gdańskim oddziale Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych, Józef Tusk napisał: „25 sierpnia 1944 roku Niemcy wysłali mnie do Niemiec na roboty przy budowie okopów i pracowałem przy budowie bunkrów, rowów przeciwpancernych itd". Eleonora Gurkowska, córka Józefa Tuska, w sierpniu 2006 r. opowiadała dziennikarce Barbarze Szczepule, że ojca „wysłano chyba na front wschodni, do Kurlandii, bo jeszcze z Nowego Portu mama dostała od niego wiadomość, że takie pogłoski krążą wśród nowo powołanych". A „z tej Kurlandii przerzucono ojca statkiem do Danii i tam gdzieś – gdzie, nie wiadomo – zaraz dostał się do niewoli angielskiej czy amerykańskiej".

W lipcu 2006 r. Donald Tusk otrzymał z archiwum brytyjskiego Ministerstwa Obrony informację, że „Józef Tusk, urodzony 23 marca 1907 roku w Gdańsku, syn Józefa, nie figuruje w żadnym wykazie", choć wcześniej członkowie rodziny twierdzili, że trafił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Ewa Tusk mówiła w 2008 r. Romanowi Daszczyńskiemu: „Teść uciekł z Wehrmachtu do polskiego wojska". Co się więc działo z Józefem Tuskiem po 24 listopada 1944 r., kiedy to – jak wynika z zapisu w niemieckim archiwum – przestał być żołnierzem Wehrmachtu? Był niemieckim jeńcem wojennym zatrzymanym przez Brytyjczyków?

> „Moja mama, dopiero mając 11 lat, uczyła się polskiego. Przez całe swoje dzieciństwo i wczesną młodość miałem dziwną sytuację: byłem z polskiej rodziny używającej gdańskiej niemczyzny" – opowiadał Tusk

Do Sopotu Józef Tusk wrócił w październiku 1945 r. We wrześniu 2006 r. Donald Tusk twierdził: „Myślę, że dziadek Józef był polskim patriotą. We wrześniu 1939 r. nie wyrzekł się polskości, za co kilka lat przesiedział w hitlerowskich obozach. W 1945 roku wrócił do Polski i nigdy nie myślał o emigracji, choć przecież mógł wyjechać".

Drugi dziadek Donalda Tuska Franciszek Dawidowski 1 września 1939 r. schował się w studni, gdzie przesiedział tydzień. Córka Ewa, matka Donalda Tuska, opuszczała mu jedzenie na sznurku. Gdy się ujawnił, skierowano go na przymusowe roboty do stoczni, a potem do Kętrzyna, gdzie – jak wspominała Ewa Tusk – „pracował jako robotnik przy budowie Wilczego Szańca". „Doszło do katastrofy budowlanej, bodajże zawalił się jakiś sufit. Wśród rannych był mój tatuś, położyli go w szpitalu polowym. [...] Któregoś dnia cały personel medyczny zaczął zachowywać się tak, jakby szedł na defiladę. I nagle – do sali wchodzi Hitler. Sala była duża, a on chodził od łóżka do łóżka i podawał chorym rękę. Tata leżał obok kolegi Polaka. Obaj powiedzieli sobie, że za żadne skarby nie podadzą Hitlerowi ręki, więc udawali umarlaków. Tata zezował tylko przez przymrużone oko, co się dzieje. Hitler podszedł do jego łóżka, lekko się nachylił, zobaczył, że stan jest ciężki, i tylko poklepał tatusia po ramieniu" – mówiła w 2008 r. Ewa Tusk Romanowi Daszczyńskiemu. Opowiedziała też o Marii Dawidowskiej, siostrze ojca, która zginęła 30 stycznia 1945 r. Była na pokładzie statku „Wilhelm Gustloff", storpedowanego przez sowiecki okręt. Ewa Tusk mówiła: „Nie [uratowała się]. Ani ona, ani trójka jej małych dzieci. Ocalał tylko jej najstarszy syn, ale imienia nie pamiętam. Po wojnie mieszkał w Niemczech, podobno już nie żyje". Jest bardzo mało prawdopodobne, a wręcz niemożliwe, żeby Polka z czwórką dzieci znalazła się wśród pasażerów MS „Wilhelm Gustloff", gdzie na pokładzie byli m.in. gestapowcy, członkowie NSDAP, policjanci, żołnierze, pracownicy niemieckiej administracji. Polskich cywilów tam nie było. Jeśli nie Maria Dawidowska była w styczniu 1945 r. z jakichś powodów ważna dla uciekających Niemców, to ważny mógł być jej mąż, o którym jednak nic nie wiemy. Podobnie jak niewiele wiemy o rodzinach Tusków i Dawidowskich przed wojną, w jej trakcie oraz krótko po jej zakończeniu.

Choć dopiero u schyłku swojej politycznej kariery Donald Tusk zaczął przemawiać po niemiecku, Niemcy zawsze stanowiły dla niego ważny punkt odniesienia. Zarówno z powodów biograficznych, jak i politycznych. A te biograficzne skłaniałyby do ostrożności i dystansu wobec Niemiec. Tego dystansu jednak nie potrafił zachować nawet jako premier polskiego rządu. Może dla kariery europejskiej, niemożliwej bez niemieckiej opieki i wsparcia? Może dlatego, że współczesne Niemcy były dlań znacznie bardziej wzorem państwa niż współczesna Polska? Polska na tym raczej nie zyskała, w przeciwieństwie do Donalda Tuska.

eprasa.pl c9dabefecc

Obok Marcina Warchoła i Roberta Winnickiego kolejna osoba publiczna przyznała się do stosowania amantadyny w leczeniu COVID-19. Tym razem jest to Małgorzata Gersdorf, była pierwsza prezes Sądu Najwyższego. „Niewątpliwie lepiej się czuję, to mnie trzyma przy życiu" – przyznała profesor w rozmowie z Polsat News

Tak według pacjentów działa amantadyna

DOROTA ŁOSIEWICZ

Przypomnijmy tylko, że amantadyna to lek stosowany w leczeniu niektórych chorób neurologicznych, np. choroby Parkinsona. Amantadyna pierwotnie była używana jako lek przeciwwirusowy m.in. u pacjentów z grypą typu A. Jednak od około dekady na tę chorobę nie jest ordynowany. Dzięki nieugiętej postawie dr. Włodzimierza Bodnara, który dość długo pukał do wszystkich możliwych drzwi z informacją, że amantadyna może być skuteczna w leczeniu COVID-19, pod wpływem społecznej presji w połowie grudnia ubiegłego roku Ministerstwo Zdrowia wystąpiło do Agencji Badań Medycznych o przeprowadzenie badania klinicznego dotyczącego skuteczności amantadyny w leczeniu koronawirusa. Środki na przeprowadzenie badania otrzymał prof. dr hab. n. med. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego oraz kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. W kwietniu wraz z prof. Pawłem Griebem pierwsi

eprasa.pl c9dabefecc

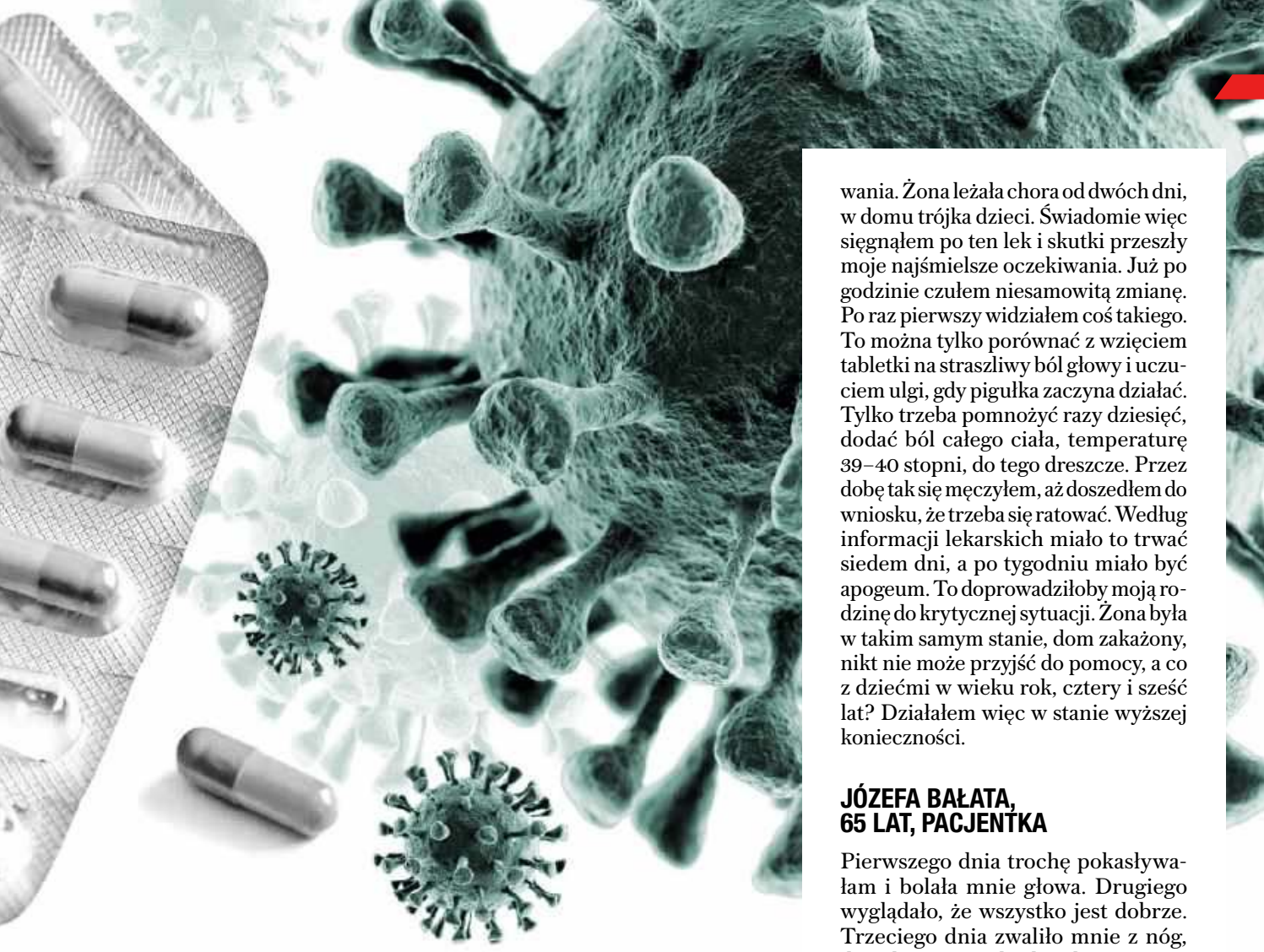

na świecie opisali w artykule naukowym możliwe działanie ochronne amantadyny przeciwko infekcji COVID-19 u pacjentów z chorobami neurologicznymi. Powstał też wówczas projekt badania klinicznego, na którego realizację nie znaleziono wtedy środków. Znalazły się dopiero teraz. Prof. Rejdak będzie badał skuteczność kuracji amantadyną w przypadkach lekkich, w początkowej fazie infekcji. W resorcie zdrowia i w ABM wciąż toczą się rozmowy, czy będzie drugie badanie, tym razem przypadków cięższych, bardziej zaawansowanych. W nim miałoby wziąć udział Górnośląskie Centrum Medyczne oraz dr Włodzimierz Bodnar, który ma na koncie 30 lat doświadczenia w pracy z amantadyną oraz setki, jeśli nie tysiące, wyleczonych pacjentów. Wywiady z prof. Rejdakiem, a wcześniej z dr. Bodnarem publikowaliśmy w poprzednich numerach tygodnika „Sieci".

Ponieważ sprawa amantadyny budzi duże emocje, a nawet kontrowersje, a wielu ekspertów w ogóle nie chce dopuścić do siebie możliwości, że może istnieć lek, który działa przyczynowo na SARS-CoV-2, publikujemy dziś kilka relacji osób, które twierdzą, że wyzdrowiały dzięki amantadynie, a z którymi rozmawiałam w ostatnich tygodniach.

MARCIN WARCHOŁ, WICEMINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Przykłady leczenia amantadyną są liczne i bardzo pozytywne i płyną z moich rodzinnych stron, z Przemyśla. Wiele osób wyzdrowiało tam dzięki temu lekowi. Są wśród nich osoby z mojej rodziny i bliscy znajomi. Sięgnąłem po ten lek w akcie desperacji. Byłem przekonany, że ratuję w ten sposób swoje zdrowie i zdrowie mojej rodziny. A czułem się naprawdę fatalnie. To, co koronawirus może zrobić z człowiekiem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Żona leżała chora od dwóch dni, w domu trójka dzieci. Świadomie więc sięgnąłem po ten lek i skutki przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Już po godzinie czułem niesamowitą zmianę. Po raz pierwszy widziałem coś takiego. To można tylko porównać z wzięciem tabletki na straszliwy ból głowy i uczuciem ulgi, gdy pigułka zaczyna działać. Tylko trzeba pomnożyć razy dziesięć, dodać ból całego ciała, temperaturę 39–40 stopni, do tego dreszcze. Przez dobę tak się męczyłem, aż doszedłem do wniosku, że trzeba się ratować. Według informacji lekarskich miało to trwać siedem dni, a po tygodniu miało być apogeum. To doprowadziłoby moją rodzinę do krytycznej sytuacji. Żona była w takim samym stanie, dom zakażony, nikt nie może przyjść do pomocy, a co z dziećmi w wieku rok, cztery i sześć lat? Działałem więc w stanie wyższej konieczności.

JÓZEFA BAŁATA, 65 LAT, PACJENTKA

Pierwszego dnia trochę pokasływałam i bolała mnie głowa. Drugiego wyglądało, że wszystko jest dobrze. Trzeciego dnia zwaliło mnie z nóg, dostałam gorączki, kaszlu. Nie mogłam słowa powiedzieć, czułam się, jakby ktoś mi siedział na piersi. Bolały mnie nogi, głowa. W pierwszym dniu straciłam węch i smak. Zachorowałyśmy obie z córką. Wymaz był pozytywny. W sobotę skontaktowałyśmy się z doktorem, który zapisał amantadynę, a synowi udało się ją wykupić. Doktor powiedział, jak mamy ją brać. Najpierw jedna tabletka, po godzinie druga, a później ja miałam wziąć kolejną tabletkę za sześć godzin, a córka za osiem. I tak przez dwa dni. A później po dwie tabletki dziennie – rano i wieczorem. I po dwóch dniach stanęłam na nogi bez gorączki, miałam lekką chrypkę, ale czułam się jak nowo narodzona. Już wiedziałam, że będę żyć. A dwa dni wcześniej chciałam pisać testament, ponieważ grypę zawsze przechodziłam bardzo ciężko, mam choroby współistniejące. Córka też po dwóch dniach czuła się zdrowa. Oczywiście jeszcze dokończyłyśmy kurację amantadyną w mniejszych dawkach.

Fot. N Crittenden / Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

ROBERT WINNICKI, POSEŁ KONFEDERACJI

Tydzień przed Wigilią zacząłem lekko pokasływać, na co nawet nie zwróciłem za bardzo uwagi. Ale już następnego dnia miałem ciężką grypę. Z gorączką, osłabieniem, bólami mięśniowymi. Ze wszystkimi typowymi objawami. Miałem poważny problem, żeby otrzymać poradę lekarską w warszawskiej poradni, dostałem termin za kilka dni. Zrobiłem więc prywatnie test w kierunku COVID-19. Po kilkunastu godzinach okazało się, że jestem chory. Czułem się fatalnie, gorączka nie ustępowała. Skontaktowałem się więc z dr. Włodzimierzem Bodnarem i on wprowadził leczenie amantadyną. Gorączka ustąpiła około południa, a pierwszą tabletkę wziąłem wieczorem, więc zażycie leku nie było bezpośrednią przyczyną spadku gorączki, ale po leku gorączka już nie wróciła. Pokasływałem, byłem osłabiony, miałem utratę węchu i smaku, ale ciężki stan już się nie powtórzył. Biorę poprawkę na to, że jestem dość młody, nie mam chorób współistniejących i może nie chorowałbym ciężko, ale z drugiej strony są też młodzi ludzie, którzy tę chorobę przechodzą ciężko.

MIROSŁAW KORYŚKO, ORTOPEDA

Przechorowałem COVID-19 bardzo ciężko. Zacząłem brać amantadynę zdecydowanie za późno. Generalnie nie używam leków, nie mam żadnych chorób współistniejących, nigdy nie chorowałem na grypę. Nie spodziewałem się, że może mnie trafić koronawirus. Sam sobie przepisałem antybiotyk, by leczyć się w kierunku zapalenia. W trzeciej dobie było tylko gorzej, wydawało mi się, że wypluję płuca od kaszlu. Skontaktowałem się wówczas z dr. Bodnarem, który powiedział, żeby natychmiast brać amantadynę, ponieważ mam COVID-19. Doktor kazał wziąć pierwszą dawkę, po dwóch godzinach drugą, a następnie trzecią i przed północą do niego zadzwonić i powiedzieć, czy jest lepiej. Zdziwiłem się, bo miałem 40 stopni gorączki, nie wierzyłem, że tak szybko mogę się poczuć lepiej. A proszę mi wierzyć – pierwsze efekty były już po czterech godzinach. Jakby ze mnie wyłaził duch. Natychmiast ustąpiły bóle głowy, mięśni, pieczenie i ból pleców. Pozostała gorączka i kaszel. Ponieważ lek wziąłem za późno, doszło już do zapalenia płuc. Miałem jednak możliwość włączyć antybiotyk dożylnie, co zrobiłem. Amantadyna miała piorunujące działanie.

> Proszę mi wierzyć – pierwsze efekty były już po czterech godzinach. Jakby ze mnie wyłaził duch. Natychmiast ustąpiły bóle głowy, mięśni, pieczenie i ból pleców. Ponieważ lek wziąłem za późno, doszło już do zapalenia płuc

BOGUSŁAW DROŃ, SYN WYLECZONYCH 80-LATKÓW

Rodzice mieli temperaturę, skontaktowali się z lekarzem rodzinnym, który udzielił teleporady i zapisał tacie antybiotyk. Ale z każdym dniem było coraz gorzej. Po półtora tygodnia doszło do tego, że tata przestał jeść i przyjmować płyny. Cały czas spał. Nie miał już nawet siły siedzieć. Był tak słaby, że postanowiłem działać. Zadzwoniłem do dr. Bodnara, odebrał mimo późnej godziny. Zapisał lek, amantadynę. Na drugi dzień tata i mama poczuli się lepiej, a po dwóch dobach moi rodzice, którzy nie mogli się podnieść z łóżka, zeszli z czwartego piętra po schodach. Udaliśmy się do pana doktora, który zdiagnozował u taty zapalenie płuc i podjęliśmy dalsze leczenie. Po dwóch dobach nastąpiła niesamowita, wręcz nieprawdopodobna zmiana w samopoczuciu rodziców.

* * *

I jeszcze kilka opinii, które umieścili pacjenci na stronie poradni, w której przyjmuje dr Włodzimierz Bodnar.

IZABELA

Dziękuję za uratowanie życia mojego męża. Test COVID-19 pozytywny, osiem dni duszności, ból całego ciała, kaszel powodujący wymioty i problemy ze złapaniem oddechu. Temperatura 39,5, ciężka do obniżenia, utrzymywała się przez pięć dni – co trzy godziny zbijana paracetamolem 1000 mg naprzemiennie z aspiryną bez większych skutków. Dopiero po użyciu amantadyny efekt już po pierwszej dawce. Z każdą kolejną dawką stan męża był coraz lepszy, a obecnie – po 48 godzinach – brak gorączki od wczoraj, bez konieczności podawania dodatkowych leków przeciwgorączkowych, ataki kaszlu są znacznie rzadsze, bóle ciała ustępują.

ANONIM

Mój mąż, lat 59, z wszczepionym kardiowerterem-defibrylatorem serca od dwóch tygodni zmagał się z wysoką gorączką 39 do 40,5 stopni Celsjusza (i nie spadała poniżej 38 stopni, pomimo leków obniżających gorączkę), a także innymi objawami: zwłaszcza bóle brzucha i duże mdłości, kaszel z powodu COVID-19. Od doby przyjmuje lek od Pana Doktora, temperatura utrzymuje się na poziomie 37,7 stopni, mdłości i bóle brzucha ustały. Mąż wstał i samodzielnie się porusza, zjadł też posiłek. Jesteśmy bardzo wdzięczni, bo nasza sytuacja pozbawiała nas nadziei. Poprawa jest ogromna!

ANONIM

Babcia 83 l. W ósmej dobie choroby stan zaczął się pogarszać. Saturacja 84, trudności w oddychaniu i wysoka: 39 stopni gorączka. W szpitalu brak miejsc – szpital odmówił przyjęcia. Koncentrator tlenu pozwolił po nocy doprowadzić do saturacji 94. Po 48 godzinach od podania amantadyny gorączka ustąpiła. Saturacja powoli wraca do normy. Babcia odzyskuje siły.

eprasa.pl c9dabefecc

Nowy gorszy świat?

Jedną z długofalowych konsekwencji obecnej pandemii może być ograniczenie ludzkiej wolności. Przyczynić się do tego może rozwój nowych technologii umożliwiających kontrolowanie naszego życia, a także koncentracja kapitału, rosnące nierówności i będąca ich skutkiem pauperyzacja dużej części społeczeństwa. Oczywiście ten scenariusz nie musi się spełnić, nie istnieje tu żaden determinizm, jednak ryzyko jest już na tyle widoczne, aby się zaniepokoić

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wychowywani od wielu pokoleń w oświeceniowym duchu przywykliśmy do myśli, że świat niezmiennie kroczy drogą postępu, co oznacza, że przyszłość może być tylko lepsza. Nie dopuszczamy do siebie odwrotnego poglądu, że nie istnieje żaden dziejowy determinizm i niewykluczone, że naszym dzieciom i wnukom będzie się wiodło gorzej niż nam. Jako jednostki nie mamy bowiem większego wpływu na procesy zachodzące w skali globalnej, a te – co dobrze ujawniła obecna pandemia – zaczęły w ostatnim czasie zmierzać w złym kierunku.

Gdy tydzień temu europejskie rządy podniosły larum z powodu aresztowania na moskiewskim lotnisku Aleksieja Nawalnego, rosyjski szef dyplomacji Siergiej Ławrow odpowiedział im z przekąsem, że obrona lidera antykremlowskiej opozycji jest jedynie kolejną próbą odwrócenia uwagi od kryzysu liberalnej demokracji. I – niezależnie od tego, co każdy z nas myśli o autorytarnych rządach w Rosji – Ławrow w gruncie rzeczy miał rację. Bo jasne jest przecież, że na krzyku się skończy. Zachodnim demokracjom coraz trudniej przychodzi dziś forsowanie swojej agendy. Przeciwnie, wiele wskazuje na to, że same coraz bardziej zaczynają się upodabniać do swoich autorytarnych przeciwników.

Liberalny porządek przeżywa kryzys od chwili, gdy Francis Fukuyama błędnie uznał go za dopełnienie dziejów. Narastające problemy były zwiastowane zarówno przez perturbacje w coraz bardziej skartelizowanej gospodarce, takie jak choćby krach finansowy z 2008 r., jak i poprzez zaostrzenie konfliktu cywilizacyjnego (ataki terrorystyczne, kolejne fale migracji). Osłabienie

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

zachodnich demokracji uruchomiło z kolei zmiany w globalnym układzie sił, które doprowadziły m.in. do gwałtownego wzrostu potęgi Chin.

Nic więc dziwnego, że tak chętnie uwierzono w teorię głoszącą, iż trwająca od roku pandemia koronawirusa jest chińskim spiskiem, który ma powalić liberalną demokrację na kolana. Jednak choć ta teoria brzmi atrakcyjnie dla ucha, to problem wydaje się znacznie bardziej skomplikowany.

PORACHUNKI NA SZCZYTACH

Niezależnie od swoich źródeł pandemia koronawirusa zdołała już wywołać głęboką nieufność wewnątrz zachodnich społeczeństw, zresztą do pewnego stopnia skorelowaną z istniejącymi tu podziałami politycznymi. Jedni uważają, że pandemia jest poważnym zagrożeniem dla istnienia liberalnej demokracji, inni – przeciwnie – twierdzą, że pandemia to sztucznie wykreowane zjawisko, które wywołano po to, aby umocnić władzę liberalnego establishmentu.

Dwie kwestie nie ulegają jednak wątpliwości. Po pierwsze, pandemia – wbrew sceptykom – jest niezaprzeczalnym faktem, a po drugie, jej skutki rzeczywiście mogą doprowadzić do ograniczenia demokratycznych swobód. Spór idzie raczej o to, kto jest tu sprawcą, a kto ofiarą.

Liberałowie, jak się zdaje, szczerze wierzą w to, że padli ofiarą czegoś na kształt ataku terrorystycznego wymierzonego w obowiązujący porządek. Dlatego gotowi są zgodzić się na daleko idące restrykcje i zmiany, aby się bronić przed tym nie do końca zdefiniowanym wrogiem. W wielu społeczeństwach wywołuje to z kolei obawy, że walka z pandemią stanie się wygodnym pretekstem do trwałego ograniczenia swobód obywatelskich i powstania oświeconej dyktatury liberalnego establishmentu. I nie są to obawy całkiem bezzasadne. Kryzys wywołany pandemią okazuje się bowiem dobrą okazją do porachunków na szczytach. Przykładem może być upadek Donalda Trumpa. I nie chodzi tutaj o rzekomo sfałszowane wybory, lecz o nagłe załamanie notowań byłego prezydenta wskutek pandemii. Gwałtowny wzrost bezrobocia, pauperyzacja klasy średniej, zamieszki na tle rasowym oraz – na koniec – wycofanie poparcia przez wielki kapitał należały do głównych czynników, które doprowadziły do zmiany w Białym Domu. Medialny bojkot Trumpa na nienotowaną dotąd skalę jest już tylko konsekwencją jego słabości w ostatnich tygodniach prezydentury, ale zarazem również niepokojącym zwiastunem zupełnie nowych czasów.

Ośmieleni sukcesem liberałowie na naszych oczach przekształcają swoje rządy w twierdze nie do zdobycia, z których będą się bronić przed politycznymi rywalami. Cenzura, stygmatyzacja i bojkot posłużą im jako amunicja przeciwko konkurentom, a wszystko to przy nieustannej mobilizacji społeczeństwa do walki z zagrażającym stabilizacji wrogiem. Populistą, faszystą, trumpistą – epitety mogą być różne.

> Niepostrzeżenie zbliżamy się do wizji świata, w którym stajemy się niewolnikami niewielkiej grupki ludzi, mających dzięki technologii pełną kontrolę nad naszym życiem

SKOK NA KASĘ

Pandemia to nie tylko okazja do zmian politycznych, lecz również świetny moment do skoku na kasę. Początkowo się obawiano, że na kryzysie wywołanym pandemią skorzystają głównie Chińczycy mający dość zasobów, aby przejąć kontrolę nad różnymi gałęziami gospodarki zachodniej, ale dzięki szybko wprowadzonym regulacjom uniemożliwiającym wrogie przejęcia okazało się to utrudnione. Nowe regulacje nie uchroniły jednak rynku przed wewnętrznymi przetasowaniami i dalszą koncentracją kapitału.

Osoby, które dobrze znają rynek funduszów inwestycyjnych, są zdania, że ostatni rok był wyjątkowo udany dla tego typu biznesów. Przejęcia upadających firm, które w przyszłości będzie można odsprzedać z wielkim zyskiem, solidnie zasiliły kieszenie najbogatszych inwestorów. Bogaci stali się zatem jeszcze bogatsi, a biedni – jeszcze bardziej ubodzy.

Owładnięci lewicowym dogmatyzmem ekonomiści z ekipy Joego Bidena planują wykorzystanie tej sytuacji do przeprowadzenia zabiegu głębszej inżynierii społecznej. Zgodnie z zapowiedziami nowej administracji Białego Domu głównym kryterium pomocy finansowej dla zagrożonych firm będzie teraz kryterium rasowe. Oznacza to, że z pomocy tej wykluczeni zostaną biali przedsiębiorcy, uważani zresztą za potencjalnych zwolenników Trumpa. Oficjalnie tłumaczy się to potrzebą wyrównania szans różnych społeczności, dyskryminowanych dotąd przez biały biznes.

Przy czym ów biały biznes to zwykle niewielkie przedsiębiorstwa będące do niedawna fundamentem amerykańskiej wolności gospodarczej. Teraz – w ramach wyrównywania rachunków za niewolnictwo i inne krzywdy z przeszłości – biali będą musieli znacznie ciężej harować niż dotąd, aby utrzymać się przy życiu.

Są jednak i inni biali. Chodzi o ten 1 proc. najbogatszych, którzy kontrolują dziś 40 proc. całego majątku USA. Ich żadne restrykcje nie obejmą, bo to oni są głównymi donatorami obecnej ekipy w Białym Domu. I mają nadzieję na jeszcze większy udział w zyskach.

Wystarczy jeden rzut oka do danych, aby się zorientować, że wielkie korporacje odkryły podczas pandemii prawdziwe eldorado. W przypadku koncernów technologicznych ich przychody w okresie od stycznia do września 2020 r. (a więc w ciągu kilku zaledwie miesięcy pandemii) wzrosły w porównaniu z tym samym okresem roku poprzedniego. Według portalu Statista.com Amazon zarobił 260,5 mld dol. (wzrost o 35 proc.),

eprasa.pl c9dabefecc

Apple – 182,7 mld (wzrost o 4 proc.), Alphabet (czyli Google) – 125,6 mld (wzrost o 9 proc.), Microsoft – 110,2 mld (wzrost o 13 proc.), a Facebook – 57,9 mld (wzrost o 17 proc.).

Oczywiście jest to związane m.in. z przeniesieniem podczas pandemii dużej części ludzkiej aktywności do sieci (zdalna szkoła, praca, zakupy przez internet itd.). Oznacza to jednak, że stało się to kosztem wielu innych branż, np. transportowej, tradycyjnego handlu, usług itd. A zatem część kasy, która trafiała dotąd do poszkodowanych branż, przepłynęła teraz do wielkich koncernów technologicznych. I trudno się spodziewać, że wielkie firmy będą chciały zrezygnować z tak łatwego zysku.

PRAWA NA KARCIE SIM

Dodatkowy niepokój musi budzić to, że wspomniane giganty technologiczne dzięki swoim mediom społecznościowym i serwerom w dużym stopniu kontrolują przepływ informacji, a zatem mają pośredni wpływ na nasze poglądy i wybory. Dysponując tak wielką władzą, mogą kształtować rzeczywistość. I ją kształtują na modłę liberalną – wraz z zaprzyjaźnionymi elitami politycznymi głównego nurtu.

Jak zauważył Łukasz Adamski w swoim niedawnym artykule na łamach tygodnika „Sieci", współzałożyciel Facebooka Dustin Moskovitz, którego majątek osobisty jest wyceniany na ponad 17 mld dol., wpłacił na rzecz Joego Bidena 25 mln. Twórca LinkedIn Reid Hoffman przekazał Bidenowi 17 mln dol., na same antytrumpowe memy wydając 4 mln. Tak sute czeki – pisze Adamski – nie trafiłyby do Bidena, gdyby nie Kamala Harris, która jeszcze jako senator z Kalifornii zbudowała bliskie relacje z Doliną Krzemową. Jej kampanie od lat wspierał m.in. Amazon, należący do najbogatszego człowieka na świecie Jeffa Bezosa, posiadającego, uwaga, 70 mld dol.

Oczywiście nic nie jest za darmo. Liberalne elity mogą liczyć na sponsoring finansowy i medialny wielkich koncernów technologicznych, ale muszą im dać coś w zamian. Mówi się więc, że do administracji Bidena trafią wkrótce menedżerowie oddelegowani przez wielkie korporacje, aby – w domyśle – pilnować tam interesów swoich dawnych pracodawców. Biden zapowiedział również – zgodnie z postulatami wielkiego biznesu – zaostrzenie walki z pandemią (inna rzecz, że strategia Trumpa była bardzo chaotyczna i nieudana). Wreszcie korporacje liczą na ocieplenie relacji z Chinami (dostawy podzespołów) i poluzowanie polityki migracyjnej, aby mieć wykwalifikowaną i tańszą siłę roboczą. Wielkie korporacje chcą więc większych zysków i jeszcze większej kontroli.

I nie chodzi tu wcale o rzekome chipy wstrzykiwane ludziom pod skórę wraz ze szczepionką. Takie bzdury opowiadają szkodliwi wariaci, którzy ośmieszają w ten sposób realny problem. Przykładowo w Korei Południowej można za pomocą dostępnych technologii odtworzyć cały dzień z życia człowieka w ciągu zaledwie 10 min. Potencjalnego nosiciela koronawirusa namierza się dzięki miejscom, w których logował się jego telefon, rejestruje się jego transakcje przy użyciu karty płatniczej oraz zapisy z kamer ulicznych i przemysłowych. W tej chwili szykowane są również aplikacje poświadczające zaszczepienie, które w przyszłości umożliwią dostęp do normalnego życia. Oczywiście wszystko to służy dziś dobrym celom, ale przecież nie mamy żadnych gwarancji, że ta technologia nie zostanie w przyszłości użyta do permanentnej inwigilacji obywateli.

W ten sposób niepostrzeżenie zbliżamy się do wizji świata zaprezentowanej przez Philipa K. Dicka w jego „Raporcie mniejszości". Świata, w którym nie istniejemy bez wcześniejszej rejestracji w systemie, a nasze prawa są zapisane na karcie SIM, i w którym stajemy się niewolnikami niewielkiej grupki ludzi, mających dzięki technologii pełną kontrolę nad naszym życiem.

> Pandemia to nie tylko okazja do zmian politycznych, lecz również świetny moment do skoku na kasę. Nowe regulacje nie uchroniły rynku przed przetasowaniami i dalszą koncentracją kapitału

OKAZJA DLA ZŁODZIEJA

Żaden przytomny człowiek obserwujący, co się wokół niego dzieje, nie powinien mieć więc wątpliwości, że jedną z konsekwencji obecnej pandemii może być ograniczenie jego wolności. Przyczynić się do tego może zarówno wykorzystanie nowych technologii w złym celu, jak i koncentracja kapitału, rosnące nierówności i będąca ich skutkiem pauperyzacja dużej części społeczeństwa, w tym klasy średniej, której niezależność finansowa uchodziła dotąd za najlepszą gwarancję obywatelskich swobód. Oczywiście ten scenariusz nie musi się spełnić, nie istnieje tu żaden determinizm, jednak ryzyko jest już na tyle widoczne, aby się zaniepokoić.

Zwłaszcza że na szok towarzyszący pandemii nakładają się zmiany kulturowe. Już wcześniej mówiło się o tym, że najlepszą metodą w walce z potencjalną zarazą jest zmniejszenie liczby ludności. Bo gdy liczba ludzi wzrasta w niekontrolowany sposób, to prędzej czy później natura zaingeruje i przetrzebi populację. Zamiast więc czekać na zrządzenie losu, należy przeciwdziałać zagrożeniu.

Takie postawienie sprawy może się stać dodatkowym argumentem za tym, aby ludzkie życie traktować wyłącznie w utylitarnych kategoriach, co sprawi, że aborcja i eutanazja będą już nie tylko „prawem człowieka", ale staną się również swego rodzaju obowiązkiem na rzecz ludzkości.

Pandemia nie jest oczywiście przyczyną zachodzących dziś zmian, ale – niczym okazja dla złodzieja – może je znacząco ułatwić i przyspieszyć. Dlatego w naszym najlepiej pojętym interesie jest ją jak najszybciej pokonać. Inaczej świat naszych dzieci i wnuków naprawdę może się stać gorszy.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Kto chce zablokować ten film?

Decyzję musiano podjąć bardzo nagle – o czym świadczy pozostawienie filmu w ramówce do późnych godzin popołudniowych. A przecież film jest gotowy od dziewięciu miesięcy, przeszedł analizy prawne, jest obwarowany umowami

Michał Karnowski rozmawia z Ewą Stankiewicz, dziennikarką zaangażowaną w dochodzenie prawdy o tragedii smoleńskiej, reżyserką filmu „Stan zagrożenia"

W środę 20 stycznia mieliśmy zobaczyć w TVP 1 pani najnowszy film „Stan zagrożenia". Ale nie zobaczyliśmy. Premierę odwołano. Co się stało?

Ewa Stankiewicz: Mogę się tylko domyślać. Przegrała wolność słowa – zwyciężyły naciski polityczne.

Znamy oświadczenie TVP, w którym czytamy, że „do Telewizji Polskiej wpłynęły zastrzeżenia natury formalnoprawnej, stwarzające poważne wątpliwości co do ryzyka użycia w filmie materiałów prawnie chronionych". I dalej: „TVP SA zobowiązała producenta filmu do wyjaśnienia wątpliwości i uzyskania zgód niezbędnych do wykorzystania materiałów użytych w filmie, w terminie umożliwiającym jego emisję w dniu 10 kwietnia 2021 roku". Czyli przesunięcie terminu emisji na termin z punktu widzenia tematyki nawet lepszy?

Niestety to nie takie proste. Oświadczenie TVP otwiera furtkę do przekładania terminu właściwie bez końca.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c9dabefecc

A przecież wszyscy autorzy podpisali umowy i ponoszą odpowiedzialność za film. Zastrzeżenia dotyczą ujawnienia ustaleń podkomisji – a film jedynie popularyzuje wiedzę zawartą w opublikowanym raporcie technicznym. Zatem nie o to tutaj chodzi.

To o co?

Podkreśliłam już w swoim oświadczeniu, że decyzję musiano podjąć bardzo nagle, o czym świadczy pozostawienie filmu w ramówce do późnych godzin popołudniowych. Oświadczenie telewizji wydano godzinę po czasie planowej emisji filmu. Film jest gotowy od dziewięciu miesięcy, przeszedł analizy prawne, jest obwarowany umowami, został wstawiony w ramówkę i był promowany zwiastunem TVP od tygodnia. Krótko przed emisją zaczęto nagle szukać pretekstu do jej wstrzymania. Najpierw miały to być błędy językowe, a następnie prawne. Wyciągnięto korespondencję sprzed ośmiu miesięcy – z maja ub.r. – próbę interwencji jednego z polityków, który usiłował zablokować – już wtedy – emisję filmu.

Który to polityk?

Każdy się może domyślić. Ten, który mając wszystkie atuty w ręku, od pięciu lat nie sfinalizował prac i wciąż to zapowiada.

Ale ja widziałem film „Stan zagrożenia" i to nie jest atak na kogokolwiek, lecz precyzyjna, dociekliwa analiza naszej wiedzy o tragedii dekadę później.

I może to właśnie jest problem? Mam coraz silniejsze wrażenie, że dziś wolno już wspominać ofiary, upamiętniać je, w każdym razie w środowiskach, w których się poruszamy oboje, ale dociekanie prawdy znowu jest jakby niemile widziane. Ja się tylko na wspominki nie godzę.

Może ktoś zapytać: dziesięć lat minęło, wchodzi w życie nowe pokolenie, po co do tego wracać, rozdrapywać?

Bo Polska nie będzie wolna, suwerenna i niepodległa, dopóki tej sprawy nie wyjaśnimy. Odwołam się do słów śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego z przemówienia, które miał wygłosić w Katyniu: że przez wiele lat miarą polskiej suwerenności było to, czy można było mówić o zbrodni w Katyniu, o tym kogo tam zamordowano i kto to zrobił. Uważam, że analogicznie dziś miarą autentycznej suwerenności instytucji naszego państwa jest to, czy możemy mówić o tym, jak zginęła nasza państwowa i narodowa elita 10 kwietnia 2010 r.

Wielu odpowiada: zdarzyła się katastrofa. Bywa.

Wszystkie dowody, jakie mamy, cała zgromadzona wiedza wskazują, iż nie ma innej możliwości niż rozpad samolotu wskutek eksplozji. I to nie paliwa, ale materiałów używanych w wojsku, przemyśle.

Wszystkie dowody, jakie mamy, cała zgromadzona wiedza wskazują, iż nie ma innej możliwości niż rozpad samolotu wskutek eksplozji. I to nie paliwa, ale materiałów używanych w wojsku, przemyśle

Są na to dowody?

Tak. Pokazaliśmy to precyzyjnie w filmie. Krok po kroku. Logicznie. Tego się nie da zakwestionować.

Uważam za wielką zaletę pani filmu, że można go pokazać komuś, kto tamtych wydarzeń nie pamięta albo o nich nigdy nie słyszał, nie zna polskiego kontekstu, a po niecałej godzinie będzie rozumiał skalę tragedii smoleńskiej i posmoleńskiej. Taki był cel?

Tak. Naszym założeniem było, by film był zrozumiały dla widza młodego, także międzynarodowego. Ale jak to w życiu bywa – coś za coś. Takie podejście spowodowało, że bardzo wiele indywidualnych ustaleń śledczych, szokujących faktów, nie mogło się znaleźć w „Stanie zagrożenia". Dlatego pracujemy już nad częścią drugą, szukam też wydawcy, który chciałby opublikować książkę zawierającą te materiały. Zwracam uwagę, że gdy mówię o filmie, używam w odniesieniu do autorów liczby mnogiej, bo efekt finalny jest zasługą całej ekipy: Pawła Suchty – montażysty i współtwórcy filmu, Roberta Kaczmarka – producenta wykonawczego, wspaniałej ekipy dokumentalistów oraz dobrych opiekunów w TVP – Anny Ferens i Dawida Wildsteina.

Co mogłoby się znaleźć w drugiej części filmu?

Przede wszystkim pójście tropami, które nie zostały zbadane przez oficjalne instytucje państwa polskiego. Dobrym przykładem jest zdobyta przeze mnie informacja o inwigilacji śp. Remigiusza Musia, technika pokładowego jaka-40, który wylądował w Smoleńsku i był kluczowym świadkiem w śledztwie, widział m.in. jako jeden z pierwszych miejsce katastrofy.

W październiku 2012 r. miał rzekomo popełnić samobójstwo. Wspomina pani o nim już w pierwszym filmie.

Tak. Znam relacje, iż osoby ze służby zdrowia były przymuszane przez policjantów, by robić z niego „wariata". Mam też zapisy wstrząsających rozmów z osobami, które pracowały przy samolocie tuż przed wylotem. Jedna z takich osób, młoda jeszcze, wkrótce po tragedii smoleńskiej nagle zmarła.

Film otwierają i zamykają wstrząsające obrazy z saloniku VIP lotniska wojskowego przed wylotem. Rozpoznajemy twarze osób, widzimy, jak się witają, rozmawiają. Kilka godzin później nie żyły. Takich materiałów – dla mnie nowych – jest w filmie więcej.

To są bezcenne materiały, które powinna znać opinia publiczna, które powinny być przedmiotem analizy prokuratury. Dobrze, że znalazły się w filmie. Dla mnie najbardziej wstrząsające obrazy to trumna z ciałem śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego na odjeżdżającej w błocie rosyjskiej ciężarówce. Nawet ta straszliwie figlarna, uśmiechnięta Ewa Kopacz

eprasa.pl c9dabefecc

w prosektorium nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, nawet zdjęcia zmasakrowanych ofiar. Te ostatnie ujęcia ze względów etycznych oczywiście nie znalazły się w filmie.

Teza filmu, jeśli dobrze odczytuję, jest taka, że śp. prezydent Lech Kaczyński, występując w obronie polskiej racji stanu, przeciw rosyjskiej agresji w regionie, naruszył wiele potężnych interesów. Stąd tytułowy „Stan zagrożenia"?

Polowano na niego też w kraju. Założono mu kilka miesięcy przed śmiercią podsłuchy, zorganizowano potężną medialną nagonkę, a ówczesne MSZ podjęło grę przeciwko prezydentowi, dążąc do obniżenia rangi jego wizyty w Katyniu i poziomu bezpieczeństwa. Po jego śmierci wiele spraw zostaje natychmiast odwróconych, od podpisanej wkrótce potem skrajnie niekorzystnej umowy gazowej z Rosją, przez wymianę dowództwa Wojska Polskiego, z natowskiego na przeszkolone w Moskwie, po całościowy zwrot w kierunku wschodnim.

Ten zwrot widać było też w warstwie symbolicznej: stawianie pomników sowieckim najeźdźcom z roku 1920, mówienie, iż z krwi w Smoleńsku ma wyrosnąć pojednanie polsko-rosyjskie.

To miało miejsce. Ale ja uparcie domagam się profesjonalnego dynamicznego, precyzyjnego śledztwa, które sięgnie także do tego, co działo się przed 10 kwietnia 2010 r. W mojej ocenie momentem, w którym już była decyzja o tym, co zrobić z prezydentem Kaczyńskim, najpóźniej był kwiecień 2008 r. Wtedy zaczynają się przedziwne manewry związane z przetargiem na remont tupolewa, mający przekierować samolot do Samary w Rosji. Tam samolot jest pozostawiony praktycznie bez ochrony. A mówimy o maszynie rządowej, wojskowej, używanej do przewożenia przywódców państwa! Gdy to przeprowadzono, można już było zrobić wszystko.

> To są bezcenne materiały, które powinna znać opinia publiczna, które powinny być przedmiotem analizy prokuratury. Dobrze, że znalazły się w filmie

Dużo uwagi poświęca pani w filmie analizie tego, co dzieje się na polu szczątków w Smoleńsku. Dlaczego to takie ważne?

Bo to nam niesamowicie dużo mówi. W delegacji oczekującej na lotnisku jest 19 Polaków, świadków pierwszych chwil po katastrofie. Pracownicy ambasady, attaché wojskowi, dodatkowo załoga jaka-40, przybiega z pobliża montażysta telewizyjny. Ich zachowania są rozbieżne, ale bardzo charakterystyczne dla pewnych postaw. Kto co robi? Co kto widzi? Kto kogo przed jakimi działaniami powstrzymuje? To są fundamentalne sprawy.

Wniosek?

Więcej o tym będzie w drugiej części filmu. Dziś mogę powiedzieć, że każdą z grup wydaje się kontrolować jedna osoba, próbująca w miarę szybko odprawić pozostałych jak najdalej od pola szczątków i uniemożliwić dokumentację. Robi to Tomasz Turowski, który powstrzymuje panią Emilię Jasiuk przed filmowaniem, a potem odprawia w ogóle z miejsca tragedii do zorganizowania sztabu w Smoleńsku. Z kolei Grzegorz Cyganowski rozkazuje Rosjanom, by aresztowali operatora kamery Sławomira Wiśniewskiego i odebrali mu sprzęt. Także gen. Grzegorz Wiśniewski, przedziwna postać, attaché wojskowy w ambasadzie, który jest na miejscu i szybko znika. To on odprawia z pola szczątków płk. Czarnotę, kierując go do rzekomej opieki nad załogą jaka-40. Tylko dotykamy licznych wątków, w których porządni śledczy mogliby znaleźć dużo wiedzy.

Idąc tymi tropami, dotyka pani właściwie tematu tabu – relacji o tym, że niektóre osoby mogły przeżyć samą katastrofę. Co wiemy o tym wątku?

Pamiętajmy, że ekipy rosyjskie jakimś cudem błyskawicznie są na miejscu. Ich przedstawiciele wybiegający z pola szczątków – niektórzy w białych fartuchach, inni po cywilnemu – mówią Polakom wbiegającym tam, że dwie czy trzy osoby w ciężkim stanie odwiozły karetki. To są relacje niezależne, powtarzające się kilkakrotnie w różnych wersjach. Jest taki stenogram przesłuchania Grzegorza Cyganowskiego, który mówiąc o tym, stwierdza, że w pewnym momencie przyszła informacja, by się tym nie zajmować, bo one nie przeżyły. Jeśli te osoby odwieziono do szpitala, to gdzie są ciała? Gdzie jest ciągłość zdarzeń? I rzeczywiście nasuwa się pytanie, dlaczego zobowiązani prawnie konsulowie nie podjęli swoich obowiązków, by ustalić miejsce pobytu ciał polskich obywateli? Dalej: dlaczego jeden z funkcjonariuszy BOR odmówił wykonania polecenia pojechania za karetkami? Czy prokuratura się tym zajęła? Albo postępowaniem gen. Mariana Janickiego, który odpowiada za to, że na lotnisku w Smoleńsku nie było ani jednego funkcjonariusza BOR! Pierwsi pojawiają się tam 30–40 min po katastrofie, przyjeżdżają z Katynia. Patrząc na wiele spraw związanych z tą tragedią, trudno opędzić się od myśli, że mieliśmy do czynienia ze współpracą przy zbrodni.

Przytacza pani w filmie ważne słowa prof. Andrzeja Nowaka, jednego z najwybitniejszych intelektualistów, o tym, że państwo polskie upada zawsze wtedy, gdy jego elity się na to godzą, gdy zaczynają współpracę z wrogami.

Czyż tak wtedy nie było? Nie chodzi tylko o najwyższe w Europie ceny gazu, które zafundowano Polakom, pewnie samemu coś za to dostając. Ale także w nakręcaniu kampanii nienawiści wobec śp. Lecha Kaczyńskiego, a potem Jarosława Kaczyńskiego. Pamiętam scenę na Krakowskim Przedmieściu: tłuszcza rozrywa kaczkę, wołając: „Jeszcze jeden". Czyli życze-

eprasa.pl c9dabefecc

nie śmierci, czyli radość z klęski, upokorzenia państwa polskiego. To nie były może elity, ale część elit temu przyklasnęła.

Niby pamiętamy, że Rosjanie od początku nie dążą do zachowania miejsca katastrofy w stanie umożliwiającym dochodzenie, raczej dążą do jego destrukcji, ale pokazanie tego przez panią klatka po klatce mocno porusza.

Już w pierwszej godzinie po katastrofie mamy do czynienia z przeniesieniem części wraku, o godz. 15 są gotowi do przewiezienia ciał do Moskwy, co trwa do wieczora. Pierwsze polskie ekipy, choć trudno nazwać je śledczymi, biorąc pod uwagę, co dziś o ich pracy wiemy, wchodzą tam najwcześniej o 19.30. Wtedy wszystko jest już właściwie „ogarnięte", ułożone przez Rosjan. I zaczyna się etap usypiania polskiej opinii publicznej, okłamywania jej, by nie domagała się działań. To też są rzeczy, które podlegają odpowiedzialności karnej. Brak takich działań powoduje, że ten tytułowy stan zagrożenia państwa polskiego trwa. Minęło przecież dziesięć lat! Mogę się zgodzić, że nie liczymy okresu rządów PO-PSL, bo oni prawdy nie chcieli na pewno. To wciąż jest pięć lat. I nie mamy nowego raportu komisji państwowej, i nie mamy finału prac prokuratury. Nad tym nie można przejść do porządku dziennego.

Staramy się tej sprawy pilnować. Ale słyszymy: trwają badania, próbki są w laboratoriach zagranicznych, wiele się robi. Nie ma wraku. To mocne argumenty?

Mnie nie przekonują. Holendrzy wyjaśnili zestrzelenie malezyjskiego samolotu MH17 z ich obywatelami na pokładzie nad Ukrainą w ciągu roku. Po czterech latach oskarżyli Rosję przed trybunałem w Hadze. Spójrzmy tam, poczytajmy, a się zawstydzimy!

Mieli wrak.

Bez wraku wyjaśniano bardzo wiele katastrof. Mało kto wie, ale Holendrzy de facto podstępem wydostali wrak, a właściwie jego część, oszukując macki rosyjskich służb na Ukrainie. Ile jeszcze lat? Wyrosło nowe pokolenie. Niektórzy świadkowie już poumierali, wielu się przeprowadziło, wielu coraz mniej pamięta. Podkreślam: jeśli państwo nie chroni głowy państwa, nie spełnia podstawowej powinności. Jeżeli nie umie wyjaśnić jej śmierci, nie może uchodzić za silne.

Co poszło nie tak, że tej prawdy nie mamy?

Ja sądzę po owocach i rozliczam osoby decyzyjne, liderów badania i śledztwa, a to nie wygląda dobrze. Wiem, że gdzieś w tej machinie borykają się bardzo utalentowane, zdeterminowane i oddane osobowości, ale często ich praca jest marnowana, blokowana i ośmieszana. Chcemy suwerenności, ale by ona była silna, musi przez takie sprawdziany przechodzić sprawnie.

> Uparcie domagam się profesjonalnego, precyzyjnego śledztwa, które sięgnie także do tego, co działo się przed 10 kwietnia 2010 r. Trzeba pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy odpowiadają za doprowadzenie do tej tragedii. W mojej ocenie dotyczy to kilkudziesięciu do kilkuset osób

Nie ma już szans na pełną prawdę?

Nie tylko mamy szansę, ale bardzo dużo już wiemy. Trzeba tylko zwolnić blokady, hamulce i hamulcowych. Trzeba pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy odpowiadają za doprowadzenie do tej tragedii. W mojej ocenie dotyczy to kilkudziesięciu do kilkuset osób. Bardzo bym chciała, by szczególnie zostały zbadane pod tym kątem: Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych RP, Departament Wojskowych Spraw Zagranicznych MON oraz pracownicy ówczesnej ambasady Polski w Moskwie. Czas ucieka.

Co się stanie, jeżeli tego nie zrobimy?

To oczywiste: jeśli my zapomnimy, a nasze państwo nie wskaże i nie ukarze winnych, to będzie to przyzwoleniem na kolejne zbrodnie. Musimy być pewni, że mamy taką kadrę, takie państwo, iż nic takiego się na pewno nie powtórzy.

REKLAMA

42/1220/F

eprasa.pl c9dabefecc

Zabawy hakerów czy groźne cyberataki

W ciągu trzech miesięcy włamano się na konta w mediach społecznościowych aż dziewięciorga polityków Zjednoczonej Prawicy. Z głośnego rechotu opozycji rzadko kiedy wyłania się obawa o możliwość poważnego zagrożenia cybernetycznego

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Nawet w grupie TVN, niewykazującej się szczególną życzliwością dla obecnej władzy, redakcja serwisu Konkret24 tekstem Jana Kunerta przyznaje, że politycy PiS byli ofiarami hakerskich ataków. W pierwszych dniach strajku kobiet na twitterowym koncie Joanny Borowiak pojawił się agresywny wpis: „Możecie sobie protestować, ile chcecie. Jak powiedział Jarosław Kaczyński, zdanie narkomanek-prostytutek i zabójców dzieci nie będzie mieć wpływu na podejmowane decyzje". Te słowa podchwycili politycy opozycji, komentując je jako autorstwa samej posłanki. „Właśnie takie są efekty chorej polityki Kaczyńskiego. Język nienawiści i obrażanie kobiet walczących o swoje podstawowe prawa. Poniżej wpis posłanki PiS. Brak słów..." – ocenił przewodniczący Platformy Obywatelskiej Borys Budka. W takich sytuacjach przeciwnicy polityczni często ulegają pokusie automatycznego przypisania niestosownych słów członkom nielubianej opcji politycznej. Admin włamywacz na konto posłanki Borowiak podgrzał atmosferę, dodając kolejną treść: „Szanowni Państwo! Przypadkowo opublikowałam ten komentarz. To miało być w prywatnej wiadomości. Pozdrawiam serdecznie". Jednocześnie w innych mediach pani poseł zapewniała, że ktoś dokonał włamania na jej konto, ale przeciwnicy rządu nie omieszkali wykorzystać tego do politycznych ataków.

W tym czasie doszło do kolejnych incydentów związanych z dwoma innymi politykami PiS. – O siódmej rano zadzwonili do mnie dziennikarze, którzy mnie poinformowali, że na Twitterze podaję linki z informacjami dotyczącymi służb specjalnych Litwy. Zerwałem się do komputera i okazało się, że nie mam dostępu do własnego konta – mówi tygodnikowi „Sieci" poseł PiS Arkadiusz Czartoryski, który 28 listopada zadzwonił do Komendy Głównej Policji i zgłosił sprawę do Wydziału Cyberprzestępczości oraz do Ministerstwa Cyfryzacji. „Litewskie służby specjalne oskarżają Polskę o szkolenie ekstremistów w celu destabilizacji sytuacji na Litwie" – tak brzmiał komunikat widniejący na koncie posła Czartoryskiego, a więc treść pokrywała się z celami rosyjskiej dezinformacji i prób skłócania krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Zajmująca się cyberbezpieczeństwem firma FireEye tego typu metody publikowania fałszywych treści opisała w raporcie z 2017 r., w którym fałszywych autorów określiła mianem „ghostwriterów". Z tych profili wychodziły treści o charakterze dezinformacyjnym, mającym wywoływać negatywne emocje między politykami i grupami narodowościowymi. Wtedy dotyczyło to jednak kont wykreowanych sztucznie, w przypadku PiS mamy zaś do czynienia z przejmowaniem kont aktywnych polityków.

Kolejnym przypadkiem był poseł Marcin Duszek, na którego facebookowym profilu pojawiło się odniesienie do nieprawdziwej informacji, jakoby NATO szykowało się do wojny z Rosją. Następnie umieszczono tam zdjęcie posła w towarzystwie kobiety, opatrując je dwuznacznym komentarzem o podtekście seksistowskim. Wtedy ruszyła lawina szyderstw i prześmiewczych komentarzy. Mało kto pytał o cyberbezpieczeństwo czy ingerencję obcych służb. A że nie są to obawy na wyrost, może świadczyć zdarzenie z połowy grudnia ub.r., gdy litewskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ustaliło, że w internecie zdarzył się „kompleksowy atak cyberinformacyjny" rozpowszechniający fake newsy o nadgranicznych incydentach polsko-litewskich.

– Nikt nie ma ani nigdy nie miał dostępu do mojego sprzętu – mówi nam poseł PiS Marcin Duszek. – Przechowuję na nim nie tylko informacje dotyczące mojej pracy poselskiej, ale i osobiste prośby tych, którzy zgłaszają się do mnie jako parlamentarzysty. Ktoś, kto włamał się na moje konto, zrobił to nie z poziomu mojego komputera, lecz z poziomu dostępu do serwisów społecznościowych – słyszymy w rozmowie. Po incydencie zastosowano dodatkowe środki ostrożności. – Od razu zostały zmienione adresy e-mailowe, bo te z serwisu Wirtualna Polska okazały się łatwe do przejęcia – informuje poseł Duszek.

eprasa.pl c9dabefecc

Posłanka Borowiak nie chce ujawniać szczegółów włamania, bo w tej sprawie toczy się już śledztwo. Wspomina jednak, że już wcześniej musiała zmieniać hasła, dostawała bowiem informacje o próbach włamania na konto, m.in. na Facebooku, choć w tym wypadku dwuskładnikowe uwierzytelnianie uniemożliwiło hackerom dostęp. Zarówno posłanka Borowiak, jak i poseł Czartoryski przekonują, że administracja Twittera reagowała zbyt późno, nawet po kilku dniach. – Zrezygnowałem z prowadzenia konta – mówi nam poseł Czartoryski. – Skoro nie mam wpływu na treści publikowane na moim profilu, to nie chcę być w to zaangażowany.

Przez konto asystenta Joanny Borowiak internetowi włamywacze dostali się na fan page posłanki i opublikowali antylitewskie treści. Drwiny opozycji, że „PiS nie umie w internety", nie tłumaczą natężenia tych incydentów w jednym czasie i w jednym schemacie. Zwłaszcza że ofiarami podobnych ataków byli nawet tacy tytani świata cyfrowego, jak Elon Musk czy Bill Gates.

28 listopada poseł Marek Kuchciński poinformował, że stracił kontrolę nad kontem na Facebooku, czym prawdopodobnie zapobiegł publikacji na nim niestosownych treści – hakerzy nie dodawali tam żadnych komunikatów. 15 grudnia z podobnym oświadczeniem wystąpiła na Twitterze minister Marlena Maląg. W tym ostatnim przypadku na jej stronie pojawił się kpiarski komentarz dotyczący strajku kobiet, w którym uczestniczki protestów były nazwane „bezmózgimi dzikusami". Dziwnie brzmiały też słowa zamieszczone na profilu poseł Iwony Michałek, która rzekomo nazwała PiS „organizacją przestępczą". Epitetem, o jaki trudno podejrzewać polityka Zjednoczonej Prawicy, który nie zamierza rozstawać się z tą formacją.

OBYCZAJÓWKA, CZYLI UPOKARZANIE

18 stycznia doszło do kolejnych publikacji, choć o nieco innym charakterze. Na twitterowym profilu posła Marka Suskiego pojawiły się zdjęcia roznegliżowanej Ewy Szarzyńskiej, samorządowej polityk partii Porozumienie. Internet zalały pełne szyderstw komentarze o romansie polityka PiS, ale jednocześnie na instagramowym koncie bohaterki niefortunnych fotografii pojawiły się prywatne zdjęcia dwojga innych, młodych radnych Porozumienia. Zdjęcia nie były skandalizujące, zwyczajne ujęcia z życia dwojga partnerów, jednak należały do sfery prywatnej. A więc jednego dnia troje polityków Zjednoczonej Prawicy zobaczyło w sieci fotografie, których nie zamierzało publikować i nie mogło w tej sprawie zareagować ze swoich kont. Ten incydent jest o tyle niepokojący, że w tym samym momencie powiązano konta tej trójki – profil Marka Suskiego publikuje intymne zdjęcia radnej, na której profilu w innym serwisie publikuje się prywatne zdjęcia innych polityków samorządowych. Czy ktoś, choćby o średnim poziomie inteligencji, uwierzy, że troje polityków (przy czym Marek Suski osobiście nie poznał pozostałej dwójki) tego samego dnia i o tej samej godzinie publikuje swoje osobiste zdjęcia, które nie są ze sobą powiązane?

ROZGRZEWKA

Uderzenie w sferę prywatną z użyciem nielegalnego przejmowania kont w mediach społecznościowych to ulubione działanie postsowieckich służb: upokarza przeciwnika i powoduje społeczny ostracyzm. W Mołdawii opozycyjną, proeuropejską polityk Maię Sandu oskarżano z fejkowych kont o związki homoseksualne. Z drugiej strony tworzenie negatywnej aury obyczajowej bywało wstępem do poważniejszych akcji – gdy w latach 60. rozpuszczano plotki o alkoholizmie Leskinena, antykomunistycznego polityka z Finlandii, łatwiej było później przekonać, że jego śmierć w dziwnym wypadku samochodowym była spowodowana jego nieostrożnością.

Niestety w Polsce mieliśmy już ekstremalny przypadek obniżania autorytetu polityka do tego stopnia, że fake newsy posłużyły potem do bagatelizowania tragedii. W 2008 r. mainstreamowe media rozpowszechniały informację, jakoby prezydent Lech Kaczyński zmuszał polskiego pilota do lądowania w Tbilisi podczas działań wojennych. Dwa lata później przytaczano tę manipulację, aby wesprzeć teorię o naciskach na pilotów w Smoleńsku. Czy więc obecne akcje są także przygotowaniem do czegoś większego?

epressa.pl c9dabefecc

Pałac Putina,

czyli rewolucja lutowa w styczniu

Siergiej Goriaszko, dziennikarz rosyjskiej sekcji BBC, napisał, że „Nawalny dostarczył niezbitych dowodów na to, że Putin i jego przyjaciele od dawna poważnie chorowali na koronawirusa. Smak nigdy nie wrócił". Natomiast Ilja Jaszyn, rosyjski opozycjonista, stwierdził: „Wygląda to na posiadłość jakiegoś barona narkotykowego w tropikach. Ale nie – to tajny pałac prezydenta Rosji"

eprasa.pl c9dabefecc

Mowa oczywiście o ogromnej posiadłości Władimira Putina nieopodal nadczarnomorskiej miejscowości Gelendżyk, która stała się „bohaterem" ostatniego filmu Aleksieja Nawalnego, rosyjskiego blogera i opozycjonisty aresztowanego przez władze po tym, jak wrócił do Rosji z Niemiec po leczeniu w następstwie nieudanej próby otrucia. Film bije wszelkie rekordy popularności. Obejrzało go już 38,5 mln osób, z czego ponad 25 mln w ciągu pierwszej doby od jego premiery. W serwisie YouTube jest największym wydarzeniem ostatnich dni, nie tylko w Rosji. Równie chętnie pałac Putina oglądają mieszkańcy Białorusi, Kazachstanu czy państw bałtyckich, innymi słowy wszędzie tam, gdzie mieszkają Rosjanie.

Film będący też precyzyjnym raportem, rodzajem dochodzenia na temat źródeł putinowskiej fortuny, już stał się wydarzeniem medialnym w sieciach społecznościowych, a być może przyczyni się do przełomu w świadomości społeczeństwa i zainicjuje zmiany polityczne na Kremlu. Nawalny, który jeszcze na sali sądowej wezwał swych zwolenników do demonstracji 23 stycznia, apelując o to, aby się nie bali, zdaniem wielu obserwatorów rozpoczął – zarówno swym powrotem do Rosji, jak i filmem, który uderza w osobę nr 1 w Federacji Rosyjskiej – walkę o to, kto będzie rządził krajem po jesiennych wyborach do Dumy.

GIGANTOMANIA I BEZGUŚCIE

„Pałac Putina" to film o przepychu, niewyobrażalnej korupcji, pysze i bezczelności władzy. Ma być, jak można przypuszczać, wystrzałem z symbolicznej Aurory, który zainicjuje rewolucyjne zmiany. Znakomicie się do tego nadaje, bo obraz drugiego Pałacu Zimowego, jak już ochrzcili gigantyczną posiadłość internauci, jest kwintesencją systemu Putina. Zresztą odwołania do petersburskiej posiadłości rosyjskich carów, którą w 1917 r. szturmowali zrewolucjonizowani marynarze z Kronsztadu, jest nie tylko symboliczny. Na bramie pałacu Putina znajduje się replika carskiego, dwugłowego orła z Petersburga, symboliczne nawiązanie do potęgi i majestatu dynastii rządzącej Rosją przez 300 lat.

MAREK BUDZISZ

Posiadłość nieopodal Gelendżyku, która jest budowana już kilkanaście lat, pochłonęła do tej pory, jak szacowali autorzy filmu, 1,4 mld dol. Sam dwukondygnacyjny budynek, określany mianem „pałacu Putina", ma 17,7 tys. mkw., a cała posiadłość zajmuje 68 ha. Zbudowano na niej lądowisko dla śmigłowców, pełnowymiarowe podziemne lodowisko, jeśliby właściciel zechciał zagrać w hokeja, cerkiew, amfiteatr, bardzo podobny do tego – co zauważyli internauci – który znajduje się w posiadłości Silvio Berlusconiego, oranżerię, herbaciarnię o powierzchni 2,5 tys. mkw., która połączona jest z resztą posiadłości 80-metrowym drewnianym mostem wiszącym nad skalną rozpadliną. Z tego mostu Lanfranco Cirillo, włoski architekt, który od początku lat 90. pracuje w Rosji, specjalizując się w budowie pałaców dla bogatych Rosjan, jest szczególnie dumny. „Zbudowanie 80-metrowego drewnianego mostu w środku lasu z widokiem na morze jest cudowne i cieszę się, że to zrobiłem" – chwalił się Cirillo w 2010 r. w rozmowie z włoskim portalem architektonicznym Infobuilt. Jeśliby właściciel miał ochotę korzystać z kąpieli morskiej, to w tym celu zbudowano specjalną windę w wykutej w skale sztolni. Dodatkowo, gdyby zapragnął w samotności podziwiać czarnomorskie widoki, zbudowano zamaskowany, a znajdujący się w połowie wysokiego klifu, na której wybudowano posiadłość, taras widokowy.

„Strefę ochronną" 68-hektarowej posiadłości tworzy 7 tys. ha ziemi wydzierżawionej przez podstawione firmy, ale, jak się udało ustalić, zarządzane przez te same co pałac osoby z prezydenckiej administracji. Wszyscy oni, podobnie jak architekt Cirillo, zapewne w nagrodę za zaangażowanie dostali w prezencie w nieopodal położonym Gelendżyku kilkusetmetrowe nadmorskie wille. Jak przypuszcza Nawalny, te tereny potrzebne były po to, aby nikt niepowołany nie zbliżył się nawet do posiadłości, która zresztą otoczona jest wysokim murem. Ochraniają ją funkcjonariusze Federalnej Służby Ochrony, a miejscowe FSB nie pozwala podpłynąć, co zarejestrowano na filmie, od strony morza na odległość bliższą niźli 2 km, aby nikt ciekawski nie mógł zobaczyć, co buduje się na czarnomorskim klifie. Obszar jest zresztą również strefą zamkniętą dla lotów.

Fot. palace.navalny.com

eprasa.pl c9dabefecc

Ekipie Nawalnego udało się zdobyć także precyzyjne plany budynku, co pozwoliło, również dzięki zgromadzonym zdjęciom zrobionym przez pracujących tam ludzi oraz katalogom specjalistycznych włoskich firm meblarskich, które zadbały o wyposażenie obiektu, zbudować dokładną wirtualną kopię wnętrz pałacu Putina. Dzięki temu możemy poznać warunki, w jakich mieszka „car Rosji", oraz, co nie mniej ciekawe, jego estetyczne preferencje. Ma do swojej dyspozycji dwupiętrowy teatr, salę do gry w blackjacka i w ruletkę, kolejną z automatami do gier zręcznościowych, salę, w której może obejrzeć striptiz, pomieszczenie wielkości dwupokojowego mieszkania z torem wyścigowym dla miniaturek samochodzików, ogromne jacuzzi, sale recepcyjne, gigantyczne garderoby, ogromne (260 mkw.) sypialnie. A wszystko to, jakby powiedział Maks Paradys, bohater „Seksmisji", w stylu „późnego rokokoko", imperialnych rozmiarów, ociekające złotem. Z pewnością niesłychanie drogie.

Nawalny podaje ceny niektórych mebli sprowadzanych z Włoch. Każda z 47 znajdujących się w pałacu sof kosztowała od 1,5 do 2 mln rubli, stół w jadalni 4,1 mln rubli, a wszystko to w kraju, w którym, według oficjalnych danych, pensja minimalna wynosi od stycznia tego roku 12 792 ruble miesięcznie, oficjalne zaś miesięczne minimum niezbędne, aby przeżyć – 11 653 ruble. Również według oficjalnych danych obecnie aż 20 mln Rosjan żyje, mając do dyspozycji takie lub niższe miesięczne pobory.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że posiadłość Putina ogranicza się jedynie do terenu zajmowanego przez pałac z przyległościami. W najbliższej okolicy znajdują się cztery winnice, łącznie zajmujące kilkaset hektarów. To dlatego, że nielubiący mocnych alkoholi Putin stał się jakiś czas temu koneserem wina. I tam również wszystko zbudowane jest na bogato. Rosjan najbardziej chyba oburzyła szczotka toaletowa, zakupiona za 62 tys. rubli, i to nawet nie do głównej posiadłości, tylko dla jednego z okolicznych domeczków dla gości.

WSPÓLNY FUNDUSZ

Pokazywanie przez Nawalnego tych przepychów nie dawałoby pełnego obrazu współczesnej Rosji i systemu Putina, a taka, jak można było przypuszczać, była ambicja autorów filmu, gdyby nie szczegółowe opisanie na podstawie dokumentów tego, w jaki sposób gromadzono na rezydencję pieniądze, jak ukrywano ich przeznaczenie, jak „rozpisywano" na podstawione firmy słupy własność i dzierżawy obiektów. Nawalnemu udało się pokazać symbiozę opłacających się władzy oligarchów i niemiłosiernie dojonych firm państwowych zarządzanych przez przyjaciół Putina jeszcze z czasów drezdeńskiej rezydentury czy późniejszej pracy w petersburskim merostwie.

Najbliżsi przyjaciele i współpracownicy Putina – Kowalczuk, Timczenko, bracia Rottenbergowie, Miller, Sieczin, Czemiezow czy mniej znani, tacy jak Szamałow, Ponomarienko – zbudowali wspólny fundusz zasilany na wiele sposobów (wpłaty bezpośrednie, pożyczki i kredyty, iniekcje kapitału, fikcyjne umowy dzierżawy niewykorzystywanych obiektów za bajońskie kwoty) przez oligarchów i państwowe firmy. Pierwotnie, jak mówi w filmie przedsiębiorca Siergiej Kolesnikow, jeden z organizatorów tego systemu, pieniądze miały być zbierane na zakup aparatury medycznej dla rosyjskich szpitali i podobnego rodzaju dobroczynne cele społeczne, jednak ostatecznie nawet jeden rubel nie poszedł na realizacje tych planów, a wszystko wydano na rezydencję nad Morzem Czarnym. Kolesnikow jeszcze w 2010 r. alarmował ówczesnego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, opisując cały ten proceder. Ale ani wówczas, ani tym bardziej później nic z tym nie zrobiono, jedynie zawarto fikcyjną umowę sprzedaży rezydencji, po to aby jeszcze bardziej ukryć jej rzeczywistych właścicieli.

Przesłanie filmu jest tu całkowicie jasne – w miarę rosnącej władzy „przyjaciół Putina" oni i ich patron stali się jeszcze bardziej pazerni, bezczelni

eprasa.pl c9dabefecc

i mniej dbający o pozory. Nawalny, mówiąc o „lewej kasie" Putina, używa, co symptomatyczne, terminu „общак" (obszczak). Tym mianem w Rosji przyjęło się określać wspólne pieniądze gangów i mafii, gromadzone na czarną godzinę. Przekaz jest w tym wypadku czytelny – Rosją rządzi mafia, niepohamowana w swych złodziejskich apetytach, powiązana z sobą zarówno rodzinnie, jak i biznesowo nowa arystokracja, która tylko tym różni się od zwykłych gangsterów, że działa na większą skalę i udało jej się „ukraść państwo" – jak diagnozuje obecną sytuację w Rosji Aleksiej Nawalny.

DŁUGI MARSZ

Czy antykorupcyjna krucjata Aleksieja Nawalnego obali system Putina? Komentatorzy są co do tego sceptyczni. Ich zdaniem raczej nie należy się spodziewać, że zapowiedziane demonstracje wystraszą władzę i będą początkiem kolejnej rosyjskiej rewolucji. Choć nie można wykluczać niespodzianek, bo – jak informują rosyjskie media – niezależne kanały na platformie Telegram czy rosyjski TikTok zdominowane są przez zwolenników protestów, a Rosjanie mogą chcieć naśladować w tym względzie uchodzących przez długie lata za pasywnych Białorusinów. Wydaje się jednak, że raczej będziemy mieć do czynienia z długim marszem.

Styczniowe demonstracje w interpretacji sceptyków nie obalą systemu, ale będą czymś w rodzaju próby generalnej przed wrześniowymi wyborami do Dumy, policzeniem szabel i być może stanowić będą pierwszy krok do budowy platformy „wszyscy przeciw Putinowi", obejmującej wszelkie siły polityczne od komunistów po libertarian.

Nawalny w ostatnich miesiącach niesłychanie silnie uderzył w podstawy reżimu. Najpierw, ujawniając w Dzień Czekisty istnienie w ramach FSB specjalnej grupy trucicieli, podważył mit o sprawności i nieomylności służb siłowych, później, wracając do Rosji, pokazał nie tylko swe osobiste męstwo i niekwestionowaną odwagę. Uzyskał przy okazji międzynarodowy status lidera rosyjskiej opozycji. Zdaniem wielu obserwatorów obnażył strach władzy i uderzył w samego Putina, o którym zaczął mówić „szczur kryjący się w bunkrze", co zresztą powiela krążącą w rosyjskich mediach opowieść, że Władimir Władimirowicz w obawie przed infekcją COVID-19 właściwie nie opuszcza specjalnych schronów. Wreszcie pokazując przepych pałacu Putina, uderzył w mit o dobrym carze i złych bojarach, dowodząc nie tylko, że nie ma żadnego dobrego cara, lecz jest jedynie jego marny naśladowca, nie mniej, ale znacznie bardziej pazerny od innych.

Zdaniem politologa Dmitrija Orieszkina rosyjska kultura polityczna ma charakter binarny. Rosjanie źle czują się w realiach pluralizmu, lubią za to sytuację jasnego wyboru między dwiema skrajnościami. Jelcyn dlatego pokonał Gorbaczowa, że był w stanie się wykreować na jego alternatywę. Dzisiaj podobny status zyskuje Aleksiej Nawalny. Nie oznacza to jednak ani tego, że zwycięży, ani tego, że ewentualny sukces jest blisko.

Czy Nawalny w tym pojedynku ma szansę? Nie można tego wykluczyć, bo w Rosji zachodzą procesy, których nie widzimy, zawierane są sojusze, które w osłupienie mogą wprawić ekspertów i politologów. Warto choćby zwrócić uwagę na wywiad emerytowanego generała KGB Nikołaja Leonowa, który za Andropowa był szefem wywiadu wojskowego, a wcześniej kierował służbami analitycznymi tej instytucji. W mającym największy nakład tygodniku „Argumenty i Fakty" powiedział on, że tragedią Rosji, a być może powodem jej przyszłej zagłady, na wzór ZSRR, jest korupcja obecnej władzy i brak rotacji kadr na najważniejszych, w tym prezydenckim, stanowiskach. W takim ujęciu obalenie ekipy Putina może być postrzegane w kategoriach patriotycznego wezwania, misji mającej ocalić rosyjską państwowość. Jeśli tego rodzaju przekonanie się upowszechni, stanowić może jakościową zmianę w rosyjskiej polityce.

eprasa.pl c9dabefecc

Fidesz kontra „tęczowa koalicja”

Po raz pierwszy od wielu lat partii Viktora Orbána wyrósł groźny rywal, który może powalczyć o zwycięstwo w wyborach roku 2022

GRZEGORZ GÓRNY

Od czerwca 2006 r. do grudnia 2020 r. – a więc przez 174 miesiące – Fidesz prowadził we wszystkich sondażach jako ugrupowanie, na które chciałoby głosować najwięcej Węgrów. W ostatnich rankingach coś się jednak zmieniło. 20 grudnia obozowi Viktora Orbána niespodziewanie wyrósł groźny przeciwnik. Tego dnia wszystkie opozycyjne partie parlamentarne zawarły porozumienie, ogłaszając wspólny start w wyborach w 2022 r. i wystawienie jednego kandydata na premiera. W skład „tęczowej koalicji” (jak nazwały ów wielobarwny sojusz media) weszło sześć ugrupowań: dwa postkomunistyczne (Koalicja Demokratyczna i Węgierska Partia Socjalistyczna), dwa zielone (Dialog na rzecz Węgier i Polityka Może Być Inna), liberalne (Ruch Momentum) oraz nacjonalistyczne (Jobbik). Uzgodniły, że nie stworzą razem jednej partii, lecz wystawią wspólne listy w 106 jednomandatowych okręgach wyborczych.

Wkrótce potem dwa sondaże pokazały, że Fidesz mógłby przegrać wybory z nowym tworem: 46 do 48 proc. lub 47 do 49 proc.

ROZDROBNIENIE OPOZYCJI

Obóz władzy traktuje nowe zagrożenie poważnie. Viktor Orbán ma dobrze w pamięci wybory z 2002 r., gdy Fidesz zdobył najwięcej mandatów (48,71 proc.), a mimo to nie zdołał utworzyć rządu – zabrakło mu pięciu miejsc w parlamencie. Podobna sytuacja powtórzyła się w 2006 r., gdy uzyskanie 46,65 proc. głosów nie przełożyło się na ostateczne zwycięstwo. Dwukrotnie triumfowała wówczas koalicja postkomunistów z Węgierskiej Partii Socjalistycznej (odpowiednik polskiego SLD) oraz liberałów ze Związku Wolnych Demokratów (węgierski odpowiednik Unii Wolności).

Od tamtego czasu madziarska scena polityczna uległa znacznej dekompozycji. Przede wszystkim rozpadł się obóz lewicowy, skompromitowany rządami Ferenca Gyurcsánya, który doprowadził kraj do katastrofy gospodarczej. Postkomunistycznego premiera najbardziej pogrążyło ujawnienie taśm z nagraniem przemówienia, jakie wygłosił na zamkniętym dla prasy posiedzeniu partii socjalistycznej. Przyznał wówczas, że wiosną 2006 r. lewica celowo mówiła nieprawdę o rzeczywistym stanie państwa, byle wygrać wybory. „Kłamaliśmy przez ostatnie półtora roku. [...] Kłamaliśmy w dzień i w nocy. [...] Nie mieliśmy wyboru, bo spieprzyliśmy gospodarkę, i to nie tylko trochę, ale bardzo. [...] Nie znajdziecie ani jednego znaczącego posunięcia, z którego moglibyśmy być dumni” – mówił Gyurcsány, który w swym wystąpieniu aż trzy razy nazwał Węgry „tym kurewskim krajem”.

Skompromitowany premier stał się dla partii socjalistycznej balastem, którego postanowiono się pozbyć przed wyborami w 2010 r. Odsunięty od władzy przez swych towarzyszy założył własną formację pod nazwą Koalicja Demokratyczna, jednak nikt nie wróżył jej większych szans. Od tamtego czasu rozbity obóz lewicy poniósł trzy klęski wyborcze z rzędu. Przegrywał zarówno wtedy, gdy postkomuniści startowali w pojedynkę (uzyskując najwięcej 19, a najmniej 12 proc. głosów), jak też w ramach szerszej koalicji pięciu ugrupowań (wspólnie osiągając 25 proc. poparcia).

Rozpadowi uległ również Związek Wolnych Demokratów, który współrządził Węgrami w latach 2002–2010. W roku 2013 partia została rozwiązana. Miejsce po niej próbowało zapełnić kilka

eprasa.pl c9dabefecc

ugrupowań o charakterze lewicowo-liberalnym lub ekologicznym, jednak tylko jednemu z nich (Polityka Może Być Inna) udaje się regularnie dostawać do parlamentu, bo otrzymuje od 5 do 7 proc. głosów. Po latach niepowodzeń opozycja postanowiła więc zjednoczyć się na dobre. Niespodzianką pozostaje obecność w tej koalicji skrajnie prawicowego Jobbiku.

IDEOWA EWOLUCJA JOBBIKU

Nacjonalistyczny Jobbik wyłonił się w 2003 r. ze Związku Młodych Prawicowców. Na początku skupiał głównie młodzieżowe środowiska narodowe, by z czasem sukcesywnie poszerzać swą bazę wyborczą. Program partii miał charakter antyunijny, antynatowski, antyimigrancki i prorosyjski. W wypowiedziach jej liderów pojawiały się też akcenty antyromskie i antysemickie.

O popularności Jobbiku w dużej mierze decydowało to, że formacja przedstawiała się jako reprezentant młodego pokolenia, któremu generacja Fideszu blokuje drogi awansu i rozwoju. Warto pamiętać, że partia Viktora Orbána powstała jako młodzieżówka, którą tworzyli 20- i 30-latkowie. Jej dojście do władzy zaburzyło normalny cykl wymiany pokoleniowej w polityce. Na szczycie znaleźli się ludzie młodzi, mający przed sobą dziesiątki lat aktywności. Siłą rzeczy zablokowali oni ścieżki kariery w państwie następnemu pokoleniu. Ponieważ było ono niechętne lewicy, zaczęło popierać nacjonalistów.

Z czasem Jobbik wyrósł na drugą siłę w węgierskim parlamencie. W wyborach w 2014 i 2018 r. zdobył odpowiednio 20 i 19 proc. głosów. Mimo niezłych wyników w partii rosło rozczarowanie, że spore poparcie społeczne nie przekłada się na udział w rządach. Jedyną szansą na dojście do władzy jawił się scenariusz, w którym Fidesz nie zdobywa samodzielnej większości i potrzebuje koalicjanta. W kierownictwie Jobbiku zwyciężyła więc koncepcja osłabiania Viktora Orbána przez atakowanie go wspólnie z lewicą.

Prowadziło to do sytuacji zaskakujących. Kiedy Fidesz najpierw rozpisał antyimigracyjne referendum, a potem zarządził antyimigracyjne głosowanie w parlamencie, Jobbik (podobnie jak cała opozycja lewicowo-liberalna) opowiedział się przeciw stanowisku rządzących. Partia, która najbardziej sprzeciwiała się napływowi imigrantów, w chwili próby nie poparła węgierskich władz, gdy te odrzucały unijny mechanizm przymusowego przyjmowania uchodźców. Dla części elektoratu narodowego była to ideowa zdrada.

> Powstanie „tęczowej koalicji" znacząco zmienia układ sił na madziarskiej scenie politycznej. Jeśli zjednoczona opozycja dotrwa do przyszłorocznych wyborów, Węgry mogą się stać pierwszym krajem Europy Środkowej, w którym ukształtuje się system dwupartyjny

Zbliżanie stanowisk Jobbiku i obozu lewicowo-liberalnego stale jednak postępowało. 15 marca 2020 r. cała opozycja podpisała wspólną deklarację „Czego chce naród węgierski?" przyjętą w centrum Budapesztu przy dźwiękach hymnu Unii Europejskiej. Przypieczętowaniem sojuszu okazała się grudniowa decyzja o wspólnym starcie w wyborach w 2022 r.

Największe zdumienie budzą znakomite relacje między liderami Jobbiku a Ferencem Gyurcsányem, który wyrósł na głównego lidera zjednoczonej opozycji. W 2006 r. narodowcy organizowali wielkie demonstracje uliczne, by obalić jego rząd, a dziś uznają go za swego głównego sojusznika. Wygląda to zaskakująco zwłaszcza w świetle deklaracji założycielskiej Jobbiku, w której napisano: „Podstawowym zadaniem jest odebranie władzy politycznej partii komunistycznej oraz zjednoczonych z nią ekstremistycznych liberałów".

SYSTEM DWUPARTYJNY?

Powstanie „tęczowej koalicji", choć wielu może się ona wydawać egzotyczna, znacząco zmienia układ sił na madziarskiej scenie politycznej. Jeśli zjednoczona opozycja dotrwa do przyszłorocznych wyborów, Węgry mogą się stać pierwszym krajem Europy Środkowej, w którym ukształtuje się system dwupartyjny. Taki podział będzie sprzyjać coraz większej polaryzacji obu stron. Z badań opinii publicznej wynika, że wśród obywateli zdecydowanych pójść na wybory mniej więcej połowa opowiada się za Fideszem i tyle samo za zjednoczoną opozycją. Wśród niezdecydowanych proporcje wyglądają następująco: ok. 1/3 za partią Viktora Orbána, 1/3 za wspólnym blokiem antyfideszowym, a 1/3 deklaruje, że nie pójdzie na wybory lub nie wie, jak zagłosuje.

To właśnie o głosy tej ostatniej grupy rozegra się decydujący bój w czasie kampanii wyborczej. Politolodzy zastanawiają się zwłaszcza nad zachowaniem dotychczasowego elektoratu Jobbiku. Kogo poprze 20 proc. wyborców, którzy ostatnio głosowali na nacjonalistów? Czy zaakceptują radykalny zwrot na lewo i podążą za swoimi liderami?

Sondaże pokazują, że po dołączeniu do „tęczowej koalicji" Jobbik może liczyć na poparcie 5–6 proc. wyborców. Część działaczy narodowych, niezadowolonych ze zmiany kursu ugrupowania, założyła nowy ruch o nazwie Nasz Kraj. W ankietach tylko 1 proc. deklaruje jednak, że odda swój głos na tę formację. Oznacza to, że niemal 2/3 dotychczasowego elektoratu Jobbiku to ludzie rozczarowani i niechcący głosować na nikogo. Ich postawa może się okazać kluczem do zwycięstwa w 2022 r. To właśnie do nich ma zostać skierowana najbliższa oferta obozu rządzącego.

Działacze Fideszu tłumaczą ostatni spadek poparcia dla siebie przedłużającą się kwarantanną i zmęczeniem społeczeństwa. Mają nadzieję, że kiedy minie epidemia, a z budżetu unijnego napłyną nowe środki, partia odrobi sondażowe straty. Viktor Orbán nie zamierza jednak lekceważyć zagrożenia. W ciągu najbliższych miesięcy możemy się spodziewać programowej ofensywy z jego strony.

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Kto głosował na republikanów

Wszyscy analitycy mówią o wielkim „przegrupowaniu politycznym", które trwa w amerykańskiej polityce już od dłuższego czasu. Partia Republikańska traci poparcie wielkiego biznesu oraz korporacji i staje się partią klasy robotniczej

GORAN ANDRIJANIĆ

Historia Bonnie Smith, 63-letniej Amerykanki, przypomina setki tysięcy, a nawet miliony podobnych, które się zdarzyły w ciągu ostatnich dziesięciu lat w USA.

Smith jest właścicielką piekarni w małym miasteczku Jefferson w stanie Ohio. Otworzyła piekarnię po utracie pracy, w której zarobkowała prawie 30 lat. Jej rodzice głosowali na demokratów, ona głosowała na demokratów, jej mąż głosował na demokratów... A potem wszyscy zaczęli głosować na Donalda Trumpa.

„Widziałam, jak traciliśmy pracę. Widziałam wzrost przestępczości, coraz więcej narkomanów. Widziałam, jak społeczeństwo traci nadzieję. I coś we mnie pękło" – powiedziała Smith w wywiadzie dla „The American Conservative". Mówi, że nigdy nie żałowała. Smith jest tylko jednym z członków klasy robotniczej, którzy całkowicie stracili zaufanie do Partii Demokratycznej i zaczęli głosować na republikanów. I których, jak pokazują statystyki, jest coraz więcej.

ZAMIANA RÓL

Wszyscy analitycy mówią o wielkim „przegrupowaniu politycznym", które następuje w amerykańskiej polityce już od kilku dekad, a zaczęło się długo przed zwycięstwem Trumpa w wyborach 2016 r. Partia Demokratyczna, niegdyś postrzegana jako partia klasy robotniczej, dziś reprezentuje interesy Wall Street, Doliny Krzemowej i Hollywood. Na republikanów, partię, która kiedyś była postrzegana jako oddalona od problemów „małego człowieka" i prawdziwego życia, bliska zaś wielkiego biznesu i korporacji – głosuje dziś coraz więcej przedstawicieli klasy robotniczej. Nie tylko biali, lecz także Latynosi i Afroamerykanie. Widać to również po analizie głosów zebranych przez Trumpa w listopadowych wyborach.

Trump, opisywany przez lewicowo-liberalne media podczas jego kadencji w Białym Domu jako rasista, otrzymał więcej głosów niebiałych wyborców niż każdy inny kandydat republikański od 1960 r. Statystyki pokazują, że jego poparcie w tych grupach znacząco wzrosło. Głosowało na niego ok. 18 proc. czarnoskórych mężczyzn, czyli o 5 proc. więcej niż w 2016 r., a także 8 proc. czarnoskórych kobiet, czyli dwukrotnie więcej niż w poprzednich wyborach.

Zwiększyło się też poparcie dla niego wśród Latynosów.. W tej populacji głosowało na niego 36 proc. mężczyzn i 32 proc. kobiet.

Ten wzrost poparcia wśród ludności, która zdaniem mediów jest dyskryminowana, tłumaczy się działaniami jego administracji, które poprawiły jej pozycję. Są to rozwiązania zmierzające choćby do obniżenia podatków dla osób

eprasa.pl c9dabefecc

o niższych dochodach, tzw. strefa szans (opportunity zone).

Niektóre z tych zmian w tradycyjnych preferencjach wyborców były po prostu fascynujące. Na przykład w rejonie Starr w Teksasie, gdzie mieszka 95 proc. Latynosów z klasy robotniczej, wygrał Biden, ale z zaledwie 5-procentową przewagą. Cztery lata wcześniej Hillary Clinton wygrała tam, ale z nawet 60-procentową przewagą. To z perspektywy republikanów niesamowita zmiana. Dzięki głosom klasy robotniczej Trump zdobył Teksas i Florydę.

Mit, że republikanie nigdy nie uzyskają głosów wielorasowej klasy robotniczej, przepadł. Wygląda na to, że wystarczy zaoferować wyborcom to, czego potrzebują, i wszystko jest możliwe. To nie jest żadna „prawicowa" teoria spiskowa. Nawet lewicowy brytyjski „Guardian" opublikował krótko po przeanalizowaniu wyników wyborów tekst zatytułowany „Demokraci, strzeżcie się, republikanie wkrótce staną się partią klasy robotniczej".

CO SIĘ STAŁO

Co spowodowało to „przegrupowanie polityczne"? Głównymi przyczynami są oczywiście deindustrializacja, narastające różnice w zasobach materialnych między warstwami społecznymi, a także rosnąca utrata spójności społecznej spowodowana globalizacją. To są problemy klasy robotniczej w Stanach Zjednoczonych, które od dawna nie zostały rozwiązane i które wywołały ich frustrację.

Tak ujął to znany amerykański konserwatywny publicysta Sohrab Ahmari, felietonista „The New York Post": „To, czego chce wielorasowa klasa robotnicza, to gospodarka rynkowa, w której zwykłe życie nie jest tak niestabilne, w której ubezpieczenie zdrowotne po prostu działa i w której można prowadzić rodzinne gospodarstwo w środowisku, które jest kulturowo normalne i gdzie panuje porządek".

Te problemy klasy robotniczej dotyczące przemian w kulturze i konfliktu między wartościami postępowymi a tradycyjnymi są równie ważne jak te materialne. Niektórzy powiedzieliby, że być może ważniejsze.

Według wszystkich badań przedstawiciele mniejszości etnicznych w USA są w dużej mierze konserwatywni społecznie (w sprawach takich jak aborcja czy tradycyjne małżeństwa). Mimo to jeszcze wielu z nich głosuje na demokratów, z którymi nie zgadzają się w tych sprawach. Jeśli jednak republikanie zaczną odpowiadać na potrzeby gospodarcze tej populacji (co jest procesem, który Trump wprawdzie rozpoczął, ale nie zawsze był konsekwentny), może to spowodować duże problemy dla demokratów i całej lewicowo-liberalnej elity, która jest z nimi związana.

Jak zauważył Charles Camosy, profesor etyki na Uniwersytecie Fordham, stare podziały w polityce amerykańskiej już nie obowiązują. „Nie ma już klasycznego podziału na lewicę i prawicę i różnic opartych na reprezentacji »dużego« i »małego« rządu. Zamiast tego mamy Partię Demokratyczną, która jest wspierana przez pieniądze oraz ideologię elit i wielkich technologii. Z drugiej strony republikanie stają się partią klasy robotniczej i populizmu. Mogą się nimi stać, jeśli przyciągną mniejszości etniczne".

„Populizm" Camosy oznacza przede wszystkim populizm ekonomiczny, czyli wzrost państwowego interwencjonizmu i ochrony interesów klasy robotniczej i niższej klasy średniej. Jest to stanowisko coraz częściej zajmowane przez konserwatystów społecznych w USA, którzy chętnie opowiadają się za poważnymi zmianami w rozumieniu republikańskiej polityki gospodarczej. Wielu twierdzi, że klasyczna konserwatywna polityka ekonomiczna i doktryna laissez-faire, ucieleśniona przez Ronalda Reagana, nie jest już skuteczna.

Jak wyjaśnił mi amerykański konserwatywny publicysta Rod Dreher w niedawnym wywiadzie dla naszego tygodnika, jedną z najważniejszych lekcji politycznych ostatnich kilku lat jest to, że wielki biznes od dawna nie jest już przyjacielem konserwatystów.

„Woke-kapitalizm, jak go nazywamy w USA, jest czymś bardzo trudnym do zrozumienia dla konserwatywnych Amerykanów. Mamy zwyczajowe przekonanie, że wrogiem jest państwo, a biznes jest po właściwej stronie. Ronald Reagan był uosobieniem tej ludowej wiary amerykańskiej prawicy. Dlatego dla wielu z nas było bardzo trudno pojąć, jak daleko biznes posunął się w lewo i jak potężny stał się w rozwijaniu lewicowych interesów, zwłaszcza w odniesieniu do rasy i LGBT" – powiedział.

Partia Republikańska ma zatem przed sobą ogromne pole manewru, którego nie zmniejszyła klęska Trumpa. Mimo wcześniejszych zapowiedzi nie było „blue wave", przekonującego zwycięstwa Bidena. Potwierdzają to również polityczni przeciwnicy partii, publikując w nagłówkach, że trumpizm nie umarł. To, co przeciwnicy byłego „okupanta Białego Domu" nazywają trumpizmem, to właśnie polityka łącząca konserwatyzm społeczny i ekonomiczny populizm, który wielu nazywa „konserwatywnym populizmem". Większość zgadza się, że cztery lata Trumpa nie przyniosły wystarczającej zmiany w polityce republikanów, by odpowiedzieć nowemu elektoratowi na jego potrzeby (taką politykę utrudniał opór politycznych elit), ale teraz republikanie mogą pomaszerować w tym kierunku.

Jak napisała amerykańska dziennikarka Salena Zito, autorka książki „Wielki bunt. O populistycznej koalicji, która zmienia politykę amerykańską", konserwatywny ruch populistyczny nie został wymyślony przez Trumpa, ale jest on jego konsekwencją. W tym sensie jego porażka nie znaczy zbyt wiele dla przyszłości ruchu.

Jednak ta przyszłość zależy od tego, jak sama Partia Republikańska przyjmie to wyzwanie. Obecnie trwa walka oldskulowych republikanów z trumpistami, którzy uważają, że partia powinna iść w kierunku wyznaczonym przez ostatnie cztery lata kadencji ich człowieka w Białym Domu.

Punktem zwrotnym może być głosowanie w Senacie w sprawie impeachmentu Donalda Trumpa. Media spekulują, że część republikańskich senatorów, z jej obecnym liderem, do niedawna republikańskiej większości w Senacie, Mitchem McConnellem, zagłosuje za impeachmentem. Ich celem jest zmniejszenie wpływów Trumpa w Partii Republikańskiej. Tego chciałby lewicowo-liberalny establishment, ale wielu republikańskich polityków ma świadomość, że nie ma powrotu do tego, co było.

„Przyszłość jest jasna: musimy być partią klasy robotniczej, a nie partią z Wall Street" – powiedział senator Josh Hawley, wschodząca gwiazda republikanów.

Fot. lev radin/Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

O życie Polaka, czyli przeciw cywilizacji śmierci

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kiedy piszę te słowa, nie wiemy jeszcze, jak się ona rozstrzygnie. Niezależnie jednak od tego tragedia ta powinna stać się przedmiotem głębszej refleksji.

PEWIEN PRZYPADEK

Wspomniany mężczyzna w średnim wieku, którego dane zostały (formalnie ze względu na dobro rodziny) utajnione, od kilkunastu lat mieszka w Anglii. W listopadzie minionego roku na skutek wypadku jego serce na czas jakiś zatrzymało się. Trafił do szpitala w Plymouth, w południowo-zachodniej Anglii, który uznał, że doszło do poważnego oraz trwałego uszkodzenia mózgu i wystąpił do sądu o zgodę na odłączenie aparatury podtrzymującej życie. Mieszkające w Anglii żona i dzieci mężczyzny zgodziły się. Przeciwne są pozostające w Polsce matka i siostra, a także przebywająca w Anglii druga siostra i siostrzenica.

Sąd opiekuńczy, który zajmuje się osobami ubezwłasnowolnionymi lub niebędącymi w stanie samodzielnie podejmować decyzji, przyznał rację żonie i ogłosił, że w interesie pacjenta (tak!) jest odłączenie go od aparatury utrzymującej przy życiu.

Matka i siostry skazanego nie pogodziły się z tym. Odwołują się i przedstawiają dowody na rzecz poprawy stanu swojego bliskiego. I rzeczywiście, lekarze uznali, że nie wybudzi się on ze śpiączki i już po trzech dniach chcieli go uśmiercić. Tymczasem pacjent po odłączeniu od aparatury wspomagającej zaczął oddychać samodzielnie. Matka uważa, że stan jej syna poprawił się wyraźnie od momentu pierwszego orzeczenia sądu. Demonstrowała wideo, na którym widząc bliskich, płakał, ruszał głową, mrugał oczami, reagował na głos. Jej zdaniem szpital nie wykonał wszystkich badań w związku z poprawą stanu

eprasa.pl c9dabefecc

Kilka dni temu na stronie portalu wPolityce zwróciliśmy się do przedstawicieli środowisk naukowych, twórczych i mediów z apelem do władz angielskich o przekazanie do naszego kraju Polaka z Plymouth, którego tamtejszy szpital i sąd uznały za niewartego utrzymania przy życiu. Apel spotkał się z szybkim i powszechnym odzewem nie tylko na terenie naszego kraju. Władze polskie zaangażowały się w sprawę na wszystkich możliwych poziomach

jej syna. Przedstawiała też opinię neurologa wyrażającego odmienne zdanie na temat jego szans na powrót do w miarę samodzielnego życia. Zaproponowała przetransportowanie mężczyzny do Polski, gdzie mógłby być dalej utrzymywany przy życiu. Na to jednak nie zgadza się żona mężczyzny.

Stanowisko rodziny, która chce ratować bliskiego, zostało wsparte działaniami polskiej służby dyplomatycznej i MSZ. Nasze władze zagwarantowały wzięcie na siebie wszystkich kosztów związanych z transportem i opieką nad chorym.

Aparatura podtrzymująca życie Polaka została odłączona po raz czwarty. Wcześniej przywracano ją po dwóch, pięciu i trzech dniach w konsekwencji apelacji do sądu brytyjskiego i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Na kolejnych rozprawach sąd opiekuńczy odrzucił dostarczone przez rodzinę dowody i uznał, że badania medyczne są ważniejsze niż nagranie smartfonem. Zakwestionował także opinię neurologa Patricka Pullicino dlatego, że jest on katolickim księdzem i działaczem organizacji na rzecz prawa do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Sąd nie zgodził się na przetransportowanie pacjenta do Polski, argumentując, że wiązałoby się to z ryzykiem śmierci w trakcie transportu, co miało być, jego zdaniem, mniej godne niż śmierć w efekcie zagłodzenia. Przeciwstawił się także wizycie polskiego konsula w szpitalu, motywując to dobrem pacjenta.

Również Europejski Trybunał Praw Człowieka nie przyjął wniosków rodziny ani polskich władz. Samo otwarcie procedury spowodowałoby konieczność podłączenia aparatury dostarczającej pacjentowi pożywienie. Jednak ETPC nie zauważył w tym wypadku ryzyka naruszenia jakichkolwiek praw ani wolności chronionych konwencją lub jej protokołami.

UŚMIERCIĆ PACJENTA

To, co uderza w postawie szpitala oraz sądu angielskiego, to wyjątkowa determinacja na rzecz uśmiercenia Polaka. Wszystkie okoliczności rozstrzygane są na jego niekorzyść. Stwierdzenie sądu, że diagnoza medyczna zawsze ma przewagę nad innymi dowodami, nawet nagraniami wideo, czyli naocznym świadectwem, realnie uniemożliwia jakiekolwiek odwołanie się od decyzji lekarzy i szpitala. Faktycznie oznacza uznanie ich nieomylności.

Nauka empiryczna nie może być w pełni pewna. Medycyna jest w wyjątkowo trudnej sytuacji, gdyż osobnicze odmienności powodują różne reakcje na te same bodźce. Ponieważ powinniśmy leczyć, przyzwyczailiśmy się, że odpowiednio wysoki stopień prawdopodobieństwa traktujemy jako pewność. W wyjątkowo poważnych sprawach musimy jednak zachować wyjątkową ostrożność. Życie człowieka z perspektywy medycznej wydaje się sprawą najważniejszą. Tak jak w procesie wszystkie wątpliwości należy interpretować na korzyść oskarżonego, tak w medycynie powinniśmy próbować wykorzystać każdą, nawet najmniejszą szansę uratowania pacjenta. W wypadku Polaka z Plymouth obserwujemy dokładnie odwrotną postawę szpitala i prawników. Najbardziej szokuje argument angielskiego sądu przeciw transportowi pacjenta do Polski. My chcemy utrzymać go przy życiu – oni odmawiają nam tego, gdyż transport zagraża jego życiu, a śmierć w drodze ma, ich zdaniem, mniej godności niż zagłodzenie go w szpitalu. Jeśli jednak, jak twierdzą lekarze, jest on pozbawiony świadomości, to dyskomfort przeniesienia go – o ile nawet taki występuje – byłby przez niego nieodczuwany. A jeśli choćby w pewnym stopniu posiada świadomość, to zagłodzenie go byłoby jednak zabójstwem. Na tej samej zasadzie odmowę wizyty w szpitalu polskiego konsula traktować musimy jako szykanę. Jak mogłaby ona przeszkadzać pacjentowi, skoro jest nieświadomy?

Jeśli nawet jesteśmy przekonani, że pacjent nie ma szans, to dlaczego nie damy możliwości tym, którzy wierzą, że istnieją one, aby spróbowali je wykorzystać?

Zgodnie z podejściem angielskiego sądu ksiądz katolicki nie może być traktowany jako lekarz, gdyż nie jest bezstronny. Rzeczywiście, katolicyzm zakłada konieczność obrony życia ludzkiego we wszystkich okolicznościach. Czy nie to jednak powinno być powinnością lekarza? Akcentuje to przysięga Hipokratesa, która leży u początków medycyny. Czy bardziej bezstronni niż ksiądz byli lekarze, którzy tak łatwo założyli beznadziejność stanu Polaka i od razu skazali go na śmierć? Nadal podtrzymują swoją decyzję, mimo że ewidentnie pomylili się już w diagnozach choćby dotyczących niemożności poprawy stanu pacjenta, a tę wskazuje choćby uzyskanie zdolności do samodzielnego oddychania.

Postawę szpitala w Plymouth i sądu angielskiego uzupełnia decyzja ETPC. Sąd w Strasburgu, który tak chętnie zajmuje się komfortem przedstawicieli nowo odkrytej płci, obroną życia człowieka po urazie w ogóle się nie przejmuje. Kiedy jednak obserwujemy wpływ ideologicznych organizacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

w rodzaju fundacji Sorosa na Trybunał, przestajemy się dziwić.

GODNOŚĆ ŻYCIA CZY ŚMIERCI

Zgódźmy się, że szansa powrotu Polaka do pełnego zdrowia jest niewielka. Czy więc postawy lekarzy i prawników nie odwołują się do dominującego dziś przeświadczenia, że godność przysługuje wyłącznie pełnosprawnemu życiu? Czy nie sugeruje tego uzasadnianie eutanazji jako prawa do godnej śmierci? Praktykowana jest ona w odniesieniu do osób poważnie chorych lub starych, a więc niepełnosprawnych fizycznie. Czy jej uzasadnienie nie tyle nawet sugeruje, ile mówi wprost, że godność związana jest z fizyczną sprawnością, a utrata tej drugiej wiąże się z końcem pierwszej? I dlatego godne życie w takim wypadku zastąpione być winne godną śmiercią?

Poważnie traktowana godność człowieka, a więc i jego życia, musi mieć charakter bezwarunkowy, wiązać się z przyjęciem jego specyficznej świętości. Tylko w takim wypadku jesteśmy w stanie jej bronić.

Nie oznacza to, że jesteśmy równi w każdym tego słowa znaczeniu i jednakowo zasługujemy na szacunek. Nie oznacza nawet likwidacji kary śmierci. Oznacza, że fundamentem wszelkich praw jest prawo człowieka do życia i w tym sensie jesteśmy sobie równi. Jeżeli zakwestionujemy tak pojętą godność, która wiązać się musi ze specyficzną świętością życia, zakwestionujemy godność człowieka w całości.

Jeśli uwarunkujemy ją określonymi sprawnościami: fizycznymi, mentalnymi czy psychicznymi, równocześnie musimy uznać istnienie arbitrów, którzy decydowali będą, kto jest mniej lub bardziej godny, a więc komu bardziej życie przysługuje. Tymi arbitrami siłą rzeczy będą silniejsi, oczywiście w rozmaitych wymiarach społecznych. Choćby najbogatsi. Podejście takie musi się kończyć tyranią. Niechętnie odnoszę się do sprowadzania nielubianych zjawisk do hitleryzmu, ale w tym wypadku nie sposób nie dostrzegać podobieństwa. Naziści wyciągnęli konsekwencje z eugeniki. Likwidowanie „niepełnowartościowego życia" było tego efektem. Najpierw w odniesieniu do „niepełnowartościowych" psychicznie czy fizycznie, a potem – w wypadku nazizmu – rasowo. Identycznie postępowali komuniści, przeznaczając określone grupy społeczne do likwidacji.

Kiedy napotyka się tak zdecydowaną chęć pozbawienia kogoś życia jak w Plymouth, nasuwają się rozmaite podejrzenia. Czy w tle nie pojawia się chęć wykorzystania organów w sumie zdrowego i młodego mężczyzny?

Poważnie traktowana godność człowieka, a więc i jego życia, musi mieć charakter bezwarunkowy, wiązać się z przyjęciem jego specyficznej świętości. Tylko w takim wypadku jesteśmy w stanie jej bronić

Handel ludzkimi narządami zaczyna zataczać coraz szersze kręgi. Nie należy się temu dziwić. Jeśli uznajemy, że pewne formy egzystencji są niepełnowartościowe, to nie ma powodu, aby nie wykorzystać ich dla w pełni „godnego" życia, czyli zużytkować organów ludzi zdaniem zwolenników eutanazji wegetujących jedynie, dla zasilenia innych, którzy będą w stanie żyć w pełnym wymiarze. Jest to naturalna konsekwencja takiego rozumowania, a nie horrendum, jakim może się wydawać dla tradycyjnie myślących. W efekcie jedni ludzie staną się rezerwuarem części zamiennych dla innych.

CYWILIZACJA ŚMIERCI

Jan Paweł II pierwszy użył określenia „cywilizacja śmierci". Kiedy cywilizacja zakwestionowała swój religijny i duchowy wymiar, pozostał jej wyłącznie kult fizyczności, a więc hedonizm. Naturalnie doznania tego typu w pełni dostępne są dla ludzi sprawnych. Zgodnie z tym podejściem są oni lepsi, a brak sprawności obniża wartość osoby, chyba że potrafi ona zrekompensować to pozycją społeczną i majątkiem. W ten sposób w naszym nowoczesnym, tak szczycącym się równościowymi zasadami społeczeństwie zaczynają się wyłaniać kasty.

Traktowanie aborcji jako kosmetycznego zabiegu i coraz bardziej rozszerzony zakres eutanazji prowadzą w tym samym kierunku. Jeśli nawet zakładamy, że nie wiemy, kiedy zaczyna się specyficznie ludzkie istnienie – bo fakt, że w wypadku płodu mamy do czynienia z życiem, jest niekwestionowalny – to miarą naszej cywilizacji jest założenie jego trwania. W innym wypadku bowiem podejmujemy ryzyko uśmiercenia człowieka, czego za wszelką cenę powinniśmy unikać. Podobnie jest w wypadku ludzi pogrążonych w śpiączce lub tylko w ten sposób zdiagnozowanych, jak ma to miejsce w odniesieniu do Polaka w Plymouth. Zamiast postawy, która wymaga ratowania człowieka nawet przy dużym ryzyku z tym związanym, mamy do czynienia z nakierowaną odwrotnie pasją.

Śmierć ma służyć komfortowi żywych i zdrowych oraz pozwolić im koncentrować się na swoich przyjemnościach i dlatego nazywana zaczyna być „prawem człowieka". Wypływa z tego niechęć do idei wykraczających poza trywialną doraźność oraz ich rzeczników, nienawiść w stosunku do religii. Stąd zresztą fetyszyzacja nauki w rodzaju medycyny, która ostatecznie ma decydować, kiedy zaczyna się i kończy życie, a reprezentujący ją coraz częściej przedkładają komfort silniejszych nad ratunek wobec słabszych.

Wszystko to oglądamy w przypadku walczącego o życie Polaka z Plymouth i ludzi, którzy za wszelką cenę chcą go uśmiercić, aby w ten sposób postawić na swoim, pozbyć się „niepełnosprawnego istnienia". Na szczęście reakcja Polaków budzi nadzieję. Nasze przywiązanie do wypracowanych przez pokolenia miar i zasad ciągle jeszcze chroni nas przed popadnięciem w nowoczesny cynizm, który najpełniej wyraża się cywilizacją śmierci.

Reklama | 36/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

Postaw na własną instalację słoneczną z Energą, produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki. Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie instalacji w wybranym wariancie.

Zadzwoń pod **555 555 505** lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

eprasa.pl c9dabefecc

Uroczysta msza święta w wileńskiej katedrze, z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy, przed pochówkiem powstańców styczniowych (m.in. Zygmunta Sierakowskiego) w głównej kaplicy na cmentarzu Na Rossie, których szczątki odnaleziono w zboczu Góry Zamkowej w Wilnie, 22 listopada 2019 r.

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

Patriotyczne obowiązki

Obchodząc 158. rocznicę powstania styczniowego, warto przypomnieć historię wileńskiej rodziny Dalewskich, która zapłaciła niewyobrażalną cenę za swoje zaangażowanie w walkę o wolną Polskę na Litwie. Jej ofiara potwierdziła tym samym, że trwanie przy polskości szczególnie na wschodnich Kresach Rzeczypospolitej drogo kosztuje

ARTUR JAGNIEŻA

Tradycja myślenia o Polsce i Litwie jako niepodległym państwie w domu Dalewskich była ciągle żywa. Wspomnienia dziadka Franciszka Narkiewicza o Napoleonie, opowieści o Adamie Mickiewiczu i wileńskich filaretach, powstaniu listopadowym, prześladowaniach i wywózkach na Sybir, a także echo rebelii galicyjskiej 1846 r. działały szczególnie na wyobraźnię dwóch najstarszych braci Dalewskich – Franciszka (ur. 1825) i Aleksandra (ur. 1827).

SPISEK BRACI DALEWSKICH

Podjęli oni decyzję o założeniu tajnego Związku Bratniego Młodzieży na Litwie, którego celem była praca formacyjna w szeregach najmłodszego pokolenia oraz przygotowanie gruntu do walki o niepodległość. Spisek rozwinął swoje struktury w ośrodkach naukowych na Litwie i w Rosji, na uniwersytetach, gdzie studiowała młodzież, oraz w liceach na Litwie. Pracami związku w Wilnie kierował Franciszek, natomiast Aleksander rozbudowywał jego struktury na wsi. W gorących miesiącach Wiosny Ludów Rosjanie natrafili na ślady spisku za sprawą studenta uniwersytetu charkowskiego Maurycego Kleczkowskiego. Wkrótce potem (w nocy z 9 na 10 oraz 11 na 12 kwietnia 1849 r.) obydwaj bracia zostali zatrzymani. Na kilka miesięcy trafili do wileńskiego więzienia.

Był to bolesny cios dla rodziny, zwłaszcza że matka braci Dalewskich Dominika z Narkiewiczów straciła niedawno najpierw ojca, a potem męża. Franciszek za działalność konspiracyjną został skazany na 15 lat katorgi, jego młodszy brat Aleksander na 10 lat zesłania. Pierwszemu pozwolono wrócić do Wilna po 10 latach, w 1860 r., drugiemu, po odbyciu 7 lat kary, w 1856 r.

RADOŚCI I SMUTKI PRZED POWSTANIEM

Zaangażowanie w działania Związku Bratniego zbudowało w środowisku wileńskim i ziemiańskim Litwy duży szacunek i autorytet braci Dalewskich mimo systematycznych intryg Rosjan, które polegały na tym, że poszczególnym rodzinom zatrzymywanych i skazywanych na zsyłkę syberyjską

eprasa.pl c9dabefecc

przedstawiano braci Dalewskich jako główną przyczynę ich nieszczęścia. Ta XIX-wieczna metoda obarczania przez Rosjan odpowiedzialnością za ich okupacyjne opresje i zbrodnie Polaków działających na rzecz odzyskania niepodległości była stosowana konsekwentnie przez Moskwę także w okresie II wojny światowej oraz w czasie okupacji sowieckiej Polski i Litwy po 1945 r.

Powrót Franciszka Dalewskiego z zesłania zbiegł się w czasie z wybuchem nastrojów narodowych w Królestwie i na Litwie. W 1861 r. natrafiamy już na tajne struktury tak zwanego ogółu zorganizowanego w dziesięć terytorialnych gmin oraz mającego swe wpływy w Petersburgu i w Moskwie. Organizacja liczyła 355 członków, a na jej czele stanął Tytus Dalewski, najmłodszy z braci, urodzony w 1840 r. Wizerunkiem tych czasów stały się patriotyczne nabożeństwa.

W roku 1862 zaczęły się krystalizować obozy białych i czerwonych. Bracia Dalewscy, z racji swojej dotychczasowej działalności, utrzymywali kontakty z przedstawicielami obydwu obozów, tym bardziej że na Litwie stosunki społeczne były tak ułożone, iż poruszenie wojskowe prowincji bez udziału szlachty i ziemiaństwa było niemożliwie. Na początku 1862 r. Franciszek Dalewski został członkiem kierownictwa obozu białych na Litwie.

W kwietniu 1862 r. rodzina Dalewskich pogrążyła się w żałobie, ponieważ zmarł ukochany przez wszystkich brat Aleksander (do tej wczesnej śmierci niewątpliwie przyczyniła się syberyjska zsyłka). Jego pogrzeb stał się pretekstem do organizacji manifestacji patriotycznej. Grób Aleksandra możemy zobaczyć także dziś na wileńskim cmentarzu na Rossie.

Dom Franciszka Dalewskiego staje się na Litwie jednym z ważniejszych centrów tajnych działań, w które zaangażowali się także jego młodsi bracia Konstanty (urodzony w 1835 r.) oraz wspomniany już Tytus. Sam Franciszek będzie do końca przeciwny wybuchowi powstania, mając świadomość, iż Litwa nie jest przygotowana do walki zbrojnej z uwagi na brak broni i odpowiednio wyszkolonych kadr wojskowych.

Na przełomie 1861 i 1862 r. Franciszka odwiedza jego bliski znajomy z 1846 r. Zygmunt Sierakowski. To słynny lider petersburskiego koła polskich oficerów i jeden z głównych przywódców organizacji spiskowej skupiającej Polaków w szeregach rosyjskiego wojska, a także organizator tajnych struktur w Królestwie Polskim. Wizyta w domu Dalewskich owocuje narodzinami miłości od pierwszego wejrzenia Zygmunta Sierakowskiego oraz Apolonii Dalewskiej, siostry Franciszka. W czerwcu 1862 r. Zygmunt i Apolonia biorą ślub prawdopodobnie w Kiejdanach, formalnie wpisując go do ksiąg parafii św. Jana w Wilnie.

POWSTAŃCZE BITWY I POTYCZKI

Wybuch insurekcji 22 stycznia 1863 r. w Królestwie Polskim postawił przywódców powstania na Litwie w niezwykle trudnej sytuacji. W poczuciu odpowiedzialności za litewską młodzież 26 stycznia 1863 r. Franciszek Dalewski wchodzi w skład litewskiego Komitetu Białych. Zdawał sobie bowiem sprawę z dążeń litewskiej młodzieży do rozpoczęcia walki, miał też świadomość nieprzygotowania wojskowego do działań zbrojnych.

Mimo braku formalnego ogłoszenia wybuchu powstania na Litwie już 6 lutego 1863 r. powstańcy województwa wileńskiego odbili 27 rekrutów nocujących w karczmie w pobliżu Trok. Jednocześnie w powiecie trockim między 8 a 10 lutego zaczęły się formować pierwsze partie powstańcze. Kilka dni potem 17 lutego powstańcy zaatakowali rosyjską obronę mostu w Rakanciszkach, tego samego dnia partia powstańcza starła się z kozakami w okolicy Niemenczyna, a 22 lutego rozpoczął potyczki oddziałek Feliksa Wisłoucha, atakując posterunki rosyjskie w Ignalinie i Podbrodziu.

W obliczu tych wydarzeń pilnie skierowano z Wilna do Petersburga delegata Aleksandra Oskierkę w celu ściągnięcia na Litwę Zygmunta Sierakowskiego, którego autorytet i wiedza były niezbędne do uporządkowania spraw wojskowych. Dramatu całej sytuacji dodaje to, iż w tym czasie Apolonia była już w ciąży. Zygmunt Sierakowski pod pretekstem odwiezienia żony w związku z jej stanem do rodzinnego domu bierze kilkutygodniowy urlop u swoich rosyjskich przełożonych i, zostawiając Apolonię w Wilnie, udaje się do obozu powstańczego.

Wybuch powstania na Litwie zastaje braci Dalewskich w różnych miejscach. Najstarszy Franciszek z racji autorytetu wchodzi w skład Prowincjonalnego Rządu na Litwie, w polu walczy Konstanty, który sercem sympatyzuje z obozem czerwonych, Tytus zaś angażuje się w konspirację wileńską.

Wbrew instrukcjom warszawskim partia białych przystępuje do powstania na Litwie już 27 lutego, rozumiejąc, iż dalsze zwlekanie z decyzją będzie oznaczać bezpowrotną utratę autorytetu wśród tamtejszej młodzieży.

Walki powstańcze przybierają dramatyczny przebieg. W powiecie kowieńskim pod Budą 16 marca 1863 r. dochodzi do nieszczęśliwego starcia, w którego wyniku powstańcy zostają rozbici, a naczelnik wojenny Klet Korewa zostaje schwytany przez Rosjan i rozstrzelany. Ze zmiennym szczęściem Polacy walczą w marcu i kwietniu pod Megianami, Wikami, Wysokim Dworem, Leńczami i Cytowianami. W kwietniu dowództwo nad powstańcami województwa kowieńskiego przejął osobiście Zygmunt Sierakowski „Dołęga". Po zwycięskich bitwach pod Ginietynami i Korsakiszkami korpus powstańczy „Dołęgi" zostaje rozbity w dramatycznej trzydniowej bitwie pod Birżami. Klęska birżańska miała wymiar tragiczny dla całego przebiegu powstania styczniowego na Litwie, ponieważ w trakcie walk został ciężko ranny Zygmunt Sierakowski, który dostał się do rosyjskiej niewoli. Pod Birżami w maju 1863 r. zginęła bezpowrotnie Polska na Żmudzi i Auksztocie.

DRAMAT ZYGMUNTA I APOLONII

Sierakowski zostaje przez Rosjan natychmiast przewieziony do Wilna i poddany brutalnemu śledztwu z inicjatywy Michaiła Murawjowa. W czasie przesłuchań niczego nie zdradza. „Wieszatiel" dąży do jak najszybszej egzekucji powstańczego generała, ponieważ z jednej strony chce zastraszyć

eprasa.pl c9dabefecc

i sterroryzować Litwę, a z drugiej ma świadomość, iż popularnemu w armii carskiej oficerowi (Sierakowski jest ojcem zniesienia chłosty w carskiej armii) kara śmierci może zostać zmieniona na katorgę.

Wyrok przez powieszenie zostaje wykonany na wileńskim placu Łukiskim 27 czerwca 1863 r. W czasie egzekucji Apolonia Sierakowska znajduje się w areszcie domowym. Leżąc w łóżku, ciągle słyszy zdanie, jakie zapamiętała w czasie ostatniego widzenia z rannym mężem: „Boże! Ciebie nie przygotowano, ciebie nie uprzedzono, że to nasze ostatnie widzenie się!".

ZEMSTA MURAWJOWA

10 czerwca 1863 r. policja carska zatrzymuje Franciszka Dalewskiego. Na szczęście Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak istotną rolę odgrywał w konspiracji. To pozwala mu uratować życie. Zostaje skazany na kolejne zesłanie na Syberię, tym razem w ramach recydywy najpierw na 12 lat, a potem, dzięki osobistej interwencji Murawjowa, na 20 lat. Śledztwo doprowadza Rosjan także do siostry Franciszka Ksawery Dalewskiej, która w całym okresie konspiracji prowadziła sekretariat brata. To włącza ją w krąg podejrzanych o działalność spiskową.

Michaił Murawjow relacje z rodziną Dalewskich traktuje w kategoriach osobistej zemsty. W październiku 1863 r. Ksawera Dalewska, jej matka oraz siostry Zuzanna i Józefa zostają zesłane na Syberię. Podobny los spotyka Apolonię, która najpierw razem z córką (z uwagi na pamięć ojca dano jej imię Zygmunta) przebywa w Nowogrodzie, a potem w Samarze. Niestety córeczka Zygmunta i Apolonii nie wytrzymuje warunków zesłania i w 1866 r. umiera w Samarze. Na mocy amnestii w 1867 r. matka Dominika Dalewska i jej wszystkie córki otrzymują możliwość powrotu ze zesłania i osiedlenia się w Warszawie. Franciszek na takie prawo musi czekać aż do 1883 r. Cała rodzina ma zakaz powrotu do swojego ukochanego Wilna. Ksawera Dalewska umiera 29 lipca 1900 r., Franciszek Dalewski 24 kwietnia 1904 r., a Apolonia Sierakowska 2 stycznia 1919 r., spoczywając w rodzinnym grobowcu Dalewskich na warszawskich Starych Powązkach.

KONSTANTY I TYTUS WALCZĄ DO KOŃCA

Konstanty Dalewski walczył w morderczej bitwie pod Birżami, a następnie pod dowództwem słynnego na Żmudzi księdza Antoniego Mackiewicza. 24 września 1863 r. wziął udział w bitwie pod Puszałatami w powiecie poniewieskim, gdzie odznaczył się jako oficer. W obliczu kolejnych porażek, ciężko ranny, postanowił ostatecznie opuścić Litwę, co pozwoliło przeżyć mu powstanie. Los zaprowadził go najpierw do Szwajcarii, a potem do Francji. Brał udział w walkach Komuny Paryskiej, a po ich zakończeniu, w nie do końca do dziś wyjaśnionych okolicznościach, został rozstrzelany 27 maja 1871 r.

Równolegle do wygasających w województwach wileńskim i kowieńskim walk (odpowiednio na Wileńszczyźnie w okresie wrzesień–październik 1863 r. pięć starć, w tym samym czasie na Kowieńszczyźnie 14 potyczek), kolejne aresztowania rozbijały ogólnolitewską organizację spiskową. Tytus Dalewski do końca był zaangażowany w działania państwa podziemnego w Wilnie, będąc najbliższym współpracownikiem Konstantego Kalinowskiego. Po jego aresztowaniu przejmuje kierownictwo całej organizacji.

Ci, którzy przeżyli powstanie, wspominają, iż namawiano go do końca, aby opuścił posterunek w obliczu nieuchronnej przegranej i aresztowania. Poczucie obowiązku wyniesione z domu, prawdopodobne przekonanie, że jego bracia Franciszek i Konstanty zginęli, a także świadomość zesłania całej rodziny na Syberię nakazały mu trwać do końca na posterunku. We wspomnieniach Apolonia Dalewska napisze: „Kiedy wieziono mnie przez miasto, jedno tylko uderzyło moją wyobraźnię czy pamięć – wśród tych tłumów sunących się ulicą duże, czarne pełne smutku i trwogi utkwione we mnie oczy brata Tytusa".

Jej najmłodszy brat został aresztowany 20 grudnia 1863 r. Nie dał się złamać w śledztwie i został rozstrzelany na placu Łukiskim 11 stycznia 1864 r.

NIEŚMIERTELNI

Nie sposób zrozumieć czynu powstania styczniowego na Litwie i poczucia obowiązku wobec polskości bez znajomości historii wileńskiej rodziny Dalewskich. Rosyjska perfidia zwalczania powstania polegała także na tym, aby straconych przywódców ruchu grzebać w nieznanych rodzinom i ich towarzyszom broni miejscach. Los ten, jak wiemy, dotknął w Warszawie Romualda Traugutta. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywają jego szczątki.

Podobny los miał spotkać męża Apolonii Dalewskiej Zygmunta Sierakowskiego, Konstantego Kalinowskiego, Tytusa Dalewskiego i innych powstańców, których po straceniu chowano nocą w ukryciu przed rodzinami na zboczach wileńskiej Góry Zamkowej. Dzięki życzliwemu Apolonii Dalewskiej Rosjaninowi tajemnica ta została zdradzona i opisana w jej pamiętnikach. Po zajęciu Wilna przez Niemców w 1915 r. Polacy na zboczach góry postawili symboliczny krzyż, który Niemcy szybko zlikwidowali.

Trudno zrozumieć, dlaczego do sprawy poszukiwań szczątków powstańczych nie wrócono w okresie międzywojennym, tym bardziej że Józef Piłsudski uważał Wilno za swoje ukochane miasto i sam niejednokrotnie wyrażał szacunek dla czynu powstańców styczniowych. Los dopisał jednak przedziwny epilog tej historii. W wyniku prowadzonych przez litewskich archeologów prac badawczych i renowacyjnych na zboczach Zamkowej Góry w lutym 2017 r. udało się odnaleźć szczątki pochowanych powstańców. Wśród nich m.in. szczątki Zygmunta Sierakowskiego, na którego palcu pozostała obrączka ślubna z napisem „Zygmunt Apolonia 11 sierpnia/30 lipca 1862". 22 listopada 2019 r. z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy dokonano uroczystego pochówku powstańców pogrzebanych na zboczu Góry Zamkowej w głównej kaplicy na wileńskiej Rossie, którą w tym celu specjalnie odnowiono. I tak oto Miłość i Prawda zatriumfowały.

eprasa.pl c9dabefecc

Szkatułka ze skarabeuszem

Gdyby Steven Spielberg spotkał w odpowiednim czasie prof. Andrzeja Niwińskiego, to nie o Indianie Jonesie nakręciłby film – uważa Monika Krupa, reżyserka dokumentu „A co jeśli nic?", który walczy o wejście do oscarowej rywalizacji

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl c9dabefecc

Z *Moniką Krupą*, reżyserką walczącego o wejście do oscarowej rywalizacji dokumentu „A co jeśli nic?", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Tytuł pani filmu można odczytać metafizycznie. Taki był zamysł czy miniony rok dopisał do niego dodatkowy kontekst?

Monika Krupa: Od początku szukaliśmy tytułu niejednoznacznego. Z jednej strony nawiązującego bezpośrednio do tego, co robi nasz bohater, z drugiej stawiającego pytania o kondycję człowieka, który jest tak pochłonięty swoją pasją. Człowieka, który poszukuje i się nie poddaje. Od chwili gdy poznałam bohatera, zastanawiałam się, ile trzeba mieć w sobie siły, by sprostać wyzwaniu równie ogromnemu, że dla niektórych mogłoby się wydawać syzyfową pracą. Bo po 15 latach samych poszukiwań (i przerzuceniu kilkunastu tysięcy ton kamieni), a wcześniej, gdy poświęcone zostało drugie tyle na wertowanie dokumentów, takie pytanie musiało się pojawić: „A co, jeśli nic?". I miało ono zarówno znaczenie dosłowne, jak i po części metafizyczne, bo chodziło o to, co się z człowiekiem dzieje i skąd czerpie on taką siłę i motywację do działania. Co go napędza? Gdzie drzemie jego wewnętrzny motor?

Tak więc kim jest bohater pani filmu i jaki motor go napędza?

Prof. Andrzej Niwiński to polski archeolog i odkrywca, który pół swojego życia poświęcił na poszukiwania grobowca faraona Amenhotepa I w Egipcie...

...ponoć w tym grobowcu może spoczywać również Herhor, najwyższy dowódca i arcykapłan Amona, znany polskim czytelnikom z powieści „Faraon" Bolesława Prusa.

I to jest niezwykle ekscytujące założenie, ale nas przede wszystkim interesowała postać samego profesora. On był najsilniejszą motywacją do nakręcenia filmu, on wyznaczał kierunek tej historii, a my się zastanawialiśmy, co przez tę jego drogę możemy pokazać. O jakich uniwersalnych wartościach opowiedzieć. Jak stworzyć historię, która stanie się ponadczasowa i będzie trochę dotyczyła każdego z nas. Bo profesor prywatnie jest romantykiem piszącym listy i wiersze do swojej żony. Nie liczy czasu. To człowiek trochę zawieszony w czasie.

A nie „zakopany w czasie" czy „odsłaniający" dawny czas?

Zdecydowanie „zawieszony w nim", bo to pokazuje przestrzeń i swobodę, z jaką prof. Niwiński się w niej porusza. Dla kogoś z boku 30 lat poszukiwań to jest albo całe życie, jak dla mnie [16 stycznia pani reżyser obchodziła 32 urodziny – przyp. red.], albo coś zupełnie niewiarygodnego, a dla niego to ułamek chwili, bo dla niego perspektywą czasową jest wiek piramid.

Sceneria archeologicznych badań i tajemnice z nimi związane inspirowały niejednego twórcę filmu przygodowego. Pobudzały wyobraźnię widzów. Pani też?

Jako dziecko uwielbiałam Indianę Jonesa, ale jestem przekonana, że gdyby Steven Spielberg poznał prof. Niwińskiego, na przykładzie jego życia i dokonań mógłby stworzyć superciekawą fabułę z bohaterem o wiele bardziej interesującym od granego tego przez Harrisona Forda. Niemachającego biczem, bez fikuśnego kapelusza, za to próbującego odczytać szyfry i znaki, by rozwikłać znacznie ciekawszą i głębszą tajemnicę. Po poznaniu prof. Niwińskiego wizerunek Indiany Jonesa pozostaje w tyle. To prof. Niwiński jest archeologiem, za którym warto podążać, bo on opowiada o wartościach, które każdy z nas ma w sercu.

Myśli pani, że ten trop pozwoli wam „dokopać się" do uwagi członków Amerykańskiej Akademii Filmowej? Da szansę sięgnąć po więcej?

Mamy taką nadzieję, jeśli tylko „A co jeśli nic?" do nich dotrze. Jeśli go obejrzą. Myślę, że każdy może znaleźć w tym filmie coś innego. Czasy pandemii nadały mu dodatkowe znaczenia, głębszy wymiar. Jednocześnie – po reakcjach widzów, które w okrojonym zakresie zdążyliśmy jeszcze zaobserwować przed lockdownem – stworzona przez nas (i naszego bohatera) narracja, przygodowość i napięcie, które są w filmie, „unoszą" tę historię. Po premierze słyszeliśmy głosy: „Dlaczego tak krótko?", „Jeszcze chcemy", ale wolę zostawić niedosyt niż przesyt. I tą historią, i tym bohaterem.

Film trwa 41 minut, ale na Warszawskim Festiwalu Filmowym 2020 zdobył główną nagrodę w konkursie krótkometrażowego dokumentu. Co to oznacza dla „A co jeśli nic?"?

Otworzyło to tzw. ścieżkę oscarową, możliwość wejścia do wstępnego etapu oscarowej rywalizacji. Potrze-

eprasa.pl c9dabefecc

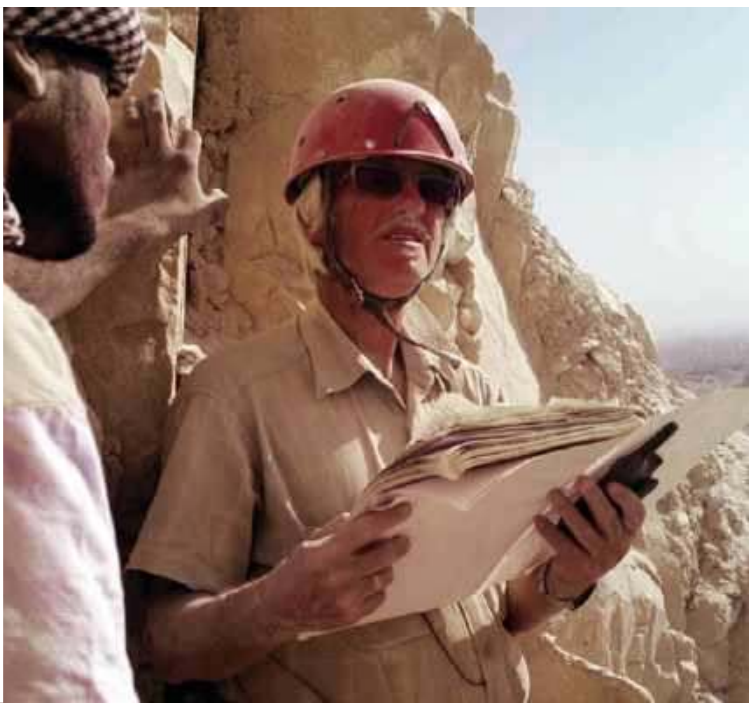

bowaliśmy środków na działania promocyjne, dotarcie do jak największej liczby członków Amerykańskiej Akademii Filmowej i przebicie się wśród wielu innych produkcji. Na portalu zrzutka.pl uruchomiliśmy więc możliwość wpłacania pieniędzy. Są przewidziane nagrody; za cegiełkę w wysokości 50 zł można otrzymać dostęp do filmu. Wciąż potrzebujemy środków na sfinansowanie ostatniego tygodnia kampanii, który jest bardzo ważny, bo to ostatnia szansa, kiedy członkowie Akademii mogą nasz film zobaczyć i jeszcze na niego – między 1 a 5 lutego – zagłosować. Ogłoszenie tzw. shortlisty, czyli 10 tytułów, zaplanowano na 9 lutego. Znalezienie się na niej byłoby już dla nas wielką wygraną.

Film ma co prawda tytuł „A co jeśli nic?", ale pani doświadczenie związane z jego realizacją pokazuje, że to projekt, który może zaskoczyć. Na przykład niezwykle cennym odkryciem? Jak wpisało się ono w waszą narrację?

To bardzo ważny element. Po raz pierwszy skończyliśmy zdjęcia w 2018 r. Film był praktycznie gotowy. Mogliśmy wysyłać go na festiwale i planować jego dalsze losy. I wtedy profesor zaprosił nas – mnie i operatora Filipa Drożdża, z którym od początku realizuję ten projekt – do Egiptu. Bardziej w charakterze dokumentalistów przedstawiających cele jego naukowej misji. Nikt z nas nie mógł wtedy przewidzieć, że w trakcie naszego pobytu profesor natrafi na tak fascynujące rzeczy, dokona odkrycia, które ustawi jego prace i wykopaliska w zupełnie nowym miejscu i świetle.

Przypomnijmy, co zostało odnalezione?

M.in. szkatułka ze skarabeuszem z oznaczeniem króla Totmesa II, pierwszy taki artefakt z podobnym podpisem; skrzynka z jajami gęsi, które również są symbolem królewskiego pochówku i mogą oznaczać kamienie pod świątynię lub grobowiec. I to w miejscu, które przez wielu było uznawane za teren, gdzie niczego nie można znaleźć. Tymczasem artefakty tak wysokiej klasy mogą świadczyć jedynie o tym, że w tym miejscu dalej warto prowadzić badania, bo może się tam znajdować to, czego profesor przez tyle lat szuka.

Jak wspomniane odkrycia wpłynęły na wasz film?

Musieliśmy go przemontować, ale dzięki włączonym materiałom, całość zyskała nowy wymiar. Premiera, zamiast w 2018 r., odbyła się dwa lata później.

Kiedy pojawił się pomysł na zrealizowanie dokumentalnego filmu właśnie o prof. Niwińskim?

Było to związane z moimi zainteresowaniami jeszcze sprzed szkoły filmowej. Pochłaniałam ogromne liczby książek związanych z archeologią. Były wśród nich także bardzo ciekawe, pisane przez prof. Niwińskiego. Kiedy pod koniec studiów szukałam tematu na pierwszy film, postanowiłam sięgnąć do tego, co tak mnie wcześniej fascynowało.

Kiedy doszło do realnego spotkania prof. Niwińskiego?

W 2014 r., po jednej z konferencji archeologicznych, jako świeżo upieczona absolwentka Filmówki podeszłam do profesora z pytaniem, czy mogę zrobić o nim dokument. Spojrzał na mnie pobłażliwie i odpowiedział, że oczywiście, ale... muszę wcześniej załatwić zgodę na realizowanie zdjęć w miejscu wykopalisk. Uznałam, że nie jest to zbyt skomplikowane,

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl c9dabefecc

tymczasem profesor nie odmówił mi, ponieważ był w 100 proc. pewien, że – jak wiele innych ekip – zgody egipskich władz nie uzyskam. Tymczasem moja ówczesna z jednej strony naiwność, a z drugiej wielka chęć nakręcenia tego filmu sprawiły, że się udało. Profesor był zaskoczony, ale odmówić już nie mógł.

Między panią a operatorem (rocznik 1984) jest pięć lat różnicy, więc spokojnie mogliście się dogadać. A jak wyglądały relacje ze starszym o cztery dekady bohaterem, człowiekiem z naukową pozycją i osiągnięciami?

Nie mieliśmy problemów z porozumieniem, bo profesor ma młodą duszę. Niekiedy wydawało mi się, że rozmawiam z rówieśnikiem. Chociaż z dorobkiem naukowym, ogromną wiedzą, bagażem życiowych doświadczeń, ale też bardzo kochającym życie, kochającym ludzi. Podchodzącym do życia z wielką pasją. Myślę, że niejeden młody człowiek może się z naszego filmu dużo dowiedzieć – zarówno o bohaterze, jak i o sobie. Może z niego czerpać i wiele się nauczyć.

Czego na tym etapie można życzyć ekipie „A co jeśli nic?"? Żebyście dotarli jak najdalej? Chociaż – zdaje się – nie tylko dla waszego bohatera droga jest najważniejsza.

Rzeczywiście to film nie o celu, ale o tym, co w drodze do niego nas spotyka, co możemy przeżyć, zobaczyć, kogo możemy poznać i co innym od siebie dać.

* * *

Ogłoszenie tzw. shortlisty (czyli 10 tytułów) nastąpi 9 lutego. Potem z niej zostanie wybranych pięć tytułów nominowanych do nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej. 93. ceremonia wręczenia Oscarów odbędzie się 25 kwietnia 2021 r.

Siła pogodnego jazzu

Dawkę tak potrzebnego optymizmu przynosi pięciopłytowy album firmowany nazwiskiem Jana Ptaszyna Wróblewskiego. To wizytówka nagrań Studia Jazzowego Polskiego Radia i innych zespołów legendarnego saksofonisty, kompozytora, dyrygenta, niezrównanego popularyzatora jazzu

ADAM CIESIELSKI

Mógł jak ojciec zostać adwokatem, studiował mechanizację rolnictwa, ale jego przeznaczeniem była muzyka synkopowana. Zaczął się nią pasjonować w czasach licealnych w Kaliszu. Życiowego wyboru dokonał, idąc śladem innego Wielkopolanina, Krzysztofa Trzcińskiego-Komedy, który dla jazzu porzucił karierę lekarza. W zespole Komedy wystąpił właśnie na pamiętnych festiwalach sopockich w 1956 i 1957 r. Wkrótce zatem minie 65 lat od jego debiutu.

W 1958 r., jako jedyny z polskich jazzmanów, został zaproszony do International Newport Band i koncertował w USA m.in. z Louisem Armstrongiem. Pełen polotu i wigoru, ale i doskonale zorganizowany, na rodzimej scenie szybko stał się jednym z niekwestionowanych liderów. Trudno zliczyć formacje, które prowadził. Jedną z najważniejszych było Studio Jazzowe Polskiego Radia, działające w latach 1969–1978. Ptaszyn zapraszał doń kolegów – od Komedy, Trzaskowskiego, Namysłowskiego, Stańki, Karolaka, Urbaniaka, Dudziak, po Seiferta, Nahornego, Muniaka, Kulpowicza. Większość z nich nie tylko grała, lecz i komponowała. I to jak!

Spośród 187 utworów z repertuaru Studia, znalezionych w archiwach Polskiego Radia przez pomysłodawcę i redaktora jazzowych serii Wojciecha Kwapisza, Ptaszyn wybrał 56 kompozycji. Pięć godzin muzyki to porcja nie do odsłuchania jednym ciągiem. Rodzaj poradnika, jak się poruszać w tym gąszczu, proponuje Tomasz Tłuczkiewicz. Podpowiedzi daje też pełen zakulisowych rewelacji wspomnieniowy esej samego Wróblewskiego.

Intrygują fantazyjne tytuły jego utworów, takie jak „Strzeż się szczeżui", „Mól koński pałaszował gnat, nucąc przy tym bardzo cicho", „Sroga mżawka, czyli trzysta kilometrów raz jeszcze". A to tylko przedsmak emocji, jakie niesie muzyka.

Jan Ptaszyn Wróblewski
Studio Jazzowe Polskiego Radia
1969–78
Kwartet Jana Ptaszyna Wróblewskiego 1979
Sekstet Jana Ptaszyna Wróblewskiego
2006, 2017
Wyd. Polskie Radio

Reklama | 23/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

PFR
Polski Fundusz Rozwoju

Tarcza Finansowa PFR 2.0

Pomoc na czas

W obliczu drugiej fali pandemii koronawirusa Polski Fundusz Rozwoju realizuje program o wartości ponad 35 mld zł – Tarcza Finansowa PFR 2.0. Jest to przygotowany przez rząd premiera Mateusza Morawieckiego nowy program wsparcia polskich przedsiębiorców z 45 branż, które musiały ograniczyć działalność w związku z obostrzeniami sanitarnymi.

W ramach Tarczy 2.0 mikrofirmy mogą otrzymać do 324 tys. zł w zależności od liczby zatrudnionych i poziomu spadku przychodów, a MŚP do 3,5 mln zł na pokrycie do 70% strat.

Przyjmowanie wniosków od 15 stycznia do 28 lutego poprzez systemy bankowości elektronicznej 18 banków komercyjnych i większości spółdzielczych.

Wejdź na www.pfr.pl i sprawdź, czy Twoja firma może skorzystać z subwencji.

Tarcza Finansowa PFR 2.0

eprasa.pl c9dabefecc

3 MIŁOŚCI

Bestialskie korzenie ideologii gender

ROBERT TEKIELI

Zmiana władzy w USA przyspieszy rewolucyjne przemiany na całym świecie. Stojąca za neomarksistowską rewolucją ideologia udaje naukę, zobaczmy to oszustwo na przykładzie historii ojca gender studies.

Po raz pierwszy sformułowania „gender role" użył w 1955 r. amerykański seksuolog John Money. Zastosował on pojęcie „gender" do określenia kulturowo nabytych różnic między kobietami i mężczyznami. Zdaniem Moneya biologiczna płeć „może być sprzeczna z tożsamością seksualną" i trzeba ją operacyjnie skorygować, by „uzgodnić" płeć z tożsamością. Będąc konsekwentny, Money nie ograniczył się do teorii, był również prekursorem operacji „zmiany płci" i twórcą pierwszej kliniki „zmiany płci".

Najbardziej brzemiennym w skutki społeczne był eksperyment Moneya na dwóch kanadyjskich bliźniakach jednojajowych. Jeden z nich, David Reimer (1965–2004), wskutek błędu lekarskiego stracił prącie w wieku siedmiu miesięcy. Money doradził operację „zmiany płci", usunięcie jąder, poddanie kuracji hormonalnej i rozpoczęcie wychowywania chłopca jako dziewczynki, co zrobiono, gdy pacjent miał dwa lata. Dziecku zmieniono imię na Brenda. Brat bliźniak natomiast był wychowywany zgodnie ze swoją płcią biologiczną.

Money twierdził, że Brenda znakomicie odnajdywała się w nowej tożsamości. Udowadniał, że eksperyment potwierdza, iż rola kobieca i męska może być wybrana po urodzeniu, że można kształtować rolę płciową niezależnie od płci genetycznej. Raporty z badań zostały opublikowane w roku 1972 („Man and Woman, Boy and Girl i 1975 – Sexual Signatures: On Being a Man or Woman").

Treść raportów wpłynęła na teorię i praktykę w psychologii, socjologii oraz women's study.

Temat podjęły też media. Jako pierwszy magazyn „Time" w 1973 r. opublikował artykuł stwierdzający, że tradycyjne wzorce męskości i kobiecości można zmienić i nie są one zależne od genów. Ta i kolejne publikacje na temat ideologii gender spotkały się z ogromnym odzewem społecznym.

Okazało się jednak, że okaleczone dziecko z eksperymentu Moneya nigdy nie akceptowało nowej roli. Czteroletnia Brenda pocięła różowe i białe sukienki, które kazano jej nosić. Zachowywała się jak chłopiec, w żeńskiej łazience oddawała mocz na stojąco, bawiła się w żołnierza, uprawiała sporty walki. Nie interesowała się lalkami, nie chciała się bawić z koleżankami. Zawsze wolała zabawki brata. Walcząc z fałszywą i niepasującą tożsamością, dostawała napadów wściekłości, cierpiała wskutek lęków, depresji, zagubienia i agresji.

W wieku 12 lat lekarze rozpoczęli podawanie estrogenów, Brenda jednak odmawiała poddawania się terapii hormonalnej. Nie akceptowała także swojego kobiecego wyglądu. Po konsultacjach z psychiatrami rodzice poinformowali swoje dziecko o jego biologicznej tożsamości, gdy miało 14 lat. Wtedy Brenda odmówiła operacji formowania waginy. Zdecydowała, że chce żyć jako mężczyzna. Rok później przeszła zabieg mający na celu odbudowę prącia. Od tego czasu pacjent relacjonował znaczną poprawę komfortu życia. Usunął piersi, wstrzykiwał sobie testosteron. Bruce-Brenda zmienił imię na David i w wieku 25 lat się ożenił. Niestety chłopiec, który został dziewczynką, która została mężczyzną, oscylował między kolejnymi fazami lęku, gniewu, wyparcia i depresji. W roku 2004 David Reimer popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę. W opinii matki, gdyby nie wyniszczający eksperyment, David nadal by żył.

Co zwiększa potworność tej historii, według zeznań ofiar, Money zmuszał rodzeństwo w czasie wizyt kontrolnych do kazirodczych zachowań seksualnych.

Money został oskarżony w mediach o próby potwierdzania wymyślonych teorii za pomocą sadystycznych eksperymentów. Jednak krytykę swego bestialstwa nazywał prawicową, antyfeministyczną patriarchalną propagandą.

Aby dopełnić obrazu człowieka, który wpłynął w zasadniczy sposób na kształt współczesnej humanistyki, dodajmy, że Money uważał, iż pedofilia oparta na pozytywnym uczuciu do najmłodszych nie powinna być karana, nazywał też heteroseksualność „sztucznym konceptem" i zachwalał biseksualny seks grupowy. Kolekcjonował i wykorzystywał na swoich wykładach nekrofilską i pedofilską propagandę.

Prekursor ideologii gender, guru rewolucji seksualnej, był maniakiem seksualnym, który swoje dysfunkcje podniósł do rangi teorii naukowej, czego środowisko naukowe nie zechciało zauważyć. Do dziś John Money jest autorytetem dla wielu psychologów i seksuologów, ideologia gender zaś stała się, jak kiedyś marksizm na Wschodzie, państwową ideologią determinującą przepisy prawa i edukację w szkołach Zachodu. Taką to świetlaną przyszłość nam szykują. To już od dawna nie są żarty.

eprasa.pl c9dabefecc

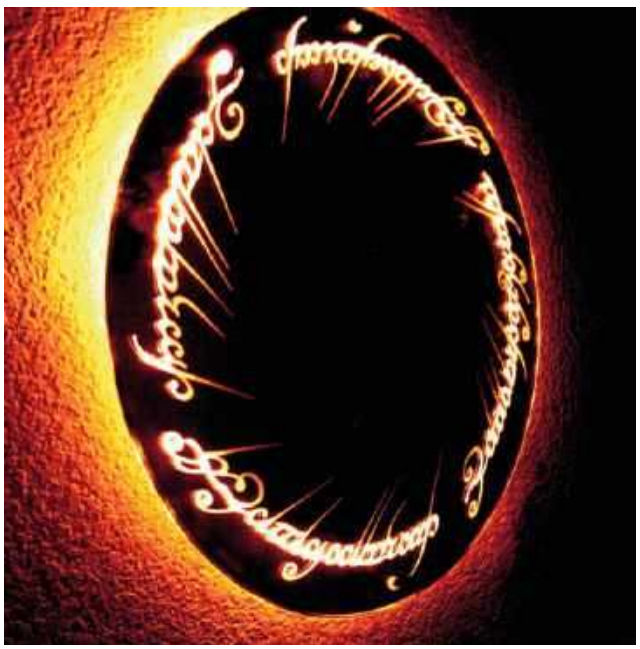

POPKULTURA

Zobaczymy O przygotowywanym przez Amazon Prime serialu *„The Lord of the Rings"* pisałem już w ubiegłym tygodniu. Ale twórczość na podstawie powieści Tolkiena warta jest przybliżania ze względu na osnowę filozoficzną jego książek oraz zwyczajną mądrość, które z sobą niosą. Kinowa odsłona spłaszczyła tę rzeczywistość symboliczną nieznacznie, mam nadzieję, że podobnie będzie z serialem. Sami twórcy napisali o nim właśnie tak: „Nadchodzący serial Amazon Studios po raz pierwszy przeniesie na ekran heroiczne legendy Drugiej Ery Śródziemia. Akcja tego epickiego dramatu rozgrywać się będzie tysiące lat przed wydarzeniami znanymi z »Hobbita« i »Władcy pierścieni«. Zabierze widza do świata, w którym wykuwane były potężne siły, królestwa zmierzały w stronę swojej chwały, ale i upadku, niezwykli bohaterowie stawali przed próbami, nadzieja wisiała na cieniutkim włosku, a najwięksi złoczyńcy, jacy kiedykolwiek powstali spod pióra Tolkiena, zagrażali światu pogrążeniem go w ciemności. Rozpoczynając się w czasie względnego spokoju, serial podąży za jego różnorodnymi postaciami – znanymi i nowymi – które stawią czoła długo oczekiwanemu ponownemu narodzeniu się zła. Razem z nimi wyruszymy do najgłębszych otchłani Mglistych Gór, wspaniałych lasów otaczających stolicę elfów Lindon, zapierającego dech w piersiach, leżącego na wyspie królestwa Numenor oraz do najodleglejszych zakątków uwzględnionych na mapie Śródziemia. Te postaci i królestwa stworzą spuściznę, która będzie żyć długo po ich odejściu". Prawdopodobnie zobaczymy w serialu młodego Saurona. W pozostałe postaci wcielą się m.in. Robert Aramayo, Owain Arthur, Nazanin Boniadi, Tom Budge, Ismael Cruz Cordova, Ema Horvath, Markella Kavenagh, Joseph Mawle, a Morfydd Clark zagra młodą Galadrielę. Widowisko ma mieć największy budżet w historii produkcji telewizyjnych. Czekam z niecierpliwością i nieśmiałą nadzieją.

POPKULTURA

Warte Na platformie streamingowej HBO możemy obejrzeć kinowy hit *„Spider-Man: Daleko od domu"*, jeden z uroczych rodzinnych filmów Marvela w uniwersum Avengersów. Fabuła pojawiła się w kinach tuż po ostatniej części „Avengers: Koniec gry" i była w pewnym sensie jej epilogiem. Jednak i bez znajomości całej historii o reszcie superbohaterów Avengers ten film można z satysfakcją obejrzeć.

Użyty w nim schemat fabularny jest już prawie wyeksploatowany. Ale w końcu najbardziej lubimy piosenki, które bardzo dobrze znamy. Nastoletni Spider-Man, w życiu codziennym zwykły uczeń Peter Parker, zakochany jest w pewnej dziewczynie, której boi się powiedzieć o swoich uczuciach. Po spotkaniu z Thanosem chce odpocząć. Nie wie, czy powinien nadal być superbohaterem, czy zacząć normalnie żyć. Film jest zabawny i ckliwy. Młodzi widzowie odnajdą w nim siebie, swoje problemy, a dorośli przypomną sobie młodość. Wszystko to zostało spięte świetnymi scenami akcji z dobrymi efektami specjalnymi. Kino akcji z nutkami komediowymi. Nic tylko oglądać w weekend w rodzinnym gronie.

POPKULTURA

Zobaczymy Powstał czteroodcinkowy serial na podstawie polskiego filmu kinowego opartego na faktach pt. *„25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy"*. Jest dostępny od niedzieli 24 stycznia w serwisie TVN Player.pl. Film był wstrząsający. Kafkowska bezradność wobec sytemu wykorzystywanego z niskich pobudek. Wolność odzyskana dzięki wewnętrznej prawości bohatera i odwadze ludzi będących trybikami machiny, ale wierzących, że państwo jest po dobrej stronie. Życie.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl c9dabefecc

Gdzie leży Lodomeria?

W czym tkwi haczyk? To nie haczyk, to metoda. Przez cały „długi wiek XIX" Galicję trzeba było wymyślać

Wojciech Stanisławski

Nie było drugiej tak malowniczej krainy w Europie. „I Annie Csilag rosły, rosły włosy, / Szamerowana była pierś huzara. / Po górskich wioskach szła wieść o Cesarzu, / Którego powóz widział ktoś w dolinie". Chłopi, Żydzi, panowie, Huculi, Rusini, Czesi, oficerowie, Krakowiacy i górale. Powozy, kolej, polska autonomia, (drobno)mieszczaństwo w całej swej potędze, dla Polaków – szkoła modernizacji i biurokracji w warunkach braku niepodległości (już niedługo przydadzą się te umiejętności – rdzeń kadry urzędniczej II RP stanowili „galileusze"). Fantazje, moderny, witraże, poeci przeklęci nad absyntem i widmo Szeli na podmiejskim weselu. Krótko mówiąc, Galicja.

Opisywano ją po tysiąckroć, akademicko i anegdotycznie, od prof. Stanisława Grodziskiego po Leszka Mazana. Kilku badaczom udało się nawet wyjść poza ramki „polskiej" lub „ukraińskiej" historii Galicji, by pisać po prostu o fenomenie: obszarze funkcjonującym przez chwilę jako jednostka geografii politycznej w średniowieczu, posiadającym, od biedy, swoje wyróżniki geograficzne (Wisła na zachodzie, Dniestr na wschodzie, łuk Karpat jako kręgosłup), lecz w gruncie rzeczy stworzonym na mocy politycznego 'fiat' Wiednia, gdy już udało mu się rozpocząć dzieło rozbiorów Rzeczypospolitej. Spójnego pomysłu na prowincję Habsburgowie nie wypracowali do końca – powstał natomiast obszar wielonarodowy, zacofany, a zachwycający.

W „Idei Galicji" nie znajdziemy zbyt wielu faktów, które byłyby przedtem całkiem nieznane: no tak, Maria Teresa i Józef II, Wolne Miasto Kraków, Szela, „Czas", Matejko, a obok nich działacze i pisarze innych nacji, od Markiana Szaszkewycza po Karla Emila Franzosa, od Leopolda Sacher-Masocha po Martina Bubera. Do tego potężniejący ruch rusiński/ukraiński, syjoniści i intrygi Wiednia. Brak w niej uporządkowanej prezentacji podstawowych danych o ustroju czy gospodarce prowincji, zdarzają się drobne kiksy faktograficzne będące skutkiem nie tyle niewiedzy, ile potoczystości frazy (owszem, można uznać, że Królestwem Polskim po roku 1916 „rządził Paul von Hindenburg" (s. 538) – ale tylko pośrednio, jako szef niemieckiego Sztabu Generalnego). To jednak nieważne – od książki i tak, zwłaszcza osobom, którym bliska jest Europa Środkowa jako fenomen, nie sposób się oderwać.

W czym tkwi haczyk? To nie haczyk, to metoda, którą Larry Wolff, historyk z New York University, przejął po trosze (i udoskonalił) od sławetnego Edwarda Saida, opisując proces konstruowania koncepcji i wyobrażeń nowych bytów politycznych lub regionów. Nie idzie mu przy tym, podkreślam, o typowe działania władzy, tj. o tworzenie nowych instytucji czy praw, lecz o „wymyślanie" samego pojęcia, które z czasem stanie się politycznym konkretem.

Najpełniej opisał Wolff tę „technologię władzy" w pracy napisanej kilka lat wcześniej i nierównie bardziej znanej, tj. w „Wynalezieniu Europy Wschodniej", wydanym przez MCK równolegle z „Ideą Galicji". Ten pierwszy tytuł, należący już do klasyki współczesnej historiografii, opisuje działania intelektualistów i podróżników zachodnioeuropejskich, którzy w ciągu XVIII w. doszli do wniosku, że istnieje nie tyle geograficzny wschód kontynentu, ile jego wyraźnie wyodrębniający się region, charakteryzujący się ogromnym zróżnicowaniem i zacofaniem. Zdaniem amerykańskiego historyka w procesie tym mieliśmy zresztą do czynienia nie tyle z narodzinami nowego sposobu postrzegania ziem na wschód od Łaby – indywidualnego, a z czasem zbiorowego – ile z zabiegiem mającym na celu podporządkowanie, zdominowanie, „ustawienie" opisywanego obszaru. W tym przekonaniu, że sam akt nazywania wiąże się ze swego rodzaju władzą, w tym wyczuleniu na dominację opisującego najwyraźniej da się rozpoznać wpływ Saida, a pośrednio – Foucaulta, prawdziwego monomaniaka kwestii związanych z libido dominandi, i jest to najbardziej może sporny punkt całego wywodu, skoro trudno wykazać wspólnotę intencji czy działań wszystkich „opisujących". Sam jednak pomysł, by spisywać nie tyle realne dzieje polityczne, lecz pojawiające się w programach politycznych, przewodnikach i dziełach sztuki wyobrażenia i fantazje na temat danego obszaru, prowincji czy zbiorowości jest fascynujący i Wolff specja-

eprasa.pl c9dabefecc

lizuje się w nim od lat, pisząc również np. o wyobrażeniach Dalmacji czy Turcji w czasach oświecenia.

Książka traktująca o „Idei Galicji" również odwołuje się do wątków dominacji politycznej i trudno, by tak nie było, skoro Habsburgowie, sięgnąwszy po ziemie Rzeczypospolitej, muszą nie tylko uzasadnić sam akt zaboru, lecz nadać i narzucić jakąś tożsamość opanowanemu obszarowi. Nie brak im w tym rozmachu – stąd odwołanie się do średniowiecznej tytulatury w nazwie „Galicji i Lodomerii", mimo że granic tej drugiej (czyli efemerycznego księstwa halicko-włodzimierskiego) nikt nawet nie silił się wytyczać, stąd curiosum, jakim był wydany w roku 1809, mimo zadawanych przez Napoleona klęsk, „Atlas botaniczny Galicji".

Larry Wolff, „Idea Galicji. Historia i fantazja w kulturze politycznej Habsburgów", tłum. Tomasz Bieroń, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2020

Z czasem jednak Wiedeń traci drapieżność, do gry włączają się natomiast poddani – i właśnie ten zbiór głosów w ciemności, w którym mizogin i geniusz Hugo von Hoffmannsthal współbrzmi z żydowską emancypantką Bertą Pappenheim, a Stanisławowi Wyspiańskiemu przychodzi spierać się (na snute równolegle wizje) z Iwanem Franko, czyni z „Idei Galicji" Wolffa rzecz tak odkrywczą, tak wciągającą.

Mowa żywa

Nie wszystko w tym zbiorze pięciu opowiadań budzi entuzjazm krytyka. Od dawna mam kłopot z wplataniem do literatury, choćby na zasadzie echa czy kryptocytatu, niefortunnych albo krzywdzących fraz polityków. Nieważne, czy będzie to „gorszy sort" (brzęczący w ubiegłorocznej, niezłej skądinąd powieści Macieja Hena – i w kilku innych książkach, niezasługujących tu na przytoczenie), czy „szczaw i mirabelki" (to u Kudyby). Te i inne zwroty zostały już tysiące razy przemielone przez publicystów, internautów, memiarzy, i ich pojawienie się w prozie – nawet jeśli oddaje jakąś część prawdy o języku potocznym lub o obolałości dotkniętego nimi autora – redukuje zarazem książkę do zbioru wycieczek politycznych, worka zwietrzałych felietonów: to ostatnie chyba, czego oczekujemy dziś od literatury.

Nie zawsze też cieszy w niej parabola, zwłaszcza gdy nazbyt już przejrzysta: po pierwszym akapicie wiadomo już, jak budująco skończy się historia zbłąkanej Apolonii R., zgorzkniałej w wielkim mieście, na pozór – rozmienionej na drobne. A już najgorszym ryzykiem obarczone jest sięganie przez prozaika po język „młodzieżowy". Choćby ktoś nadstawiał ucha, choćby codziennie sprawdzał zakładkę „ostatnio dodane" na portalu miejski.pl czy innym, poświęconym slangom – nic nie poradzisz, nie dogonisz. To, co zostanie wydrukowane w książce, będzie jak światło gwiazd dobiegające do Ziemi po wielu latach. Nie, „uwalić się w trupa" nie mówi się dziś i raczej nie mówiło się w 2018 r., kiedy toczy się akcja opowiadania.

Mówi się za to, owszem, sporo – w narzeczach, które zmieniają się wolniej niż wielkomiejska gwara nastolatków, bo mniej już się dzieje – o bilobilu, depeesach i cewniku. I to jest jedną z większych zalet prozy Wojciecha Kudyby, która rzucała się w oczy już w jego „Kamienicy" sprzed dwóch lat, również w wydanych w tym samym czasie „Imigrantach...". Te opowiadania całe budowane są z mowy żywej: z głosów, z dialogu, najczęściej z monologu, czasem aż zalewającego słuchacza/czytelnika, ze „skazu" zawsze będącego świadectwem samotności. I są to nieodmiennie głosy tych, których statystycznie jest najwięcej, a których w nowszej prozie było bardzo mało: samotnych matek z dwójką dorastających dzieci, urzędniczek w prowincjonalnym biurze, młodych, przeczołganych przez proboszcza i licealistów księży. Także emerytów, wiejskich dziadków w wiecznej marynarce – ale nie chcę utrwalać wrażenia, obecnego w wielu po „Kamienicy", że Wojciech Kudyba stał się lub stać chce literackim rzecznikiem seniorów. To nie tak: autor „I co dalej" pisze o nieobecnych, milczących – można by napisać, gdyby to słowo nie szeleściło tak gazetowo, o naprawdę wykluczonych.

Wojciech Kudyba, „I co dalej?", Pewne Wydawnictwo, Kielce 2020

Po lekturze najnowszego tomu wydaje się, że chciałby ich prowadzić pastersko, niemal duszpastersko – słychać to szczególnie w „Niech im świeci", montażu głosów niby tylko elegijnym, ale gdy uważniej się wczytać, drapieżnym jak przed stu z okładem laty „Moralność pani Dulskiej", ukazującym obłudę klasy średniej, zastygłej w kilku rytuałach. Nie jestem pewien, czy wszystkich tych zagubionych da się wyprowadzić z manowców tak łatwo, przy użyciu kilku opowiadań. Wiem natomiast na pewno, że nasze czasy, doświadczenia i rozczarowania początku XXI w. w Polsce znacznie trudniej byłoby opowiedzieć, nie sięgając po cytaty z opowiadań Wojciecha Kudyby.

eprasa.pl c9dabefecc

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Milicyjny koszmar

Jestem wdzięczny TVP Historia za piątkowy cykl starych Teatrów Telewizji inspirowanych właśnie historią. Powracają do nas prawdziwe perełki, a Mikołaj Mirowski jest świetny jako zapowiadacz tych spektakli (zwykle z gościem), bo łączy w sobie zalety wnikliwego historyka i namiętnego recenzenta.

„Listy z Rosji" Wawrzyńca Kostrzewskiego według markiza de Custine'a mogę oglądać w nieskończoność. Ale napisać chcę o „Wampirze" Wojciecha Tomczyka pokazanym tydzień wcześniej. Ten dramat wystawiony w roku 2004 jest mi doskonale znany – nawet z lektury. I za każdym razem jestem nim od nowa wstrząśnięty.

Może i dlatego, że w roku 1983 obejrzałem film „Anna i wampir" Janusza Kidawy. Choć byłem wtedy zaprzysięgłym wrogiem Polski Ludowej, ze wstydem przyznaję, że kupiłem milicyjną wersję historii złapania seryjnego mordercy Zdzisława Marchwickiego. Aresztowano go w roku 1972, stracono w roku 1977, to nazwisko docierało do ludzi w całej Polsce. Nie przychodziło mi wtedy do głowy, że można było skręcić śledztwo w sprawie zamordowania 14 kobiet. Film był sprawnie zrobiony. Kiedy od lat 90. zaczęto odkłamywać tamtą historię, nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia – było inaczej.

Maciej Pieprzyca nakręcił o tym w 2016 r. sugestywny obraz „Jestem mordercą". Z założeniem, że na początku śląska milicja mogła być zmylona pozorami winy Marchwickiego. Tyle że później z powodu presji przełożonych nie chciała się wycofać z błędu.

Tomczyk napisał to odmiennie. Przyjął założenie najstraszniejsze: milicja od początku miała świadomość, że mordercą był ktoś inny (ktoś, kto popełnił samobójstwo). „Sprawcę", a właściwie „sprawców" dobrano na zimno. Przeprowadzono wielką akcję fabrykowania dowodów i zastraszania świadków. Choć jeden z najlepszych polskich współczesnych dramatopisarzy sporo zmienił w tej historii (przesunął ją w czasie, żadna z ofiar nie była aktorką itd.), to on najbardziej zbliżył się do wielowątkowej natury tamtych zdarzeń. Pieprzyca pominął wątek współoskarżonego brata Marchwickiego. W sztuce jednym z istotnych tematów jest brutalny stosunek PRL do homoseksualistów (był nim właśnie ów brat), bo ten wątek odegrał sporą rolę w preparowaniu tej okrutnej operacji.

Jej okrucieństwo oblepia widza kleistą mazią, choć reżyser Maciej Dejczer zrobił wiele, żeby wzmocnić metaforyczną naturę niektórych scen. Mamy umowną przestrzeń udającą miasto i aktorów markujących zdarzenia. Sam odpowiednik Marchwickiego, grany przez Juliusza Warunka, pozostaje w cieniu. Ale już Szymon Kuśmider, jako jego brat, w pełni korzysta z okazji, żeby oddać przez kilka minut ludzką tragedię. Galeria milicjantów i urzędników, na czele z Tomaszem Dedkiem, jako głównym wykonawcą tej mistyfikacji, zapada nam w pamięć niczym korowód upiorów. Przejmujące są epizody Haliny Łabonarskiej, jako bileterki z teatru, czy – w innym sensie – Krzysztofa Wakulińskiego, jako pajacowatego profesora wysługującego się milicji. Prowadzi nas przez kolejne kręgi piekła Jan Frycz – postać fikcyjna, jak z antycznej tragedii.

Oglądamy świat straszny, w którym jednostka naprawdę była zerem i bzdurą wobec machiny, jak chciał Majakowski. Ale czy problem zniknął? Oto po raz pierwszy obejrzałem „Psy 3" Władysława Pasikowskiego. Nie mogę zrozumieć aury kiczowatego romantyzmu, jakim Pasikowski otacza dawnego esbeka. Ale zasadnicza historia, zabójstwa człowieka przez współczesnych policjantów, wywołuje poczucie bezsilności. Pomimo sztafażu filmu akcji. Złe pokusy pojawiają się w każdej policji na świecie. A recepta nie jest oczywista.

Piotr Zaremba

egrasa.pl/c/b/befecc

Jak bardzo fake newsy zagrażają naszej przyszłości

Dezinformacja niszczy świat

Omawiając zjawisko fake newsów, analitycy i komentatorzy często wskazują, że fałszywe treści są dla odbiorcy zagrożeniem. Tymczasem trudno spotkać osobę, która poproszona o wymienienie zjawisk, których się obawia, wskaże fake newsy czy manipulacje informacyjne. Czy jest się zatem czego obawiać? Czy fake newsy nam zagrażają, czy to tylko nieszkodliwe próby nieudolnej propagandy?

Bagatelizowanie zagrożenia, jakie stanowią fake newsy, prowadzi do narastania zjawiska ich wykorzystywania. Współczesny człowiek powinien sobie uświadomić, jaką potęgą jest w dzisiejszych czasach informacja, która dzięki narzędziom XXI w. jest w stanie obiec cały glob w kilka godzin. Informacja może wywołać zjawiska masowe takie jak napięcia społeczne, konflikty międzynarodowe czy przewroty polityczne. Odpowiednio sprofilowana, obliczona na wywołanie jak największego rezonansu fałszywa informacja ma gigantyczny potencjał rażenia. W mało której dziedzinie związanej z polityką dokonał się na przestrzeni ostatnich lat taki postęp jak na polu propagandy. Dziś jedynie uśmiech politowania mogą u nas budzić działania propagandowe dawnych reżimów totalitarnych, które produkowały siermiężne filmy czy audycje radiowe, których przekaz stał w tak jaskrawej sprzeczności z rzeczywistością, że często nie osiągał swoich celów. Dzisiejsze narzędzia – takie jak media społecznościowe, sposoby uwiarygodniania informacji czy też bezprecedensowa możliwość ukrycia źródła informacji – pozwalają na nieporównywalnie większą skuteczność.

Jeżeli ktoś lekceważy zagrożenie ze strony fake newsów, powinien odpowiedzieć sobie na pytanie, czy także zupełnie nie obawia się kradzieży swoich pieniędzy z konta przez oszustów internetowych. Zjawisko tworzenia fałszywych stron, identycznych jak te należące do banków, czy też fałszywych wiadomości wysyłanych z adresów, których na pierwszy rzut oka nie sposób odróżnić od bankowych, wyrządza co jakiś czas realne szkody i pociąga za sobą prawdziwe ludzkie dramaty.

FEJKI – ICH TWÓRCY CHCĄ TEŻ NASZYCH PIENIĘDZY

Dotychczas zidentyfikowano w zasadzie dwa główne cele tworzenie fejków. Mają one przynieść swoim twórcom korzyści polityczne bądź finansowe. W świecie polityki mamy do czynienia z coraz bardziej rozpowszechnionym zjawiskiem, jakim jest prowadzenie kampanii wokół fake newsów. Co ciekawe, paliwem politycznym nie jest już tylko rzeczywiste tworzenie fałszywych informacji, ale także oskarżanie politycznych oponentów o działania, których modus operandi ma się opierać właśnie na fejkach. Trzeba zatem naprawdę mocnego wyrobienia politycznego, sporej dozy sceptycyzmu i zaangażowania w docieraniu do źródeł danej informacji, by z całą pewnością stwierdzić, że nie jest się podatnym na tego typu falsyfikującą fakty działalność. ●

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Przegląd najświeższych fake newsów

Zmyślone życie, fałszywa śmierć

Zorganizowane działania aparatów państwowych, polityczne wojny i kariery – we wszystkich tych obszarach wykorzystywane są na szeroką skalę fake newsy. Niestety, ta broń jest coraz skuteczniejsza, o czym przekonuje skrótowy przegląd najgłośniejszych tego typu przypadków zanotowanych w ostatnich miesiącach w Polsce i na świecie

Fake news? Ta historia to prawdziwy „fake life"! Hilaria Baldwin (pierwsza z lewej na fot.), żona znanego z mocno lewicowych poglądów aktora Aleca, przez lata udawała, że jest przedstawicielką mniejszości narodowej. Kobieta przekonywała wszystkich (a jej mąż to potwierdzał), że urodziła się na Majorce. By wzmocnić narrację, Hilaria Baldwin mówiła z wyraźnym hiszpańskim akcentem, z zapałem broniąc praw mniejszości jako jedna z jej rzekomych przedstawicielek. Współgrało to z politycznym przekazem kreowanym przez Aleca Baldwina – jednego z największych krytyków Donalda Trumpa i amerykańskiej prawicy.

POLITYCZNA MASKARADA

Po wielu latach maskarady do sieci wypłynęło jednak nagranie, na którym wyraźnie słychać, że Hilaria mówi płynną angielszczyzną, bez żadnego akcentu czy błędów. Media poszły tym tropem, docierając do znajomych 36-latki. Szybko wyszło na jaw, że kobieta urodziła się w Bostonie, a wychowała w niewielkiej miejscowości w stanie Massachusetts.

Ta historia jest zabawna tylko z pozoru. Warto bowiem pamiętać to, co zrobiła ze swoją biografią Elizabeth Warren, jedna z przedstawicielek lewicowego, progresywnego skrzydła Partii Demokratycznej. Określała się ona jako Indianka (czy raczej: rdzenna mieszkanka Ameryki), choć trudno było wśród jej przodków dopatrzyć się kogokolwiek o tubylczym pochodzeniu. Narrację o rzekomym pokrewieństwie z prześladowaną mniejszością Warren wykorzystywała w działaniach politycznych, budując na tym spory kapitał. Na dowód pokazała nawet test DNA, mający rzekomo potwierdzać, że jednym z odległych przodków kongresmenki był Indianin. Po kilku dziennikarskich śledztwach i gwałtownie okazywanym oburzeniu samych Indian Warren odwołała swoją opowieść i przeprosiła.

„Pani Warren nie jest osobą kolorową ani członkiem plemienia" – ogłosił sztab ówczesnej kandydatki na urząd prezydenta USA.

Fot. Ron Adar/Shutterstock.com, Bakhur Nick/Shutterstock.com, Damian Pankowiec/Shutterstock.com, Shutterstock x2

eprasa.pl c9dabefecc

„ZABÓJCZA SZCZEPIONKA"

Fejkowe może być nie tylko życie, lecz i (zwłaszcza) czyjaś śmierć. Świat co rusz obiegają fałszywe wieści o odejściu jakiejś gwiazdy albo polityka. Część tych publikacji to głupie żarty internautów, inne są nadgorliwością redaktorów portali goniących za statystykami klikalności. Są jednak materiały będące elementem przemyślanej kampanii dezinformacyjnej. Tak prawdopodobnie było w przypadku wiadomości o rzekomej śmierci pielęgniarki, którą przed kamerami zaszczepiono na COVID-19. Kobieta – co widzieli telewidzowie – zemdlała tuż po wykonaniu zastrzyku. Zaledwie kilka godzin później w wielu różnych źródłach na całym świecie, w tym w niszowych portalach zarządzanych z terytorium Polski, pojawił się dramatyczny news: pielęgniarka nie żyje, stała „ofiarą szczepionki". Ilustracją były reprodukcje pochodzących jakoby z amerykańskiej prasy nekrologów, w których kobietę żegnała rodzina.

Oczywiście była to nieprawda. Pielęgniarka żyje, nie ma żadnych objawów COVID-19, a jej omdlenie było wynikiem rzadkiej choroby objawiającej się omdleniami na skutek bólu. Jak podkreślają przedstawiciele polskich i NATO-wskich służb specjalnych, akcje mające na celu deprecjonowanie skuteczności szczepień lub podważanie zaufania do państwa w kontekście walki z pandemią są dzisiaj specjalnością Rosji. Na szeroką skalę mają być prowadzone głównie w Europie i Ameryce Południowej.

ZDYSKREDYTOWAĆ ŻOŁNIERZY...

Z pandemią związany jest także masowo powielany w Polsce fake news, jakoby żołnierze Wojska Polskiego wysłani do Anglii z pomocą dla polskich kierowców ciężarówek i towarzyszący im dziennikarze TVP „złamali brytyjskie prawo", nie zakładając maseczek na świeżym powietrzu.

„Kamera TVP uwieczniła łamanie brytyjskiego prawa przez korespondenta publicznej telewizji i majora Wojska Polskiego" – można było przeczytać w serwisie internetowym „Gazety Wyborczej". Ilustracją był kadr z relacji TVP. Rzekoma informacja okazała się fake newsem. O ile w Polsce i części innych państw europejskich noszenie maseczek na zewnątrz jest obowiązkowe, o tyle w Wielkiej Brytanii taki przepis wówczas nie obowiązywał. Można jednak z całą pewnością założyć, iż spora część opinii publicznej do dzisiaj jest przekonana, że żołnierze (których akcję chwaliła cała Europa) lekceważyli prawo.

...I POLICJANTÓW

Służby państwa polskiego były celem zmasowanej dezinformacji opartej na kolejnej fałszywce. Na opozycyjnych kontach w mediach społecznościowych pojawiła się „informacja", jakoby podczas jednej z proaborcyjnych demonstracji „policja zatrzymała samochód, spisała kierowcę, wlepiła mandat za gwiazdki na karoserii". Gwiazdki oczywiście komunikowały hasło: „Jeb... PiS", a news zilustrowany był zdjęciem policjantów rzeczywiście spisujących numery rejestracyjne samochodu z „przyozdobioną" w ten sposób maską. Materiał natychmiast powieliły tysiące internautów, a rzecz skomentowali czołowi politycy opozycji, z wicemarszałek Sejmu Małgorzatą Kidawą-Błońską na czele – co w naturalny sposób jeszcze zwiększyło zasięg i dotarcie rzekomej sensacji.

Rzekomej, bo – co wykazali dziennikarze związanego z TVN serwisu Konkret24 – mandat wystawiony mężczyźnie nie miał żadnego związku z wulgarnym hasłem wymalowanym na jego aucie. Kierowca został ukarany za niedostosowanie się do sygnałów świetlnych i dźwiękowych. W rozmowie z dziennikarzami przyznał, że nie miało to nic wspólnego z jego poglądami i napisem na samochodzie. Pikanterii sprawie dodaje to, że autorką fake newsa zdementowanego przez portal grupy TVN jest ekspertka bardzo często goszcząca w tej stacji. Specjalizuje się rzekomo w... analizowaniu fake newsów i manipulacji w internecie.

HAKERZY NA KONCIE

Na krótkotrwały, ale dotkliwy polityczne efekt zaplanowana była także akcja podjęta niedawno wobec minister rodziny i polityki społecznej Marleny Maląg. Na jej oficjalne konto facebookowe włamali się hakerzy, zamieszczając tam obraźliwy, wulgarny wpis.

„Jako kobieta, jako matka nigdy nie zrozumiem ani nie poprę protestujących. Wulgarne i chamskie zachowanie nie zdobi kobiet, przypominają mi watahy Papuasów i bezmózgich dzikusów zdolnych jedynie do bicia i bezrozumnego uprawiania seksu. Niektórym w ogóle strach dać zapałki do ręki. Dla wszystkich bluzgających pseudo kobiet należy stworzyć specjalne rezerwaty, w których będą wykorzystane jako inkubatory" – głosił komunikat na FB.

Minister Maląg natychmiast wydała oświadczenie, w którym poinformowała o braku kontroli nad kontem. Każdy średnio zorientowany użytkownik internetu powinien też co najmniej się zastanowić nad autentycznością i rzeczywistym autorstwem kuriozalnego przecież wpisu. Nic z tego. Spreparowaną wiadomość rozpowszechniało przez co najmniej kilka godzin wielu internetowych „liderów opinii" i polityków opozycji. Swoje dołożyli dziennikarze, których rola teoretycznie powinna polegać na weryfikacji informacji i dementowaniu fake newsów.

„Nie, to nie jest fejk. To po prostu czysto rasistowski wpis na oficjalnym profilu pani minister, można się rozejść" – napisał na Twitterze Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny portalu Onet.pl. Z technicznego punktu widzenia jego wypowiedź zawierała prawdziwą informację – wpis rzeczywiście pojawił się na oficjalnym profilu Marleny Maląg. Pomijając jednak kontekst (a więc fakt, że konto zostało przejęte, a pani minister oficjalnie o tym poinformowała), redaktor nie przyczynił się do oczyszczania przestrzeni publicznej z kłamstw. Według wielu – wręcz przeciwnie. ●

eprasa.pl c9dabefecc

O dezinformacji, czyli jak kłamstwo stało się bronią

Zjawisko celowego, konsekwentnego przekazywania i fabrykowania fałszywych informacji jest znane człowiekowi od setek, może nawet tysięcy lat. Pierwsze opisy działań, które dziś nazwalibyśmy dezinformacją (choć obecnie rozpowszechniła się forma „fake news"), znajdujemy u autorów tworzących starożytne podręczniki sztuki wojennej. Nieprzypadkowo jednak współczesne pojęcie i próba profesjonalizacji dezinformacji ma genezę rosyjską. Spróbujmy w wielkim skrócie przeanalizować, kto wymyślił i rozwinął tę potężną współczesną broń, jaką stała się dezinformacja. Czy mamy szansę się przed nią obronić?

Zaznaczmy na wstępie, że próba dokładnego opisania samej choćby genezy zjawiska dezinformacji wymagałaby napisania książki. Konieczne jest zwracanie uwagi na ten problem i uwrażliwienie naszych czytelników na zjawisko, które dotyczy także ich samych, bo przecież wszyscy jesteśmy dziś poddawani technikom dezinformacyjnym na wielu różnych płaszczyznach.

CZY JESTEŚMY W GRUPIE RYZYKA?

Jak wiemy z badań prowadzonych przez NASK, ponad połowa internautów w Polsce w ciągu ostatnich miesięcy korzystania z sieci zetknęła się z manipulacją albo dezinformacją. Według danych NASK, aż 35 proc. Polaków ze sfałszowanymi informacjami w sieci spotyka się raz w tygodniu lub częściej. Jednocześnie co piąty polski internauta mówi wprost, że nie sprawdza wiarygodności internetowych informacji ani ich źródeł.

Cyfrowa rewolucja i świat bazujący na szybkim dostępie do informacji, w połączeniu z rozwojem sieci internetowych, mediów społecznościowych i łatwością dostępu do nowoczesnych technologii, sprawił, że zagrożenie dezinformacją w ogromnym stopniu wzrosło. Dziś dotyczy każdego z czytających te słowa.

Fałszywe informacje rozprzestrzeniają się obecnie na skalę w przeszłości nieosiągalną, a ich zasięg może wpływać na funkcjonowanie wielu grup społecznych, często nawet całego państwa. Tym samym dezinformacja i próba przeciwdziałania tejże stały się wyzwaniem nie tylko dla nas, lecz także dla wyspecjalizowanych służb, które muszą na starcie swojego działania odróżnić fake newsy od dezinformacji i propagandy.

Kiedy możemy mówić, że mamy do czynienia z dezinformacją? Gdy rozpowszechniane informacje:

- są całkowicie lub częściowo fałszywe, zmanipulowane lub wprowadzające w błąd;
- dotyczą kwestii ważnej z punktu widzenia interesu publicznego;
- mają wywołać niepewność lub wrogość, doprowadzić do polaryzacji albo zakłócenia procesów demokratycznych;
- są rozpowszechniane lub wzmacniane za pomocą zautomatyzowanych i agresywnych technik, takich jak boty społeczne, sztuczna inteligencja (AI), mikrotargeting lub trollowanie.

Musimy też podkreślić, że celem działań dezinformacyjnych jest destabilizacja sytuacji w danym państwie i destrukcyjny wpływ na jego struktury administracyjne. Często do tego celu podważa się i kwestionuje wybrane postawy kulturowe i społeczne.

Według raportu „Freedom on the Net 2017: Manipulating Social Media to Undermine Democracy", przygotowanego przez Freedom House, współcześnie wiele wywiadów państw wykorzystuje media społecznościowe do działań dezinformacyjnych, zarówno

eprasa.pl c9dabefecc

Fot. Shutterstock

w wymiarze kształtowania własnej, wewnętrznej polityki, jak i do wpływania na opinię publiczną w innych państwach.

Zjawisko stało się problemem globalnym, a próby przeciwdziałania dezinformacji stały się wyzwaniem, które podejmowane jest już nie tylko przez poszczególne państwa, lecz także przez instytucje i organizacje międzynarodowe.

Działania polegające na walce z dezinformacją podejmuje Rada Europejska. Powstało kilkanaście zespołów, które zajmują się analizowaniem i przeciwdziałaniem dezinformacji w Unii Europejskiej oraz krajach sąsiadujących ze wspólnotą.

GENEZA POJĘCIA „DEZINFORMACJA"

Myliłby się ten, kto chciałby uznać, że dezinformacja jest wymysłem czasów nam współczesnych. Działanie polegające na celowym oszukiwaniu przeciwników znane było już w czasach starożytnych.

Liczne przykłady wykorzystania dezinformacji jako broni zostały opisane przez antycznego kompilatora Poliajnosa w dziele „Podstępy wojenne" (Strategemata). Autor w ośmiu księgach prezentuje zbiór opowieści dokumentujących przytomność umysłu, przebiegłość i inteligencję wybitnych wodzów i polityków starożytności.

Poliajnos, opierając się na pracach wcześniejszych historyków, zgromadził w swoim dziele blisko 900 przykładów podstępów i forteli różnych ludów, skutecznie zastosowanych podczas działań militarnych. Wiele z nich można byłoby uznać za wzorcowe przykłady działań dezinformujących.

Dla przykładu, zacytujmy jeden z opisów bitwy:

„W bitwie z Kartagińczykami Syrakuzanie stali na prawym, a Italioci na lewym skrzydle. Dafnajos, usłyszawszy ogromną wrzawę z lewej strony, pośpieszył tam i spostrzegł, że Italioci znaleźli się w ciężkiej sytuacji i ustępują pola. Wrócił więc na prawe skrzydło i przekazał Syrakuzanom dobrą nowinę, jakoby Italioci uzyskali już przewagę na lewym: bitwa rozwija się pomyślnie i lewe skrzydło dało już dowody męstwa. Syrakuzanie, przekonani, że ich wódz mówi prawdę, zakrzyknęli: »Dalej na wroga z mężnym sercem!« i gwałtownym natarciem zmusili nieprzyjaciela do odwrotu".

Formalnie przyjmuje się, że posługiwanie się terminem „dezinformacja" rozpoczęto w 1923 r., kiedy Józef Unszlicht, wówczas wiceszef GPU (Państwowej Policji Politycznej, która była pierwowzorem KGB), wskazał potrzebę założenia ***„specjalnego biura dezinformacyjnego do prowadzenia aktywnych operacji wywiadowczych".***

W naszym rodzimym piśmiennictwie naukowym pojęcie „dezinformacji" pojawiło się w 1929 r. Ówczesna „Instrukcja Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego" wyjaśniała, że dezinformacja polega na „podaniu wywiadowi przeciwnika wiadomości **ukrywających własne zamierzenia oraz na zmuszaniu go do traktowania informacji podanej przez wywiad własny jako prawdziwej, względnie zmuszaniu wywiadu obcego do analizy inspirowanych wiadomości przez czas dłuższy"**.

Jak słusznie zauważył Mikołaj Wachowicz z Wydziału Bezpieczeństwa Narodowej Akademii Sztuki Wojennej, pierwsza polska definicja pojęcia „dezinformacji" nawiązywała do dzieła Sekstusa Frontyna. Rzymski teoretyk wojskowości i inżynier z I w. jako wstępne zagadnienie w swym dziele o wojskowości („De re militari") rozpatrywał właśnie „ukrywanie zamiarów".

Właściwe rozpoznawanie tych zamiarów, prawidłowa ich klasyfikacja, a na końcu także odkłamywanie (poprzez sięganie do źródeł) to zadania szczególnie istotne w kontekście nowych zagrożeń, z którymi wszyscy się zmagamy. Jednocześnie pamiętajmy, że koronawirus i pandemia nie sprawiły, że mniej groźne stały się zjawiska takie jak np. islamski terroryzm czy rosyjski neoimperializm.

Walka z dezinformacją w tym kontekście jest bardzo często walką o przetrwanie i życie.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Dzięki zaprezentowanemu tu opisowi widzimy, że poza destruktywnym (nieświadomym lub świadomym) dezinformowaniem przeciwnika przez wyspecjalizowane jednostki (lub zdrajców) mamy przykłady działania konstruktywnego, które ma na celu podniesienie morale lub wprowadzenie własnego planu, który oparty jest na wprowadzaniu w błąd podwładnych.

Dziś bardzo podobne zadanie pełni w dużym stopniu dezinformacja polityczna, którą prowadzą wewnętrzne i zewnętrzne sfery państwa przez centralne organy kierownictwa państwa. Oczywiście celem takiego działania jest kształtowanie określonych zachowań i opinii w danej grupie społecznej.

Dodajmy też, że choć wojna Syrakuz z Kartaginą toczyła się w VI w. p.n.e., to techniki opisane przez Poliajnosa nie straciły na atrakcyjności. Nie były też (i dalej nie są) lokalną specyfiką basenu Morza Śródziemnego. Dzieło rzymskiego retora i adwokata pochodzenia greckiego powstało na zamówienie Marka Aureliusza i Lucjusza Werusa z okazji wojny z Partami, ale pomysły, które opisuje Poliajnos, znaleźć można także u Sun Tzu, jednego z największych starożytnych myślicieli Dalekiego Wschodu. Autor najstarszego na świecie podręcznika sztuki wojennej tworzył go niezależnie od myślicieli rzymskich i greckich.

Opisane techniki udoskonalano przez setki lat pod różnymi szerokościami geograficznymi. Współczesny wymiar pojęcia zawdzięczamy Rosji, bo słowo dezinformacja (ros. дезинформация) zostało stworzone w języku rosyjskim w połowie XIX w. w Imperium Rosyjskim, poprzez dodanie przedrostka „dez" (ros. дез), oznaczającego zaprzeczenie, do znanego w Rosji od czasów Piotra I słowa informacja (ros. информация).

Nowe słowo było potrzebne, aby sformalizować stosowaną przez Rosjan praktykę wprowadzania przeciwników w błąd. Taktyczne i strategiczne cele wynikające z dezinformowania przynosiły wymierne korzyści wizerunkowe, polityczne, ale także finansowe i militarne. ●

JAK SZYBKO ZDEMASKOWAĆ PRÓBĘ DEZINFORMACJI

Cechy fejka

- Sensacyjny tytuł, który po analizie tekstu nie ma uzasadnienia w faktach. „Wygrałeś smartfona! Gratulujemy" – to tytuł, a w treści czytasz, że musisz zapłacić 2 zł z karty kredytowej i podać swoje dane.
- Autor wiadomości jest nieczytelny. W przypadku próby wyłudzenia raczej nie dopatrzymy się nazwy podmiotu, który chce nam podarować np. smartfona. Jeśli nazwa podmiotu występuje, sprawdźmy go, a także opinie o nim. Dziś można sprawdzać w internecie także numery telefonów, których nie znamy, a z których dzwonią telemarketerzy.
- Poszukajmy, czy treść, z jaką mamy do czynienia, nie była wcześniej rozpowszechniona. Być może już ktoś przed nami zdemaskował oszustwo.

WAŻNE – wszystkie te kroki podejmijmy przed dokonaniem jakiejkolwiek operacji angażującej nasze wrażliwe dane.

Jak nie paść ofiarą próby wyłudzenia danych? Częstym celem dezinformacji jest właśnie próba zdobycia wrażliwych danych, by okraść nas z pieniędzy.

1. Logując się do banku lub robiąc zakupy, nie korzystaj z publicznych sieci internetowych, dostępnych bez kodów zabezpieczających. Do przelewów i zakupów używaj swojego komputera lub smartfona.
2. Nigdy nie podawaj nikomu loginów ani haseł do bankowości elektronicznej. Żaden bank nigdy o to nie poprosi. Nie otwieraj linków w wiadomościach pochodzących rzekomo z banku. Wcześniej potwierdź, czy bank rzeczywiście kierował do ciebie jakąkolwiek korespondencję.
3. Pamiętaj, że każda strona banku i sklepu, przez którą dokonujesz płatności, powinna mieć w polu adresowym rysunek zamkniętej kłódki, a następnie prefiks https. Tylko takie strony są zaszyfrowane, czyli odpowiednio zabezpieczone.

Fałszywe informacje o pozornej korzyści

1. Fejki to nie tylko fałszywe informacje ze świata polityki, oszuści tworzą je także, aby wyłudzić dane i pieniądze.
2. Przede wszystkim zweryfikuj zgodność tytułu z treścią. Jeśli dostałeś informację, że coś wygrałeś, to dlaczego chcą, byś jeszcze za to płacił? A jeśli nie grałeś świadomie w żadnym konkursie, to z pewnością nic nie wygrałeś, a jesteś obiektem próby wyłudzenia danych.
3. Zawsze spróbuj zweryfikować podmiot – autora informacji. Jeśli ktoś ma dla ciebie superofertę, powinien się wyraźnie i jasno podpisać. Weryfikuj autora i sprawdzaj, czy ktoś już wcześniej nie rozpoznał oszustwa, analizując treść.

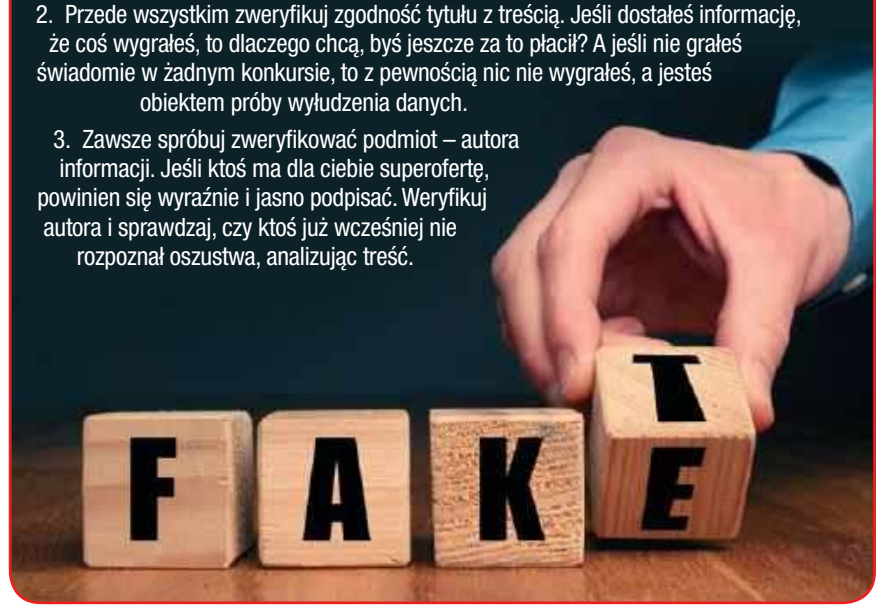

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Pokolenie płatków śniegu

Oburzone ofiary pragną fake newsów

Jest wiele przyczyn, które odpowiadają za to, że na świecie upowszechnia się stosowanie fake newsów w akcjach propagandowych, w operacjach dyskredytujących rywali politycznych czy też po prostu w nieuczciwych praktykach firm działających w obszarze public relations. Jedną z często pomijanych przyczyn jest zasada popytu i podaży. Niestety, żyjemy w czasach, w których fake news ze swoją częstokroć odrealnioną treścią jest po prostu chodliwym towarem

Kto jest zatem odbiorcą, a kto jest tzw. targetem twórców fake newsów? Na kim robią one największe wrażenie i kto odpowiada za to, że są tak chętnie kolportowane?

Fot. Shutterstock

KOCHAJĄ TYLKO SIEBIE

Łatwo dostrzec, że fejki robią największą furorę wśród tzw. pokolenia płatków śniegu. W ten sposób coraz większa liczba psychologów określa osoby wychowane w poczuciu własnej wyjątkowości – stąd określenie „pokolenie płatków śniegu", bo – jak wiadomo – każda śnieżynka jest niepowtarzalna. Osoby takie w ujęciu bardziej tradycyjnym nazwalibyśmy po prostu rozpuszczonymi, rozpieszczonymi przez opiekunów i tzw. bezstresowe wychowanie jednostkami, przekonanymi o własnej nieomylności, o wykrzywionej empatii i nieumiejącymi wziąć odpowiedzialności za własne życie. Osoby te w zetknięciu z wymogami, jakie stawia świat ludziom dorosłym, bardzo chętnie przyjmują rolę ofiar czy też osób permanentnie wszystkim oburzonych. To właśnie te osoby z lubością wyszukują i zaczytują się we wszelkich informacjach, które etykietują, dyskredytują czy po prostu obrażają innych ludzi. To właśnie wśród przedstawicieli pokolenia płatków śniegu jest najwięcej odbiorców fake newsów, to oni odpowiadają też najczęściej za to, że treści te rozchodzą się błyskawicznie po sieci internetowej. „Śnieżynki" nie potrafią podjąć rzeczowej, opartej na klasycznych argumentach dyskusji. Nie umieją argumentować swoich racji, a wszelkie zdanie przeciwne ich własnemu traktują od razu jako nienawiść czy niemalże fizyczny zamach na ich prawa. Dla takich osób odpowiednio sprofilowana informacja staje się błyskawiczną pożywką dla ich źle ukształtowanego charakteru. A ponieważ dyskusja z tymi osobami nie jest możliwa, to również zdemaskowanie czy też „odkręcenie" fake newsa w ich przypadku jest najtrudniejsze.

PIORUNUJĄCA SIŁA FEJKÓW

Licznych przedstawicieli pokolenia płatków śniegu mogliśmy oglądać na polskich ulicach podczas protestów po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, który zakwestionował legalność przesłanki eugenicznej w tzw. prawie aborcyjnym. Wiele młodych osób, które wyszły wówczas na polskie ulice, nie miało pojęcia, przeciwko czemu i w jakiej sprawie tak naprawdę protestują, co udowadniali twórcy filmów internetowych, próbując robić wywiady z uczestnikami. Wystarczyło poczucie „oburzenia" i przyjęcie roli ofiary, w tym przypadku ofiary rzekomo opresyjnego państwa, by głośno wykrzykiwać wulgaryzmy, dewastować przestrzeń publiczną i utrudniać życie mieszkańcom miast. Przy okazji rozmów z uczestnikami okazywało się, jak bardzo środowisko uczestników tych protestów jest dotknięte dezinformacją. Jedna z protestujących młodych kobiet starała się np. przekonać swojego rozmówcę, że rząd forsuje prawo, które będzie penalizować... poronienie z naturalnych przyczyn. Tak właśnie wpływają fake newsy na młodych ludzi. ●

eprasa.pl c9dabefecc

Zwiększ czujność, jeśli zaczynają buzować emocje

Słowem, które powinno stale towarzyszyć kwestii omawiania fake newsów, jest manipulacja. Fejki powstają bowiem w określonym celu, można z pewnością założyć, że niewiele osób, które rozsiewają fałszywe wiadomości, tworzy je jedynie z perwersyjnej przyjemności okłamywania innych bez żadnych dodatkowych korzyści. Większość fejków ma na celu zmanipulowanie odbiorcy poprzez wywołanie w nim określonej reakcji, której początkiem jest zazwyczaj emocjonalny wybuch, najczęściej oburzenia

Tworzenie fake newsów to nie tylko podawanie niezgodnych z prawdą treści, lecz często także odpowiednie rozkładanie akcentów, które sprawiają, że podmiot informacji, oparty na prawdzie, jest okraszony zestawem fałszywych i mających na celu manipulację percepcją odbiorcy komunikatów. Przykład? Ileż to razy słyszeliśmy „bulwersujące" doniesienia o tym, że oto jakiś prezes ważnej instytucji zatrudnił w niej swojego znajomego czy kolegę. O ile sam fakt zatrudnienia jest niekwestionowalny, o tyle sytuację tę można przecież naprawdę różnie interpretować. Czy jednak napisany w tonie oburzenia na rzekome kumoterstwo tekst skłoni nas do refleksji, że może ów prezes musi się otoczyć współpracownikami, do których ma pełne zaufanie, że może ów zatrudniony ma absolutnie wystarczające kwalifikacje, by objąć zaoferowane stanowisko, że być może jego zatrudnienie przyczyni się do dużo lepszego funkcjonowania instytucji, także dzięki świetnej współpracy z prezesem. Aby podobne refleksje jednak nie przyszły odbiorcy na myśl, dba właśnie odpowiednie profilowanie podanej informacji, która ma na celu wywołanie wspomnianego oburzenia. Tego rodzaju manipulacja jest dużo trudniejszym do obalenia fake newsem niż jego klasyczna postać, oparta od początku do końca na fałszu. W omawianym przypadku dementowania wymaga bowiem tak trudna w interpretacji i ocenie kwestia motywacji i prawdziwych intencji opisywanego prezesa. Nie będzie on w stanie zaprzeczyć faktowi zatrudnienia znajomego, a dowiedzenie, że działał on w jak najlepszej wierze, będzie bardzo trudne, a w przypadku zmasowanego ataku medialnego przy użyciu najbardziej popularnych kanałów przekazu będzie w zasadzie niemożliwe. I na nic zdaje się w tym przypadku zasada, że tak naprawdę udowodnienie działania w złej wierze powinno spoczywać na oskarżycielu, czyli w tym przypadku na twórcy informacji. To on, jeśli nie chciałby zostać uznany za twórcę fake newsa, powinien dowieść, że zatrudnienie znajomego nie miało uzasadnienia merytorycznego. Niestety, twórcy informacji wcale nie podejmują takich prób, tworząc swoje materiały pod określone tezy, które mają wyzwolić w odbiorcy natychmiastową reakcję emocjonalną.

Trudno się także spodziewać, by coś w tej materii miało się zmienić w najbliższym czasie. Nadal będziemy codziennie zalewani tysiącami informacji, które nie będą starały się rozwinąć nas intelektualnie poprzez obiektywne i wyważone próby zapoznawania nas z faktami, ale będą nas atakować z całą mocą emocjonalnego przekazu.

Jedyna nadzieja na ograniczanie tego zjawiska tkwi w nas – odbiorcach. Im bardziej świadomie, krytycznie i na chłodno będziemy korzystać ze źródeł informacji, im bardziej analitycznie będziemy filtrować podawane tam treści, tym większa szansa, że świadomi manipulatorzy i twórcy fake newsów nie osiągną swoich celów. Na początek postarajmy się być wyjątkowo uważni wobec treści, które sprawiają, że błyskawicznie się bulwersujemy. Wyćwiczmy w sobie taki odruch, by wyjątkowo wnikliwie zbadać temat, który podano nam w formie wywołującej natychmiastowe emocje. ●

Gdy uda nam się opanować pierwsze oburzenie, podejmijmy próbę solidnej weryfikacji dostarczonej wiadomości, poszukajmy tłumaczeń i wyjaśnień osób, które w duchu zdążyliśmy już napiętnować. Może się szybko okazać, że dzięki takiej świadomej reakcji nie staniemy się ofiarą manipulacji, a jej twórca nie zrealizuje swojego celu i nie stanie się władcą naszych odruchów. Jeśli chcemy być prawdziwie wolnymi i swobodnie myślącymi ludźmi, powinniśmy zadać sobie ten trud.

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 33/0121/F

STOWARZYSZENIE AKADEMIA SPORTU Artura Siódmiaka

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

eprasa.pl c9dabefecc

Czy nowy inspektor uzdrowi rynek apteczny?

W minionym tygodniu ze stanowiskiem Głównego Inspektora Farmaceutycznego pożegnał się Paweł Piotrowski, który piastował je przez dwa i pół roku. Do 25 stycznia trwa nabór kandydatów na nowego szefa inspekcji farmaceutycznej

Misją urzędu jest zapewnienie bezpieczeństwa pacjentom poprzez sprawowanie nadzoru i kontroli nad wytwarzaniem produktów leczniczych i obrotem nimi. Poprzednik Piotrowskiego został zatrzymany przez CBA pod zarzutem, że jako urzędnik wspierał działania mafii lekowej. Stanowisko GIF można więc obiektywnie uznać za pełne pułapek, ale jego rola w branży jest dalej bardzo silna.

Od czasu wprowadzenia nowelizacji Prawa farmaceutycznego w 2017 r. rola Głównego Inspektora Farmaceutycznego systematycznie rosła, podobnie jak umacniały się uprawnienia wojewódzkich inspektoratów. Dzisiaj GIF i WIF-y decydują, kto może być kierownikiem apteki, mają też możliwość zamknięcia apteki na podstawie własnej, subiektywnej, oceny, a ich decyzje podważyć może jedynie sąd administracyjny.

Inspektoraty farmaceutyczne mają uprawnienia umożliwiające nadzorowanie nie tylko przestrzegania wymogów jakościowych w prowadzeniu aptek, lecz również decydowanie o własności na rynku aptek, tj. interpretacji i wydawania decyzji w zakresie zezwoleń na prowadzenie aptek czy cofania tych zezwoleń. Jest to absolutny wyjątek na tle innych branż i rynków, gdyż te zagadnienia reguluje najczęściej UOKiK, a takie działania inspektoratów, zdaniem przedsiębiorców, mogą być bardzo groźne i rodzić wiele wątpliwości. Co więcej, decyzje WIF podlegają odwołaniu do GIF, ale decyzje GIF są prawomocne, natychmiast wymagalne i podlegają długotrwałej procedurze odwoławczej w sądach administracyjnych, która może ciągnąć się latami.

Główny Inspektor Farmaceutyczny ma więc olbrzymią władzę nad całym rynkiem aptecznym. Zatem warto się zastanowić, kto powinien zająć to stanowisko. Według wytycznych Ministerstwa Zdrowia kandydat powinien mieć tytuł zawodowy magistra farmacji, polskie obywatelstwo, korzystać z pełni praw publicznych, nie być skazanym prawomocnym wyrokiem za umyślne przestępstwo, w tym umyślne przestępstwo skarbowe. Dodatkowo powinien mieć kompetencje kierownicze i co najmniej sześcioletni staż pracy, w tym co najmniej trzyletni staż pracy na stanowisku kierowniczym oraz wiedzę z zakresu spraw należących do właściwości Głównego Inspektora Farmaceutycznego. Kandydat powinien również złożyć oświadczenie o braku konfliktu interesów.

W tym miejscu warto się jednak zastanowić, czy dla branży aptecznej nie byłoby „zdrowsze", gdyby o to stanowisko mógł się ubiegać np. lekarz, prawnik lub ekonomista, osoba spoza środowiska aptekarskiego, która nie będzie ulegała naciskom izb aptekarskich? Rynek apteczny, który jest zarządzany i kontrolowany wyłącznie przez farmaceutów, może być dysfunkcyjny, gdyż trudno będzie odeprzeć zarzuty, że kreuje się na nim i wzmacnia protekcjonizm wobec członków środowiska izb farmaceutycznych. Przydałyby się również przepisy wyjaśniające, na czym ma polegać konflikt interesów, wymagające np. ujawnienia przez członków władz izb aptekarskich rozliczeń z uczestnikami rynku: producentami leków, hurtowniami, aptekami – analogicznie do przepisów dotyczących korzyści majątkowych lekarzy. Dla podniesienia standardów transparentności konieczne byłoby również ujawnienie prowadzenia przez członków izb lub ich rodziny aptek konkurencyjnych. Ważne jest przecież, aby organ odwoławczy był całkowicie wolny od nacisków wszystkich uczestników rynku.

Celem powołania nowego inspektora powinna być też chęć eliminacji pozaprawnych elementów wpływu izb na postępowania dotyczące możliwości zajęcia stanowiska kierownika apteki. Analogicznie do innych zawodów zaufania publicznego, np. lekarzy, radców prawnych, adwokatów, rolą izby powinno być jedynie potwierdzenie posiadania uprawnień, a nie wydawanie uznaniowej „opinii" o kandydacie.

W końcu Ministerstwo Zdrowia powinno zadbać o to, by raz na zawsze przenieść rolę regulującego rynek w zakresie koncentracji do UOKiK, a także o to, aby organ ten zdiagnozował i monitorował zagrożenia dla konkurencji w dystrybucji farmaceutycznej wynikającej z oligopolizacji rynku hurtowego – wydaje się, że tylko w ten sposób Ministerstwo Zdrowia jest w stanie uzdrowić rynek apteczny.

BZ

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

Sousa za Brzęczka i co dalej

CEZARY KOWALSKI

Mamy nowego selekcjonera kadry narodowej. To on ma sprawić, że kibice znów zaczną wierzyć w reprezentację Polski, że na mistrzostwa Europy pojedziemy latem nie tylko w roli statystów, a wiosenne eliminacje mundialu z Węgrami i Anglią rozpoczniemy z przytupem. Potencjalny zbawca naszej ekipy nazywa się Paulo Sousa (na zdj.). Był świetnym zawodnikiem, ale do tej pory raczej przeciętnym trenerem

Kamil Glik, czyli drugi kapitan reprezentacji Polski, zaraz po niespodziewanym zwolnieniu Jerzego Brzęczka za pośrednictwem mediów społecznościowych podziękował byłemu selekcjonerowi za jego pracę. Wrzucił kilka wspólnych zdjęć i życzył powodzenia. Niby nic wielkiego, ot zwykła przyzwoitość, kurtuazja naturalna w takiej sytuacji, świadcząca po prostu o dobrych manierach, ale... jak się okazało, ten gest w skali całej reprezentacji okazał się unikatowy.

Na podobny zdobył się jeszcze Kamil Grosicki, choć jego pozycja w reprezentacji Brzęczka słabła. Reszta przeszła nad faktem zmiany trenera, z którym w czerwcu mieli jechać na swoją imprezę życia, obojętnie. Na koncie najlepszego piłkarza świata cisza, Grzegorz Krychowiak reklamuje garnitury, na profilu Krzysztofa Piątka, który u Brzęczka zaistniał w reprezentacji, owszem wiszą podziękowania, ale dla Milanu, z którego odszedł zeszłej zimy. Milczała też młodzież, która obiektywnie trenerowi zawdzięcza najwięcej, bo to on dawał im szansę debiutu w seniorskiej reprezentacji, a ta lista wcale nie była taka krótka: Jakub Moder, Sebastian Walukiewicz, Paweł Bochniewicz, Kamil Jóźwiak, Sebastian Szymański, Krystian Bielik, Przemysław Płacheta czy nieco starszy, ale forowany przez selekcjonera Arkadiusz Reca.

Czy można z takiej błahej na pozór sprawy wyciągać dalej idące wnioski? Przecież to nie ma wielkiego znaczenia, nic i tak by nie zmieniło, zmiany trenerów w zawodowym futbolu to właściwie codzienność, nie ma żadnego obowiązku publicznego odnoszenia się do czegokolwiek...

W moim odczuciu takie zachowanie ma jednak swoją wymowę. Po pierwsze, świadczy o braku kindersztuby pokaźnej grupy naszych reprezentantów („Każdemu trenerowi, z którym pracowałem dziękowałem za pracę, obojętnie, czy mieliśmy dobry kontakt, czy nie" – tłumaczył w swoim wpisie Glik, zdziwiony burzą, jaką wywołał), po drugie, o relacjach z byłym już trenerem, a po trzecie, o relacjach wewnątrz tej drużyny i jej kondycji mentalnej.

Co to za ekipa, w której na zwolnienie przywódcy jest w stanie zareagować słowem „dziękuję" ledwie dwóch graczy?! Gdzie jest ten słynny team spirit, atmosfera, dzięki której można nadrabiać niedoskonałości czysto piłkarskie?

Przykro to mówić, ale w sferze mentalnej ten zespół jest... letni. Owszem, zestaw graczy ciekawy, młodzież budzi nadzieję, a starsi jeszcze nie schodzą ze sceny, ale charakterologicznie na razie nie mamy ekipy zdolnej do rzeczy wielkich. Tutaj nikt za nikogo nie wskoczy w ogień. Istnieje wiele interesów i interesików, które powodują, że nie każdy zmierza w tym samym kierunku.

Dla umiejących czytać między wierszami ta drobna na pozór sprawa z podziękowaniami dla Brzęczka, a raczej ich brakiem, tylko to uwypukla. I pokazuje, że tej drużynie potrzebny jest szybki wstrząs nie tylko w postaci zmiany trenera. Od trenera, jak zwykle w takich sytuacjach, jednak się zaczęło.

Sousa, który jest autorskim pomysłem prezesa PZPN, został już przedstawiony, wcześniej prezes odpowiadał dziennikarzom, dlaczego zwolnił Jerzego Brzęczka. Okazało się, że dostrzegał w naszej ekipie marazm, był zdegustowany, widząc re-

Fot. NICOLAS TUCAT/AFP/East News

Reklama | 37/1220/F

eprasa.pl c9dabefecc

akcje zawodników po przegranych meczach, brakowało entuzjazmu po strzelonych golach. Takich choćby, jak kiedyś za czasów Nawałki, kiedy ogrywaliśmy Niemców. Przyznał zresztą, że nad reaktywowaniem Nawałki poważnie się zastanawiał. To oczywiście nijak się miało do tego, co mówił jeszcze jesienią, broniąc Brzęczka i przedłużając mu kontrakt, ale analizując grę reprezentacji na chłodno, dużo bliżej rzeczywistości był bez wątpienia tym razem.

Postawił na Sousę, bo po jego rozeznaniu w tzw. środowisku Portugalczyk ma opinię „top". W każdej materii. To podobno twardziel wiedzący, czego chce, umiejący to egzekwować. I profesjonalista. Kiedy się patrzy na jego trenerskie CV, wyróżniają go dwa mistrzostwa krajowe zdobyte w Izraelu i Szwajcarii, piąte i ósme miejsce z Fiorentiną we Włoszech. Pracował też na Węgrzech, w Chinach, czy we Francji w Bordeaux, był asystentem w reprezentacji Portugalii. Nieźle, ale czy to kogoś rzuca na kolona? Ot, przeciętny europejski szkoleniowiec z dużym piłkarskim nazwiskiem (dwa razy jako zawodnik wygrywał Puchar Europy i 53 razy zagrał w reprezentacji Portugalii).

Z jednej strony martwi, że w większości klubów pracował góra dwa lata (najczęściej rok), z drugiej wiele ciekawych miejsc pracy, w których dostawał oferty, dobrze o nim świadczy i pewnie jeszcze lepiej o agencie prowadzącym jego sprawy. Jest nim Hugo Cajuda (zjawił się zresztą wczoraj w Warszawie), który reprezentował w Polsce wielu zawodników i jednego trenera. Był nim Sa Pinto znany z Legii Warszawa, a jeśli chodzi o graczy, to przewijają się w jego stajni takie znane nazwiska jak Luquinhas, Orlando Sa, Rocha, Sadiku, Martins, Astiz, Agra, Medeiros, Quintana. Pośredniczył też w transferze Kuby Błaszczykowskiego z Dortmundu do Fiorentiny.

Jak wyjaśnił prezes PZPN, na trenera z piłkarskiego szczytu nie było szans, bo ci najlepsi nie są zainteresowani prowadzeniem reprezentacji narodowych, preferują najbogatsze kluby. Jest jednak nadzieja, że Sousa potraktuje Polskę i choćby możliwość pracy z najlepszym obecnie piłkarzem świata jako odskocznię do prawdziwej kariery. I tutaj rozwinie się razem z naszą kadrą.

Oprócz godnych pieniędzy (można szacować, że wraz ze sztabem współpracowników będzie kosztował PZPN ponad 2 mln euro rocznie) dostaje na tacy grę w finałach mistrzostw Europy. To jest kapitalna oferta. Żaden polski trener nigdy wcześniej takiej nie miał. Jakkolwiek by patrzeć, przygotował mu to, tak jak w sumie przyzwoicie już ułożoną drużynę, choć jeszcze nieoszlifowaną, Jerzy Brzęczek.

W pewnym sensie Sousa przychodzi na gotowe. Jeśli tego nie zepsuje, a dołoży od siebie odrobinę świeżego spojrzenia, ciekawy pomysł taktyczny i będzie potrafił „zbajerować" zawodników swoją światowością, jak kiedyś w pierwszym etapie swojej pracy Leo Beenhakker, będziemy mieli z Paula sporo pociechy.

Z drugiej strony, twardo stąpając po ziemi, istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że jeszcze zatęsknimy za panem Jerzym.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Polacy krok od podium na Dakarze

Dakar 2021 przeszedł do historii, a w niej zapisały się znakomite wyniki reprezentantów ORLEN Team. Czwarte miejsca Kuby Przygońskiego z Timo Gottschalkiem oraz Kamila Wiśniewskiego to największe sukcesy w całej historii ekipy jadącej pod banderą paliwowego giganta. Sportowcy pokonali 7,5 tys. km podzielonych na 12 etapów. Wprost z gorących piaskowych tras Arabii Saudyjskiej zawodnicy wracają na ośnieżone polskie drogi i z pewnością już zaczynają pracować nad tym, żeby za rok nie zabrakło ich w gronie faworytów

„Bardzo się cieszymy z czwartego miejsca w klasyfikacji generalnej. W tak mocnym gronie to zaszczyt" – podsumowywał rajd Kuba Przygoński, najlepszy polski kierowca terenowy. „Przed nami widzę samych zwycięzców Dakaru, za nami – podobnie. Tegoroczna trasa była bardzo wymagająca. Nie mieliśmy żadnych problemów z samochodem. Maszyna spisała się na medal. To było kluczowe w kontekście walki o wysokie lokaty". A nie była to byle jaka maszyna – 400-konna toyota hilux pozwoliła Przygońskiemu na wyrównanie swojego życiowego wyniku, bo przed dwoma laty również otarł się o podium, jadąc za kierownicą mini all-4 racing. Zawodnik został nagrodzony za godną podziwu systematyczność: tylko dwukrotnie Przygoński zajmował miejsca poza pierwszą dziesiątką, a czwartej pozycji w generalce bronił już od piątego etapu. Kierowca podkreślał, że wraz z pilotem Timo Gottschalkiem osiągnęli maksimum możliwości. Rzecz jasna polscy kibice liczą na to, że może być jeszcze lepiej – przecież Przygoński musi

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 1/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

dorównać Gottschalkowi, który dobrze zna smak triumfu w najtrudniejszym rajdzie świata: w 2011 r. pilotował ówczesnego triumfatora Nassera Al-Attiyaha. Tym razem Katarczyk musiał uznać wyższość Stephana Peterhansela, dla którego był to ósmy triumf w samochodzie. Mr Dakar nie dał rywalom najmniejszych szans i liderował wyścigowi już od drugiego etapu. Łącznie z wcześniejszymi zwycięstwami jako motocyklista Francuz wygrał Dakar po raz 14. i można śmiało powiedzieć, że zawłaszczył ten rajd dla siebie. Podium uzupełniła inna dakarowa legenda, Hiszpan Carlos Sainz, do którego ekipa ORLEN Team straciła ponad godzinę. Z kolei za Przygońskim uplasował się inny zawodnik z Półwyspu Iberyjskiego, Nani Roma. Sukces Polaka nie może przyćmić świetnego wyniku drugiej załogi ze stajni PKN ORLEN, czyli czeskiego duetu Martin Prokop i Viktor Chytka. Zawodnicy jadący fordem raptorem ustabilizowali formę w połowie rajdu, co pozwoliło im na zajęcie wysokiej, dziewiątej lokaty. Tym samym Prokop dopiął swego, bo przed rajdem zapowiadał, że jego celem jest ukończenie Dakaru w pierwszej dziesiątce.

Również na czwartej pozycji rajd ukończył Kamil Wiśniewski ścigający się quadem Yamahy. Kierowca po finiszu podkreślał trudy tegorocznej trasy: „Rajd w tym roku oceniam jako bardzo ciężki. Jeszcze nigdy w swojej sportowej karierze nie złapałem tylu kapci i nie połamałem tylu felg! Żeby wam to zobrazować, w poprzednich latach uszkadzałem średnio dwa koła i felgi podczas całego rajdu. W tym roku takie ilości szkód ponosiłem... dziennie!!! To tylko pokazuje, jak trudny był to teren do pokonania". Wiśniewski nie spoczywa na laurach i mierzy coraz wyżej: „Podsumowując, jestem bardzo zadowolony z tegorocznego wyniku. Wysokie czwarte miejsce zdobyte, a jak wiemy, apetyt rośnie w miarę jedzenia". W kategorii quadów z ponadpółgodzinną przewagą nad Chilijczykiem Giovannim Enrico zwyciężył Argentyńczyk Manuel Andujar, który przewodził stawce od siódmego etapu. Na najniższym stopniu podium stanął Pablo Copetti z USA. Kolejność w czołówce mogła być inna, ale w siódmym etapie z powodu awarii sprzęgła z rajdu odpadł ówczesny lider Nicolas Cavigliasso, a w 11. etapie silnik odmówił posłuszeństwa zajmującemu drugą pozycję Alexandrowi Giroud.

Podobne przetasowania były udziałem motocyklistów. Niestety, dotknęły one również zawodników ORLEN Team. Adam Tomiczek i Maciej Giemza byli zmuszeni do rezygnacji z udziału w rajdzie odpowiednio po szóstym i na dziewiątym etapie. Obaj odnieśli bolesne kontuzje, które uniemożliwiały im jazdę na motocyklu. Do mety nie dojechali także wielcy faworyci: Joan Barreda, Ignacio Cornejo czy Toby Price. Najtragiczniejszą odsłoną tegorocznego Dakaru był wypadek Pierre'a Cherpina na siódmym etapie. Francuz znajdował się w stanie śpiączki, z której już się nie wybudził. Jak sam o sobie mówił przed startem: „Jestem amatorem, nie chcę wygrać, tylko podziwiać widoki, których normalnie bym nie zobaczył. To ekscytujące: jeżdżenie na motocyklu, pielęgnowanie swojej pasji, poznawanie samego siebie". Klasyfikację motocykli wygrał Kevin Benavides z Argentyny, który wyprzedził przeszłych triumfatorów rajdu: Amerykanina Ricky'ego Brabeca i Brytyjczyka Sama Sunderlanda. Tym samym w dziedzinie konstruktorskiej Honda po raz drugi z kolei pokazała swoją wyższość nad KTM. Jedynym Polakiem, który ukończył wyścig motocykli, był młodziutki Konrad Dąbrowski finiszujący na 28. pozycji, syn byłego uczestnika Dakaru Marka.

Co w pozostałych kategoriach? Polacy byli wysoko w klasyfikacji pojazdów SSV, gdzie Aron Domżała zajął trzecią lokatę, Michał Goczał dojechał na czwartej pozycji, a jego brat Marek był ósmy. Zwyciężył Francisco Lopez, który wygrał także przed dwoma laty. Podium w wyścigu ciężarówek w komplecie zajęli Rosjanie jadący kamazami. Najlepszy był Dimitrij Sotnikow, który wyprzedził Antona Szibałowa i Ajrata Mardiejewa. Wyścig „klasyków", czyli pojazdów skonstruowanych jeszcze w XX w., wygrał prowadzący od początku Marc Douton w buggym sunhill. Dakar jak zwykle okazał się ucztą dla fanów rajdów terenowych i wielkim sprawdzianem wytrzymałości dla zawodników i maszyn. Można śmiało powiedzieć, że zawodnicy ORLEN Team z Kubą Przygońskim i Kamilem Wiśniewskim na czele zdali test celująco.

Michał Muzyczuk

ORLEN Team w rajdzie Dakar 2021

KUBA PRZYGOŃSKI I TIMO GOTTSCHALK – 4. MIEJSCE (SAMOCHODY)
MARTIN PROKOP I VIKTOR CHYTKA – 9. MIEJSCE (SAMOCHODY)
KAMIL WIŚNIEWSKI – 4. MIEJSCE (QUADY)
MACIEJ GIEMZA – NIE UKOŃCZYŁ (MOTOCYKLE)
ADAM TOMICZEK – NIE UKOŃCZYŁ (MOTOCYKLE)

PARTNER DODATKU
ORLEN

eprasa.pl c9dabefecc

CO JEDZĄ POLSCY SKOCZKOWIE

Kulinaria wysokich lotów

Piotr Żyła

Był czas, gdy bułka z bananem wzbiła się na podium, wyprzedzając inne sportowo-medialne hity. Dziś Adam Małysz tamtej „diety" raczej nie wspomina. Jeśli już, to przywołują ją czasem jego młodsi koledzy. Piotr Żyła, z właściwym sobie poczuciem humoru, we wrześniu ubiegłego roku wstawił na Instagram zdjęcie z bananem przy uchu, dodając komentarz: „Tak żeby mieć kontakt z bazą".

Sam mistrz Adam, jeśli dodaje teraz na społecznościowe konto kulinarne zdjęcia, to raczej takie, jak w cyklu #ciekawostkiomalyszu, gdzie chwali się wypełnioną obranymi warzywami wielką miską. Co w niej jest, piszemy obok.

Orzeł z Wisły nie ukrywał przed mediami, że po zakończeniu kariery skoczka przytył... 20 kg. Ok. 70 kg wagi tak tłumaczył: – Niby ciągle jestem w ruchu, ale trochę innym. Dużo czasu spędzam za kierownicą, jest więcej siedzącego trybu życia. No i odżywianie jest zupełnie inne. Kiedyś musiałem pilnować 1500 kalorii dziennie, teraz nie muszę się nimi przejmować – wspominał w jednej z rozmów.

W innej zdradził, że kiedy jeszcze skakał, jego kulinarnym marzeniem była golonka. Wiedział jednak, „że jest tłusta i nie może jej jeść". A kiedy już mógł... przeszła mu na nią ochota.

Trzy lata temu spore zamieszanie wywołało wstawione na Instagramie Kamila Stocha zdjęcie fast foodu. Sam zainteresowany przepytywany o posiłki godne skoczka stwierdził, że „dieta to nie jest głodzenie się", lecz „odpowiedni sposób odżywania w stosunku do wykonywanej pracy". Najczęściej sięga więc po produkty, które dają energię, ale nie przyspieszają wzrostu wagi. Przed konkursami ogranicza ilość glutenu. Poza tym, jak twierdzi, nie musi drastycznie pilnować wagi. Może jeść dużo różnych rzeczy, ale w odpowiednich ilościach.

Jakie to ilości, niech świadczy instagramowy wpis ze stycznia 2017: „Zamiast kwalifikacji rosół z naleśnikiem, ulubiona zupa mojej żony :) Żono, jem za Ciebie trzy łyżki. Albo nawet pięć".

Wspomniana małżonka Ewa Bilan-Stoch zdradziła przy innej okazji, że ulubionym ciastem jej męża jest orzechowiec. Jednak latem minionego roku Kamil postawił na cukry proste: „Do dzisiejszego obiadu. I co Wy na to? Ziemniaki czerwone prosto z ogródka. Mniammmmm" – skomentował wrzucone zdjęcie.

W tym samym czasie Dawid Kubacki pochwalił się kulinarnym debiutem w kuchni. Żona, jak pisał, dała mu „DUŻY kredyt zaufania", więc usmażył placki z cukinii. Pytany jakiś czas temu o dietę podkreślał, że króluje w niej mięso, bo jest w nim dużo białka. Nigdy specjalnie nie był zwolennikiem roślin na talerzu. – Z bukietu warzyw wybieram... frytki – żartował. Jak widać, dla żony zamienił na patelni mięso na cukinię.

A wywołana do odpowiedzi małżonka Marta Kubacka? W jednej z rozmów zdradziła, że jeżeli chodzi potrawy przez nią przygotowywane, to „Dawid bardzo lubi chili con carne".

Z kolei Piotr Żyła, w memowych żartach przedstawiany jako wielbiciel „heheheherbaty", kilka tygodni temu wstawił na Instagram zdjęcie „wykwintnej kolacji wg tajnego przepisu Pietra". A w niej: „Dwie parówki (gotuj 10 min); dodaj bułkę i sos pomidorowy i gotowe. Dla smakoszy kulinarnych można dodać masło na bułkę, ale UWAGA wtedy danie nie będzie już fit".

Najbardziej obytym kulinarnie przedstawicielem zimowej reprezentacji wydaje się Maciej Kot, najlepszy wędkarz pośród naszych skoczków narciarskich (pochwalił się złapanym niedawno na Jeziorze Czorsztyńskim dorodnym sandaczem). Na jego instagramowym koncie nie brak zdjęć z serii „kocurgotuje". W menu m.in. „domowy ramen" czy poddany ocenie Michela Morana „sandacz na risotto z zielonym groszkiem i pesto bazyliowym" (już razem, na wizji, panowie przygotowali „kaczkę w towarzystwie purée z dyni").

W swoim obecnym domu w kuchni rządzi Maciej, natomiast szefem i „królową" niedzielnych obiadów jest babcia, mistrzyni związanych z Podhalem regionalnych potraw.

Swojskie smaki ceni też Andrzej Stękała, który przez trzy lata – wierząc w powrót na startową belkę – utrzymywał się z kelnerowania w jednej z zakopiańskich restauracji. Po zawodach ponoć będą czekały na niego dwie ulubione potrawy z menu: udko z kaczki i makaron z boczkiem.

Jolanta Gajda-Zadworna

Stuprocentowa bomba witaminowa Adama Małysza

Zdjęcie miski wypełnionej kolorowymi warzywami „Orzeł z Wisły" skomentował tak: – Od jakiegoś czasu stawiam na naturalne formy poprawy odporności. Przynajmniej raz w tygodniu staram się robić, dla siebie i swojej rodziny, naturalne soki warzywne i owocowe. To stuprocentowa bomba witaminowa no i... smakuje wyśmienicie.

W „mieszance na sok warzywny" znalazły się: marchew, ogórek zielony, burak, papryka czerwona, jabłko, natka pietruszki, imbir.

Fot. Marcin Kadziolka/Shutterstock.com

eprasa.pl c9dabefecc

SŁODKO-SŁONY

Grzybowa jak latem

ANNA MONICKA

Znów na dworze buro. Zdecydowanie wolę mróz, nawet spory, niż świat w kolorze błota pośniegowego, spod którego wyłażą śmiecie porozrzucane wszędzie, nawet w lesie. Butelki, puszki, małpki, pety – wszystko. Wydawać by się mogło, że jak naród płaci, i to niemało, za wywożenie odpadów, to będzie je segregował i wsadzał tam, gdzie ich miejsce. Tymczasem nie – naród za swoją krzywdę mści się np. na lesie. Kary? Jakie kary? Odstrasza nie wysokość, a nieuchronność, a z tym mamy niejaki problem. Dopiero zieleń zdoła przykryć ten brud.

Marzę już o wyprawie do lasu, zbieraniu grzybów i jagód, wdychaniu zapachu rozgrzanej słońcem żywicy. Gdzieś daleko, jak najdalej od ludzkich siedzib, śmietników i smrodu z kominów.

Grzyby, czasem czuję ich zapach przez sen. Dziś np. obudziłam się i ruszyłam bladym świtem poszukać mrożonek z zupą grzybową. Znalazłam, nagotowałam cały sagan, ale ponieważ wciąż mi było mało – doprawiłam moją tajną bronią, czyli przecierem z podgrzybków i maślaków. Robię go co roku i wam polecam. Najpiękniejsze kapelusze idą zawsze do marynowania, trochę gorsze, nadgryzione przez ślimaka albo myszkę – do suszenia (na nich nastawiam esencjonalne buliony) lub na przecier (na zupy kremy, sosy lub do podkręcania smaku krupniku albo ziemniaczanki). Grzyby trzeba długo pogotować, odparować i zmiksować, a potem najlepiej zamrozić w silikonowych foremkach albo zapasteryzować w słoiku. Ja, odkąd odkupiłam od upadającej firmy kateringowej starą sklepową chłodziarkę, mrożę wszystko, co tylko się da: przeciery pomidorowe, dyniowe, domowe „kogutki", zioła. Wrzuca się potem zamrożoną kostkę smaku do gara i gotowe.

Gdy dziś doprawiłam zmiksowanymi maślakami moją zupę, dom pachniał przez kilka godzin tak, jakby już było lato.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Owczarek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W wielkim przedsięwzięciu wykarmienia ludzkości istotna jest nie tylko produkcja żywności, lecz cała logistyka produkcji rolnej i przemysłu spożywczego. Wyhodować to jedno, trzeba jeszcze przerobić, przechować i przetransportować.

W dawnych czasach rzecz miała się podobnie, choć nacisk na poszczególne etapy był rozłożony nieco inaczej. Żywność produkowano w dużej mierze lokalnie, transport dotyczył więc niewielkiej liczby wyselekcjonowanych produktów, których konserwację opracowano – chociażby solonych śledzi w beczkach. Podobnie jak dziś dużo pracy wkładano w przechowywanie. Co z tego, że udałoby się zebrać dużo zboża, skoro połowę zniszczyłyby szczury? Do tego dochodziły inne trudności. Chociażby jak zabezpieczyć stada przed atakami dużych drapieżników.

Na południu Polski, w Karpatach i na Podhalu, czyli w regionach, w których pasterstwo było powszechnie praktykowane i w których jednocześnie najdłużej i najliczniej występowały wilki, musiano umieć skutecznie zniechęcić je do ataków na zwierzęta hodowlane.

Najlepszymi strażnikami stad były psy. Tak samo jak istnieją dawne górskie rasy zwierząt gospodarskich – krowy czerwone polskie czy owce z grupy rasowej cakiel – tak samo przed wiekami wyhodowano w górach specjalną rasę psów pasterskich, mogących stawić czoła zarówno wilkom, jak i wyzwaniom pracy wykonywanej bez względu na warunki. Są to owczarki podhalańskie.

Owczarki podhalańskie to psy duże, ważące nawet 60 kg, budzące respekt samą swoją posturą. Masa, siła, sprawność i odwaga czynią je groźnymi nawet dla wilków.

Ważnym atrybutem owczarków podhalańskich jest futro. Gęsta sierść na szyi stanowi zabezpieczenie przed kłami przeciwnika. Obfity podszerstek chroni przed zimnem. Biała barwa też jest ważna. U owczarków wszystko podporządkowane jest pilnowaniu powierzonego stada. Dzięki bieli można w walce odróżnić je od szarych wilków, a owce i krowy są spokojniejsze przy psach białych, niekojarzących się z zagrożeniem.

Jeżeli chcemy przywrócić rolę wilków w przyrodzie, a więc także zgodzić się na ich większą liczebność, warto się przyjrzeć dawnym metodom, dzięki którym drapieżniki, stada i ludzie mogli żyć obok siebie.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c9dabefecc

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Początek końca cyfrowych gigantów

Stało się coś, na co od dawna się zanosiło i co wisiało w powietrzu. Choć światowa opinia publiczna wciąż nie może ochłonąć. Działania Google'a, Twittera, Amazona, Facebooka wobec prezydenta Donalda Trumpa odsłoniły prawdziwe oblicze i rzeczywistą moc oddziaływania cyfrowych gigantów. Urzędującemu prezydentowi światowego mocarstwa odebrały głos w sposób, w jaki niesfornemu dziecku wyciąga się z dłoni zabawkę. Cóż, że to prezydent atomowego mocarstwa. Cóż, że wszystko rozgrywało się na oczach świata. Można nawet pomyśleć, że właśnie chodziło o to, by upokorzyć niesfornego biznesmena, który nieproszony wkradł się na parnas amerykańskiej polityki. I tak, zaskoczony świat – w sercu demokracji – mógł obserwować nagły zawał demokracji.

ŚMIERTELNA PUŁAPKA

Po zablokowaniu twitterowego konta Donalda Trump z 88 mln obserwatorów w szybkim tempie spadły (o 10 proc.) notowania Twittera. Potem straty szły już w dziesiątki miliardów.

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

(hasła wybite na fasadach murów i monecie państwa Oceanii)

„1984", George Orwell

Okazało się jednak, że to, co podobno dominuje w kapitalistycznym świecie – a więc zyski, procenty, wzrosty i spadki finansowe – nagle straciło znaczenie. Nie zwrócono uwagi także na koszty związane z załamaniem się wizerunku firmy. Dzisiaj wielka GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple) staje się synonimem słowa „cenzura". Ale to też nie ma znaczenia. Okazało się, że wielkie słowa o międzynarodowym komunikowaniu, łączeniu ludzi itp. to frazesy i banały bez znaczenia. Ale o tym też wiedzieliśmy. Udawaliśmy, że wierzymy w szlachetność i łagodność cynicznego biznesu. Co dziwne, wydaje się, że nie wiedział o tym sam Donald Trump, choć każdego ranka miał na swoim biurku tajne raporty jeszcze bardziej tajnych służb.

Dlatego jest pytanie, na które wciąż nie ma odpowiedzi. Czy prezydent Donald Trump 6 stycznia 2021 r. kierował jeszcze służbami bezpieczeństwa własnego kraju, czy nieformalnie były one już podporządkowane prezydentowi elektowi? Obserwując bieg wydarzeń, można było odnieść wrażenie, że raczej obowiązywał już wariant drugi. Wszystko, co obserwowaliśmy z 6 na 7 stycznia, działo się na korzyść prezydenta elekta. Wydarzenia przybrały taki bieg, jakby Donald Trump dał się wpuścić w zastawioną na siebie przewrotną gigantyczną pułapkę. Choć wszystko z początku wyglądało niewinnie.

Podczas rządów stale korzystał z Twittera. O trzeciej nad ranem zamieszczał komunikaty i budził nimi wielu ze snu. Jakby zapomniał, że w polityce nie ma sentymentów, a liczą się interesy. Teraz już nie tylko on, lecz wielu użytkowników sieci zrozumiało, że cyfrowe komunikowanie to pole walki. To integralna część biznesu i życia społecznego. Koniecznego do

eprasa.pl c9dabefecc

funkcjonowania wojska, rządów i wrogów naszego świata. A wojna nie musi być wypowiedziana. Nie musi mieć granic. Konflikty są globalne i jednocześnie indywidualne. Zachowanie tajemnic jest niemożliwe. Cyfrowa siła zaś wcale nie oznacza siły fizycznej czy przewagi w rakietach, wystarczy zawładnięcie uwagą milionów. Skutki walki z wykorzystaniem manipulacji psychologicznej i algorytmicznej mogą okazać siłę rażenia tradycyjnej wojny. Mogą zmienić władzę, na skalę globalną odebrać dach nad głową i środki do życia.

Likwidacja kont w mediach społecznościowych Donalda Trumpa i całego sztabu jego ludzi, jak i to, czego byliśmy świadkami na Kapitolu, w długiej perspektywie pozwala zakładać, że na naszych oczach rodzi się początek końca globalnej komunikacji. Że powoli przebiera się miara. Że nadchodzi koniec wielkich korporacji, które przedstawiają się jako obrońcy drobnych przedsiębiorców, a potem wykradając dane swoich użytkowników, odsprzedają je wielkiemu biznesowi. Często podkreśla się, że kapitał ma narodowość. Okazało się z 6 na 7 stycznia 2021 r., że narodowość właściciela to już za mało. Kluczowe jest to, jakie wartości on wyznaje, jaka jest linia programowa mediów, które tworzy i buduje. A jeżeli media mają charakter globalny, to znaczenie wyznawanych wartości i powiązań politycznych jest jeszcze bardziej istotne. Może jednak szokować, że skrajnie lewicowa ideologia tak bardzo opanowała dziś globalny medialny biznes. Że otwiera tak liczne fronty, jest tak agresywna i ma tak bezgraniczne poczucie bezkarności.

PUNKT KRYTYCZNY

Internet jest przestrzenią trudną do kontroli, można regulować ją jedynie częściowo. Ważniejsze od tworzenia nowych ram prawnych jest budowanie niezależnych od wielkiego biznesu platform cyfrowych otwartych na świat humanitarnych wartości, wolnych form komunikowania. Czy sprawy związane z mediami społecznościowymi muszą być na zawsze przypisane do Facebooka i Twittera? Dobrze, że już próbuje się przełamać ich monopol i powstają prawicowe platformy. Idzie to opornie. System broni się przed utratą możliwości kierowania opiniami społeczeństwa.

Jak zły sen powraca pytanie. Jak mogło dojść do sytuacji, w której największe globalne media i platformy stały się własnością podmiotów skrajnie lewicowych? To jest jedno z największych zaskoczeń. Prawa strona trwała latami w letargu i nie zwracała uwagi na to, że Google, Twitter, Facebook, Amazon służą komunikowaniu się, ale także stoją na straży promocji lewicowych ideologii. Problem zauważono dopiero wtedy, gdy pojawił się „twitterowy" prezydent USA Donald Trump. Dostrzegł on ogromną siłę mediów społecznościowych. Nie rozumiał jednak, iż korzysta z narzędzi swoich śmiertelnych przeciwników. A oni mają własne interesy i prowadzą swoją wojnę. W efekcie dziś szef amerykańskiego serwisu Parler i jego rodzina ukrywają się w związku z otrzymanymi groźbami. Parler to po wydarzeniach na Kapitolu najbardziej znana sieć społecznościowa wolnego słowa. Alternatywna kopia Twittera, powstała w 2018 r., przełamująca jego monopol. Aplikację Parlera usunęły ze swoich sklepów Apple i Google, 10 stycznia zaś zniknął całkowicie z sieci. Amazon, największy dostawca usług chmurowych, usunął program Parlera ze swoich serwerów w ciągu jednej nocy. Obecnie wielu pracowników alternatywy Twittera cierpi z powodu nękania i wrogości, obawia się o bezpieczeństwo swoje i swoich rodzin.

> Cyfrowi giganci odebrali głos urzędującemu prezydentowi światowego mocarstwa w sposób taki, w jaki niesfornemu dziecku wyciąga się z dłoni zabawkę

WIELCY MĘDRCY W DAVOS

Początek prezydentury Joego Bidena w tym kontekście to historyczna data, jawiąca się jak akt założycielski nowego świata, opisywanego w książkach Orwella i Huxleya. Ameryka i jej system demokratyczny dostały ciężkiej grypy. Co zatem czeka nas? Okazało się, że kapitał ma tam jeden główny kolor: czerwony. A ten nie toleruje innych poglądów jak tylko własne. Sprawa Donalda Trumpa dowodzi, jak krucha jest demokracja bez pluralizmu mediów. Tymczasem przed światem kolejne wyzwania.

25 stycznia w szwajcarskim Davos przełożone z lata doroczne spotkanie wielkich tego świata w ramach „Dialogów z Davos". Tym razem odbędzie się zdalnie, za pomocą technologii cyfrowych. Zaoszczędzone zostanie paliwo, które normalnie zużyłyby prywatne odrzutowce. Organizatorzy zapowiadają, że światowi przywódcy spotkają się twarzą w twarz wtedy, gdy będzie to już bezpieczne. Jaki jest tegoroczny temat? Brzmi groźnie, a może wręcz futurystycznie, jak z opowieści Stanisława Lema: „Zaprojektowanie wspólnej drogi i kształtu »Wielkiego resetu« po erze COVID-19". Może zastanawiać, czy udział Donalda Trumpa w tych rozmowach nie burzyłby całej koncepcji wielkiego planu, jaki będzie tworzony po „erze COVID-19". Jednak wydarzenia na Kapitolu rozegrały się zgodnie z planem, reszta też poszła gładko. A więc teraz czekamy na tak zwany wielki reset. I wciąż jesteśmy w szoku. Zobaczyliśmy czarną ścianę, która z dnia na dzień rośnie jak wielki las.

POST SCRIPTUM

Osobiście nie płaczę po Twitterze ani Facebooku, ani Instagramie. Nie mam tam kont, nigdy ich tam nie miałam. I nie zamierzam ich w bliższej ani dalszej przyszłości zakładać.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl c9dabefecc

JAN POSPIESZALSKI

Amerykańska lekcja i szept papieża

Czy w Polsce, tak jak w USA, odwrócenie marszu cywilizacji śmierci będzie tylko chwilowym epizodem?

Gwałtowność, z jaką administracja Joego Bidena zapowiada odwrócenie decyzji Donalda Trumpa chroniących życie, jest kolejnym przykładem dominacji kultury śmierci. Przesuwanie granic, prawie zawsze przeciwko życiu, pozwala dostrzec metafizyczną konsekwencję tego marszu. W kwestii obrony życia Trump zrobił więcej niż ostatnio jakikolwiek inny polityk na świecie. Teraz, z wyjątkiem funkcji Amy Coney Barrett, obrończyni życia powołanej przez Trumpa na sędzię Sądu Najwyższego USA, pozostałe jego decyzje pro-life (jak obiecał Biden) będą uchylane. Przykładem jest przywrócenie dotacji 60 mln dol. dla Planned Parenthood.

Tymczasem inaugurację pierwszego od 60 lat katolickiego prezydenta poprzedziła uroczysta msza św., a specjalne błogosławieństwo (bez słowa krytyki) przesłał sam papież Franciszek. Katolicki portal Life Site News zwraca uwagę, że oświadczenie przygotowane przez przewodniczącego Konferencji Episkopatu Stanów Zjednoczonych (USCCB) abp. José Gómeza zostało przez Sekretariat Stanu objęte embargiem. Dopiero po gratulacjach papieża Franciszka, po południu, można było się dowiedzieć, co zawierał list abp. Gómeza. Politykę nowego prezydenta dotyczącą aborcji, antykoncepcji, małżeństwa i płci abp Gómez nazwał moralnym złem. Głębokie zaniepokojenie przewodniczącego USCCB budzi też kwestia wolności Kościoła i wolności wierzących „do życia zgodnie z własnym sumieniem". Biskupom przypomniał, że „nieustanna niesprawiedliwość aborcji pozostaje najważniejszym priorytetem".

Kolejnym ponurym faktem w przestrzeni międzynarodowej są uchwalane akty prawne skierowane przeciw życiu. Z jednej strony rządy państw, walcząc z pandemią, wprowadzają restrykcje ograniczające wolność, rujnujące gospodarkę, a wszystko w trosce o życie obywateli, z drugiej strony – w Holandii i Hiszpanii rozszerzono stosowanie eutanazji. Natomiast we Francji i w Argentynie uchwalono dopuszczalność aborcji do późnych miesięcy ciąży. I znów towarzyszy temu milczenie papieża Franciszka. Prezydent Argentyny Alberto Fernández, od 2018 r. trzykrotnie gościł w Watykanie, ostatni raz w styczniu 2020 r. Widzieliśmy serdeczne relacje Ojca Świętego z prezydentem. Jak na triumf cywilizacji śmierci we własnej ojczyźnie zareagował papież? Po uchwaleniu dopuszczalności aborcji w Argentynie napisał na Twitterze: „Syn Boży urodził się odrzucony, aby nam powiedzieć, że każdy człowiek odrzucony jest dzieckiem Bożym. Przyszedł na świat, jak dziecko przychodzi na świat, słaby i kruchy, byśmy mogli z czułością przyjąć nasze ułomności". Podziękował również w prywatnej korespondencji obrońcom życia, wskazując, że argumenty ruchu pro-life powinny być bardziej naukowe niż religijne. Papież „nie poświęcił tej sprawie rozważań przed modlitwą Anioł Pański. Nie udzielił wywiadu telewizyjnego. Nie uciekł się nawet do swego starego kolegi Scalfariego, by wyrazić swoje przerażenie. Nie opublikował rozmowy telefonicznej z argentyńskim prezydentem" – napisał Steve Kojec, redaktor naczelny portalu OnePeterFive.com. Publicysta podsumował, że Franciszek broni życia „ledwie słyszalnym szeptem". Jaka zatem prognoza dla obrońców życia w Polsce?

Kiedy się patrzy na powolną śmierć naszego rodaka w szpitalu w Plymouth i morderczą determinację brytyjskich lekarzy i sądów (niestety z pomocą żony pana Sławka), widać, że ofensywa cywilizacji śmierci zdecydowanie przyspiesza. Czy Polska w tym ponurym pejzażu ma szansę być ostoją walki o godność ludzkiego życia? Sprawdzam! Od orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego potwierdzającego prawo do życia niepełnosprawnych dzieci upływa 96 dni. W roku 2018 dokonano w Polsce około 1,1 tys. aborcji eugenicznych. Mając ogromne uznanie dla polskiego rządu za działanie na rzecz ocalenia pana Sławka z Plymouth, pamiętajmy, że to premier podejmuje decyzję o publikacji wyroku TK w Dzienniku Ustaw. Brak publikacji (opierając się na statystykach z ubiegłych lat) mógł już kosztować życie 285 dzieci, w tym około 120 dzieci z zespołem Downa. Czy zatem w Polsce, tak jak w USA, odwrócenie marszu cywilizacji śmierci będzie tylko chwilowym epizodem?

eprasa.pl c9dabefecc

Co poszło nie tak?

Lech Makowiecki

Jako człowieka dorastającego w PRL zdumiewa mnie głęboka niewiedza niektórych młodych ludzi o tych nieodległych czasach. Podobne wrażenie odnoszą ostatni świadkowie historii – ludzie pamiętający II wojnę światową, której dramatyczne skutki odczuwamy do dziś. Młodzież nie czuje, nie rozumie tego, jak straszną hekatombą była dla Polski okupacja niemiecka. I jak przerażający był sowiecki terror. Wychowanych w wolnym kraju „Europejczyków" nie wzrusza już krwawa nagonka na żołnierzy wyklętych, nie obchodzi masakra robotników (1956 r.), tragedia gdyńskich stoczniowców (1970 r.) ani ofiar stanu wojennego (1981 r.).

Skąd taki brak współczucia dla tragedii i upodlenia naszego narodu? Skąd ta obojętność na ludzkie cierpienie? I zero reakcji na bezkarność uwłaszczonego na krzywdzie i kłamstwie „gorszego sortu" (resortu?) Polaków? Z braku wiedzy, którą zawdzięczamy „grubej kresce"! Nie wdrożono dekomunizacji, zaniedbano edukację, kulturę, wychowanie, media. Rodzice, nauczyciele, wykładowcy, duchowni itp. nie potrafią przekazać młodemu pokoleniu naszych unikatowych wartości; sami wymagają często reedukacji. Polska tożsamość – ośmieszana i cenzurowana dziś przez GAFA (Google, Apple, Facebook, Amazon) – przegrywa z perfidnie suflowaną „europejskością". I właśnie to formatowanie mózgów młodych Polaków na „obywateli świata" jest najgroźniejsze. Brak elementarnej wiedzy historycznej i głębszej refleksji nie jest już powodem do wstydu. Wręcz przeciwnie – młodzież chętnie i głośno zabiera głos na każdy temat. „Oszołom", „zbrodniarz", „moher" – tak młodzi mądrale skwitowali ostatnio rtm. Pileckiego – bohatera i człowieka prawdziwie świętego. Ręce opadają!

Tamę tej głupocie próbuje postawić minister Przemysław Czarnek (MEiN), kładąc większy nacisk na nauczanie najnowszej historii Polski. TVP zapowiada kolejne produkcje z narodowym przesłaniem. Liczę na zielone światło dla tożsamościowej popkultury, to już ostatni dzwonek.

Heuchler und...

Piotr Cywiński

Donald Tusk przemówił. I to jak! Po niemiecku! A co, niechaj narodowie wżdy postronni doceniają, iż Polacy nie gęsi, iż niemiecki znają... Co takiego powiedział znający? W skrócie – cytuję zgodnie z jego idoleektem, że: „wielkie, piękne podziękowanie für alles, co daliście...", że „gdyby ktoś spytał, na kogo może właściwie liczyć, bez wahania wskazałby na CDU...", której „zawdzięczamy w największym stopniu, że nie utraciliśmy wolności...", że to partia „uczciwości, przejrzystości, prawdy i rozsądku w walce z tendencjami autorytarnymi, korupcją, kłamstwem i populizmem", że jest „błogosławieństwem nie tylko dla Niemiec...", a on jest „pełen podziwu" i „dziękuje CDU za polityczne przywództwo...", i „nie traci wiary w przyszłość", bo jest „konsekwentna, skuteczna, odpowiedzialna i ma cierpliwość, którą wszyscy cenią...", że jej działania „mają wartość złota...", więc „apeluje o jej wytrwałość w walce...", jest przy tym pewny, że „nie zawiedzie...".

Czuł potrzebę dać wyraz, a że niemiecki sobie przyswoił, to dał. Pretekstem były wybory nowego zarządu CDU. Co prawda do poprzedniczek na jej czele mieli obiekcje sami unici i nie tylko, stąd ta zmiana, ale mniejsza z tym. Tuskowe „großes Dankeschön für alles" w jego czołobitnym nagraniu na tle panoramy Gdańska ma konkretne podstawy. Były premier, dziś przewodniczący europejskich ludowców z EPL, pamięta, komu zawdzięczał lukratywne stanowisko szefa Rady Europejskiej. Objął je w chwili pogrążania się kierowanej przez niego Platformy z nazwy Obywatelskiej w trzęsawisku skandali korupcyjnych, nepotyzmu i kłamstw, gdy wbrew wcześniejszym zapewnieniom, że ma jeszcze wiele w kraju do zrobienia, porzucił rząd, partię, jej wyborców, kraj i cichcem czmychnął do Brukseli. Jak spekulowała wówczas Deutsche Welle, „Tusk może się potknąć na aferze taśmowej"... – ale dzięki pomocnej dłoni z Niemiec się nie potknął.

„Prawda nie tkwi tylko w poglądach, lecz również w formie i metodzie. Forma i metoda mówią nam często więcej niż poglądy", pisał kiedyś felietonista Stefan Kisielewski. Skoro były premier RP Donald Tusk przemówił po niemiecku, to i ja w tym samym języku – są takie dwa słowa w powszechnym użytku naszych sąsiadów, które doskonale oddają prawdę o tej postaci: Heuchler und Arschkriecher, obłudnik i dupowłaz. Kisielewski pisał również: „Gdyby dureń zrozumiał, że jest durniem, przestałby być durniem. Z tego wniosek, że durnie rekrutują się jedynie spośród ludzi pewnych, że nie są durniami".

eprasa.pl c9dabefecc

Zgodnie z oczekiwaniami?

Trwa promocja dopuszczonej warunkowo szczepionki, marketingowe kreowanie tłoku oraz zawstydzanie tych, którzy nie poddają się narracji, że nie mamy innego wyjścia, a wiążące się ze szczepionką ryzyko, o którym informują na ulotkach producenci, jest tak małe, że w ogóle nie należy na nie zwracać uwagi. W swym entuzjazmie prof. Andrzej Horban oświadczył, że nie będzie sprawdzania, czy szczepione pielęgniarki nie są w ciąży, bo ryzyko z tym związane jest bardzo małe. Przypomnę, że producent szczepionki zabrania (przepraszam: „nie zaleca") szczepienia kobiet w ciąży ani zachodzenia w ciążę dwa miesiące po szczepieniu.

25 stycznia ruszają w Polsce masowe szczepienia seniorów. W Niemczech i Norwegii ruszyły wcześniej. 15 stycznia niemiecki Instytut Paula Ehrlicha ujawnił, że bada przypadki 10 zgonów seniorów wkrótce po zaszczepieniu na covid. Pacjenci mieli od 79 do 93 lat, a zmarli od kilku godzin do czterech dni po zaszczepieniu. Tego samego dnia Norweska Agencja Medyczna poinformowała, że 23 pacjentów domów opieki zmarło bezpośrednio po przyjęciu szczepionki mRNA produkcji Pfizera, dwa dni później liczba ta wzrosła do 30 zmarłych. Dr Sigurd Hortemo, główny lekarz agencji: „Powszechne reakcje poszczepienne, takie jak gorączka i nudności, u osłabionych pacjentów mogły być przyczyną pogorszenia stanu zdrowia prowadzącego do śmierci [...] Badania tej szczepionki nie uwzględniały pacjentów z niestabilnymi lub ostrymi stanami chorobowymi i badały niewielu ochotników powyżej 85. roku życia. W Norwegii teraz właśnie szczepimy osoby starsze przebywające w domach opieki i mające poważne choroby, dlatego możemy oczekiwać, że zdarzać się będą zgony wkrótce po szczepieniu".

Wskutek tych faktów norweski Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego zmodyfikował swój poradnik dotyczący szczepień na COVID-19, rozbudowując szczegółowe rady dotyczące szczepienia seniorów o słabszym zdrowiu i zalecając pacjentom oraz ich rodzinom poważne rozważenie ryzyka.

Koncern Pfizer, współpracujący z Norwegami w badaniu zgonów po szczepieniu, ogłosił natomiast, że nie ma powodu do niepokoju, bo zgony te są „zgodne z oczekiwaniami" („in the line with expectations"). Skoro producent szczepionki „oczekuje", że pewna liczba pacjentów bezpośrednio po szczepieniu umrze, co o tym sądzą polscy specjaliści? Często wypowiadający się w mediach pediatra dr Paweł Grzesiowski napisał na Twitterze: „Pojawiły się pierwsze doniesienia o zgonach w kontekście czasowym szczepień przeciw covid (Norwegia, Izrael, Niemcy). To nie jest efekt wad szczepionek, to zgony osób 75+ w ciężkim stanie, dla których nawet gorączka po szczepieniu może spowodować zaburzenia krążenia czy oddychania".

Sądzę, że w sprawie wyrażonych przez producenta szczepionki „oczekiwań" wypowiedzieć się powinna Rada Medyczna ds. COVID-19 powołana przez premiera. Czy podziela te oczekiwania producenta szczepionki? Jeśli tak, to chyba powinniśmy poznać skalę tych oczekiwań, ilu zgonów naszych bliskich po podaniu szczepionki „oczekujemy"? Jeśli jednak Rada Medyczna takich „oczekiwań" nie podziela, tym bardziej nie powinna milczeć i jasno sformułować zalecenia w stosunku do seniorów o słabym zdrowiu i z chorobami przewlekłymi.

Zwłaszcza że zapewne ma rada merytoryczny wpływ na sposób komunikowania Polakom medycznych aspektów programu szczepień. A na rządowej stronie informacji o szczepionkach gov.pl wśród „Pytań i Odpowiedzi", na pytanie: „Czy to, że biorę stale leki (serce, cholesterol itd.) nie jest przeciwwskazaniem (może jakiś lek/grupa leków zawiera składnik, który stanowiłby niebezpieczne połączenie ze składem szczepionki na COVID-19)?", pada jednoznaczna odpowiedź: „Nie, przyjmowanie systematyczne leków z powodu chorób przewlekłych nie jest przeciwwskazaniem do szczepienia". Skoro ulotka producenta informuje: „Nie przeprowadzono badań dotyczących interakcji z innymi produktami leczniczymi", na jakiej podstawie gov.pl twierdzi co innego, jednoznacznie sugerując, że wykonano badania interakcji z innymi lekami i miały one wynik pozytywny, zagrożeń nie stwierdzono? Ogłoszenie przez rządowy portal pozytywnego wyniku badań, których nie było, jest pod każdym względem niebezpieczne. Dlatego bardzo proszę o pilne usunięcie ze strony gov.pl tego zapisu i wstawienie tam – zgodnie z prawem – informacji z ulotki producenta, że takich badań nie przeprowadzono.

A skoro dla koncernu Pfizer/BioNTech śmierć 30 norweskich seniorów bezpośrednio po zaszczepieniu jest „zgodna z oczekiwaniami", to najwyraźniej żyjemy w innym aksjologicznym systemie.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl c9dabefecc

Michał Korsun prezentuje: Hołownia złapał Muchę

Wycinki z przeszłości

Ostatnie choinki w biurach i w miejscach publicznych zostały już rozebrane, ozdoby schowane do przyszłego roku i znowu tęsknimy za atmosferą świąt Bożego Narodzenia. Pożegnajmy ten czas okładkową ilustracją pisma rolniczego „Plon" z 1938 r. Widzimy dzieci zapalające na choince prawdziwe świeczki. Tak dawniej czyniono, co tworzyło niesamowite wrażenie w wigilijny wieczór, ale też bywało przyczyną niezliczonej liczby pożarów. Pamiętajmy – najważniejsze, by radość z narodzenia Pana Jezusa rozświetlała nasze serca.

(mk)

Z wierszy ostatnich

Leszek Długosz

Zapewne przychodzi i taki czas, kiedy poeta ma świadomość, że także wiersze odchodzą, opuszczają go. Zostawiają go nad białą pustą kartką...

Dla przypomnienia, czyli dodatkowa informacja, Urania to jedna z muz w orszaku Apollina. Mieszkanka Parnasu, opiekunka astronomii, łącznie z astrologią. W ogóle „zarządczyni" wszelakiego ruchu na niebie... (czyżby i w niebie?)

Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980)

„Urania"

Uranio, sosno, siostro – tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia swojego ukazujesz niebo
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostro, wzywam ciebie
Jak niegdyś wróże w koronach z jemioły
Abyś wytrwała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły
I serc co tutaj gasną po kryjomu.
Uranio, muzo dnia ostatecznego
Bogini końca, bogini trwałości
Zniszczeń bogini i wszystkiego złego
Stójże na straży domu i nicości.
Weźmij mnie w swoje grzywy, ty szalona
Wyszarp mi ręce co już nie wyrosną
Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl c9dabefecc

OD A DO ZYBERTOWICZ

Idee dla Polski

Nawet jeśli obecny program dla Polski ma poważne mankamenty, bo przecież nie wszystko obecnie rządzącym wychodzi, to jest rusztowaniem, na którym można budować

Przeglądam spory, liczący ponad 400 stron, tom wydany przez Fundację Polska Wielki Projekt. To zapis dyskusji toczonych na początku października w pandemicznym roku 2020, w ramach X Kongresu. Jubileuszowy kongres odbył się w bardzo ograniczonym gronie, w maseczkach, bez publiczności, która zwykle tłumnie przybywała do Arkad Kubickiego w Warszawie. Ale można było debaty śledzić w sieci, a teraz całe bogactwo wątków można spokojnie przestudiować dzięki papierowi.

Maryna Miklaszewska, wiceprezes fundacji, mówiła, że kongres „jest unikalnym na tle dzisiejszej Europy forum, na którym tradycja narodowa i konserwatywna jest tak wytrwale prezentowana". Tak, kongres jest z ducha konserwatywny. Progresywistów i „światłe elity" to może uwierać. Ale w świecie dryfującym nie wiadomo dokąd tradycyjne kotwice dziedzictwa narodowego są bezcenne. Z drugiej strony, patrząc na panelistów, którzy są do udziału w kolejnych edycjach zapraszani, nie sposób zarzucić organizatorom, iż kiszą się we własnym sosie.

DIAGNOZA OLECHOWSKIEGO

Platforma Obywatelska obchodzi właśnie 20-lecie swego istnienia. Przy tej okazji różne portale przywołują rozmowę z „Rzeczpospolitej" z Andrzejem Olechowskim, jednym z twórców PO. Sporo tu goryczy, wśród której Olechowski artykułuje coś ważnego w kontekście jakości dzisiejszej opozycji politycznej w Polsce oraz tzw. elit intelektualnych. Ojciec założyciel PO stwierdza: „Platforma Obywatelska nigdy nie wzięła się za ważne komponenty dobrobytu Polaków i stanu państwa. (...) Partia nie ma pomysłu, gdzie i jak pociągnąć Polskę do przodu, nie ma pomysłu na Polskę".

Jak może mieć, skoro odrzuca bagaż polskości (fakt, czasem siermiężny) i najwyraźniej nie wierzy w Polskę jako silne państwo? Mimo że po swojej stronie ma większość środowisk twórczych i akademickich, nie potrafiła przez pięć lat zaproponować niczego konstruktywnego, co scalałoby Polaków i pchało kraj naprzód. Wydawać by się mogło, że przy takim zapleczu intelektualnym, które wokół opozycji orbituje, można zrobić o wiele więcej niż tylko nieudolne pucze, nieudane koalicje i podsycanie protestów. A może to zaplecze intelektualne nie przekłada się na siłę polityczną, bo np. większość środowiska naukowego nastawiona jest na indywidualne kariery osobiste, a nie na pracę wspólnotową? O celebrytach nie wspominam, bo dziś nie wiadomo, czy to dla opozycji zasób, czy bardziej problem.

PROGRAM DLA POLSKI

Publikacja pokongresowa, którą przywołałam na początku, zawiera przemówienie prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Wspominając śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który był jednym z inicjatorów utworzenia tego forum poszukiwania dobrych pomysłów na Polskę, obecny prezydent podkreślił znaczenie kongresu dla rozwoju myśli patriotycznej, która była jedną z sił napędowych fali zwycięstw obozu dobrej zmiany: „W 2015 r. do wyborów szliśmy z programem. Ja jako kandydat na urząd prezydenta szedłem z programem. Prawo i Sprawiedliwość w wyborach parlamentarnych jesienią 2015 r. szło z programem. Ten program został przyjęty przez polskie społeczeństwo dlatego, że był atrakcyjny, ambitny, dawał nadzieję na prawdziwy, a nie udawany rozwój (...). Jest dla mnie wielką satysfakcją, że także w jakimś sensie kierunkowani przez Kongres Polska Wielki Projekt przez te lata ten program realizowaliśmy". Andrzej Duda dodał: „Jest moją wielką ambicją, by ten program został zrealizowany do końca".

PO DOBREJ STRONIE HISTORII

Opozycja lubi zarzucać rządzącym, że stoją po złej stronie historii. Tylko jak może być tego pewna, skoro popiera rozmywanie wszelkich granic, w tym granicy między „dobrem" a „złem". Nawet jeśli obecny program dla Polski ma poważne mankamenty, bo przecież nie wszystko obecnie rządzącym wychodzi, to jest rusztowaniem, na którym można budować. Publikacja pokongresowa Fundacji Polska Wielki Projekt to szansa namysłu nie tylko dla zwolenników dobrej zmiany, ale też dla osób krytycznie, chociaż nie obsesyjnie, nastawionych do środowiska rządzącego naszym krajem od roku 2015.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 9/0121/F

eprasa.pl c9dabefecc

Człowiek Wolności
tygodnika SIECI

WIELCY LAUREACI
NAGRODY TYGODNIKA SIECI Z LAT 2019-2020

2020 Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

Daniel Obajtek buduje siłę naszego państwa. Skutecznie tworzy wielki koncern, który będzie zdolny do podjęcia globalnych wyzwań. W ten sposób wznosi architekturę polskiej wolności.

2019 Premier
Mateusz Morawiecki

Premier Mateusz Morawiecki ma ogromne zasługi dla krzewienia rzeczywistej polskiej wolności i w praktyce realizuje hasło, że nie ma wolności bez solidarności.

Człowiek Wolności 2020 tygodnika SIECI

Partner Strategiczny: PGE Polska Grupa Energetyczna

Partnerzy Główni: Bank Pekao; Totalizator Sportowy; 65 lat Totalizatora Sportowego

Partner: arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl c9dabefecc

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

#WielkieChwile

eprasa.pl c9dabefecc